



901

Wislickiego Adama

87-92

Erckmann-Chatrian.

OBLĘŻENIE.

USTĘP Z WOJNY 1814 r.

przekład

WINCENTEGO KOROTYŃSKIEGO.

WARSZAWA.

Cena koplejek 72.

nicław
el
ch

Erckmann-Chatrrian.

O B L Ę Ż E N I E.

USTĘP Z WOJNY 1814 r.

przekład

WINCENTEGO KOROTYŃSKIEGO.

WARSZAWA

Wydawnictwo Dziel Tanich A. Wiślickiego

—
1891.



Дозволено Пензурою.

Варшава, 23 Апрелья 1890 г.

160523

Wydano z dubletu
Bibl. Publ. nr. 11 W-107

D-53/85

I.

Ponieważ chciałbyś to i-owo posłyszec o oblężeniu Falcburga w roku 1814, — rzekł do mnie zacny staruszek Mojżesz z ulicy Żydowskiej — zaraz ci tedy wszystko szczególowo opowiem.

Mieszkałem podówczas w małym narożnym domku, przytykającym z prawej strony do rynku. Na dole pod filarami miałem kramik, w którym się na funciki handlowało żelaztłem; na górze były izdebki, gdzie się mieściłem ze swoją Sarą i małym Safelkiem, pociechą mojej starości.

Dwaj inni moi chłopcy, Icek i Fremel, już byli wtedy wyjechali do Ameryki a córka Zeffen żyła w Sawernie z mężem swoim Baruchem, który prowadził tam handel skórami.

Prócz handlu żelaztłem, kupczyłem też staremimi chodakami, starą bielizną, słowem rozmaitą odzieżą, którą nabywałem od rekrutów,

gdy po przybyciu tutaj dostawali mundur wojskowy. Wędrowni kramarze odkupowali odemnie podarte szmaty do fabryki papieru; resztę sprzedawałem wieśniakom,

Handel szedł mi jak z płatka, bo rekruci dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, tysiącami ciągnęli do Falcburga. Stawiano ich natychmiast do miary w tutejszem merostwie, oporzadzano i zaraz pędzono do Moguncyi, do Strasburga i dalej.

Trwało to dobry kawał czasu; ale pod koniec, zwłaszcza po wyprawie do Rossyi i po wielkim poborze w r. 1813, wszystkim ta wojna już kością w gardle stanęła.

Domyślił się kochany Frycu, że nie ociągałem się do tej pory z uchronieniem swoich chłopców od werbowniczych pazurów. Były to łebskie chłopaki, którym oleju starczyło w głowie; już w roku dwunastym życia mieli tyle rozgarnięcia, że woleliby raczej schronić się na kraj świata, aniżeli bić się licho wie po co.

Gdyśmy wieczorem wszyscy razem zasiadali do stołu w około siedmioramiennego lichtarza, matka ich kryjąc twarz w dłoniach, powtarzała niekiedy:

— O moje biedne dzieci!... o moje niebożęta!... Kiedy pomyślę, że czas się przybliży, gdy pójść musicie między kule i bagnety, między błyskawice i pioruny!... Ach! mój Boże jedyny! co za okropna niedola!...

A ja uważałem, że chłopcy blednieją jak płótno i uśmiechałem się w duchu... Myślałem sobie:

— Nie tacyście głupi!... Umiecie cenić wartość życia... To i dobrze...

Gdybym miał dzieci chętne do wojaczki, byłbym umarł ze zgrzyoty, bo musiałbym wtedy powiedzieć:

— To nie mojego plemienia latorośle!...

Ale z latami w chłopakach moich wzrastały siły i piękność. Icek w piętnastym roku już dobrze prowadził interesa; na własny rachunek skupował na wsi bydło i odprzedawał z zyskiem rzeźnikowi Boruchowi w Mittelbronnien. Fromel też nie dawał się prześcignąć bratu; sprzedawał starych towarów, które zawały u nas trzy szopy pod filarami, najglądziej przez jego szła ręce.

Z duszybym pragnął zatrzymać ich przy sobie. Widzieć ich razem z moim Safelkiem, istną wiewióreczką o główce kędzierzawej i czarnych

biegających oczętach, — widzieć ich razem przy sobie byłaby moja największa radość, moje niewysłowione uszczęśliwienie!... Częstoż obierałem ich i w milczeniu przyciskałem do do piersi, że aż się dziwili, aż strach niekiedy zaglądał im w oczy. Bo też po roku 1812 okropne myśli przesuwają się po mej głowie. Wiedziałem, że ile razy Cesarz powracał do Paryża, zawsze tyle razy żądał czterechset milionów franków i dwóch lub trzechkroć sto tysięcy ludzi; wiedziałem o tem i myślałem:

— Teraz wszystko musi wystąpić... aż do dzieci lat siedmnastu i ośmnastu!

Gdy z każdym dniem coraz gorsze przychodziły nowiny, raz wieczorem rzekłem do chłopców:

— Słuchajcie!... Obaj znacie się na handlu, a czego nie umiecie, nauczycie się później. Teraz, jeżeli posiedzicie tu jeszcze przez kilka miesięcy, to dostaniecie się w rekruty i zginiecie jak inni poginęli. Postawią was na placu, wyuczą nabijać strzelbę i pójdziecie jak kamień w wodę i ani słówka o was nie posłyszę!

Sara szlochała, i wszyscyśmy szlochać poczęli. Po chwili rzekłem do nich:

— Ale jeżeli natychmiast udacie się do Hawru a ztamtąd do Ameryki, to zapłyniecie tam żywi i zdrowi. Będziecie tam handlowali tak samo jak tutaj; nabieracie pieniędzy, pojmiecie żony i będziecie się mnożyli wedle słów obietnicy Najwyższego. A będziecie mi też przysyłali pieniądze według rozkazu Pańskiego: „Czcij ojca twego i matkę swoją!“ A ja błogosławić was będę, jak Izaak błogosławił Jakóba i żywot wasz długimi laty policzon będzie... Wybierajcie!...

Wybrali co najprędzej zmykać do Ameryki; ja sam odprowadziłem ich aż do Sarreburga. Każdy z nich był już sobie uzbierał po dwadzieścia luidorów, nie potrzebowałem tedy dawać na drogę nic więcej prócz błogosławieństwa.

I stało się com powiedział. Obaj żyją dotychczas; obaj liczego doczekali potomstwa, w którym ja się niby odmładzam dla przyszłości; a ilekroć czegokolwiek potrzebuję, przysyłają mi zaraz ochoczo.

Gdy tedy obaj ci chłopcy, to jest Icek i Fromel, odjechali, został mi tylko mój mały Safel, mój Beniaminek, najmłodszy ze wszystkich, którego, jeżeli to rzecz podobna, dziś jeszcze wię-

cej kocham niż innych. A dalej, jak się powiedziało, miałem córkę Zeffen, wydaną za mąż do Sawerny za pożądanego i uczciwego człowieka Barucha. Była ona najstarszą z dzieci, i przyniosła mi już wnuczka, który otrzymał imię Dawid, według rozkazu Przedwiecznego, aby zastępowano zmarłych w rodzinie: Dawid było imię dziadka mojego zięcia Barucha. Następny syn, którego się spodziewano, powinien był wziąć imię mojego ojca: Ezdrasz.

Oto kochany Frycu, jak u mnie stały rzeczy przed oblężeniem Falcburga w r. 1814. Aż do tej pory wszystko szło niezgorzej; ale w sześć tygodni później nastąpiły ciężkie czasy dla miasta i dla całego kraju. Przyszła tyfus, rannych tysiące napełniły miasto a ponieważ od lat dwóch w polu i w domu rąk brakło do pracy, wszystko więc podróżowało niezmiernie, i chleb, i mięso, i napoje. Z Alzacyi i Lotaryngii nic z tego nie pokazywało się na targu; towar nagromadzony po sklepach nie miał pokupu; a kiedy się towar nie sprzedaje, to tyle wart co kamień albo piasek. Człowiek wśród obfitości żył w nędzy; głód ze wszystkich stron doskwierał, wszędzie się wciskał jak powietrze.

Jednakże pomimo tego wszystkiego, Przedwieczny sprawił mi wtenczas wielką radość; bo właśnie o tym czasie, jakoś na początku listopada, otrzymałem wiadomość, że Zeffen powiła drugiego syna i że chłopak był zdrow jak ryba. Tak byłem uszczęśliwiony tą wieścią, że natychmiast pobiegłem do Sawerny.

Potrzeba ci wiedzieć Fryc, że wielka radość moja pochodziła nie tylko z tych urodzin wnuczka dla mnie, ale też i ztąd, że wiedział, iż byle dziecko się odchowało, zięć mój Baruch nie pójdzie pod karabin. Dotąd mu się zawsze pod tym względem szczęściło. Kiedy Cesarz rozkazał był swojemu senatowi postanowić, że wszyscy niezonaci' isé powinni do wojska, Baruch był już po ślubie z Zeffen; a kiedy kazał postanowić, że wszyscy żonaci, ale niemający dzieci, isé także muszą, wtedy miał już pierwszego syna. Teraz, kiedy po nieszczęsnych nowinach już się kuło postanowienie, że nawet wszyscy ojcowie rodziny mający jedno dziecko nie osiedzą się w domu, Baruchowi urodziło się drugie!

W owym czasie prawdziwym szczęściem było mieć dużo dzieci, aby ojca chroniły od rozsiękania; niepodobna czegoś lepszego pożądać! Widzisz tedy, dla czego zaraz pochwyliłem kij

do ręki i wyruszyłem w drogę: chciałem się co prędzej przekonać, czy dziecko zdrowe i czy ocali swego ojca?

Ale niejeden rok upłynął i upłynie, jeżeli mi Bóg życia pozwoli, a ja zawsze pamiętać będę ów dzień i to wszystko, co widziałem po drodze.

Wyobraź sobie: na całej pochyłości wzgórzy po za miastem droga była zawałona wozami pełnemi rannych i chorych, ciągnącemi się nieprzerwanym łańcuchem od Quatre-Vents aż do Sawerny. Chłopi alzaccy, spędzeni przez rekwizycję dla przewozu tych nieszczęśliwych, w nocy powyprzęgali konie i zemknęli, wyrzekając się wozów. Szron z wierzchu przysypał wszystko; nikt się już ani ruszał, wszyscy byli nieżywi na tym długim bez końca cmentarzu! Tyśiące kruków chmurami unosiły się w powietrzu; widziałem tylko trzepotanie ich skrzydeł, słyszałem tylko przeraźliwą wrzawę krakania. Nigdy mi wprzód ani w głowie nie powstało, że niebo i ziemia może wydać tyle kruków! Obrzydłe ptastwo spadało na wozy; ale w miarę przybliżania żywego człowieka, stworzenia te zrywały się i ulatywały, jedne do lasku Bonne-Fontaine, inne do ruin klasztoru Dann.

Przyśpieszałem kroku, trzymając się skraj drogi. Czulem, że nie wypadło marudzić: tyfus następował mi na pięty!

Szczęściem pierwsze przymrozki zimowe rychło zawitały do Falcurga; chłodny wiatr powiał od gór Schneebergu i wielkie prądy górskiego powietrza rozpedziły wszystkie te złośliwe niemoce; a powiadają, że niedaleko już było nawet do morowej zarazy.

To, co ci przed chwilą opisałem, nazywało się odwrotem z pod Lipska, a było na początku listopada.

Kiedy przybyłem do Sawerny, znalazłem całe miasto zapchane żołnierstwem; artylerya, piechota, jazda, wszystko było bezładnie pomieszczone jak w garnku.

Przypominam sobie, że w jednym domu zajezdny na głównej ulicy miasta, okna stały otworem, a przez nie dostrzegałeś długie stoły śnieżnemi przykryte obrusy i zastawione do obiadu. Wszyscy z gwardyi przybocznej zatrzymywali się przed tym domem; byli to młodzi synowie bogatych rodzin, mundury mieli zaszargane i podarte, ale pieniędzy huk w kieszeni. Ledwie który w pochodzie rzucił okiem na te stoły, wnet zeskakiwał z konia i wpadał do

oberży. Ale gospodarz zajazdu Hannès wymagał od każdego zapłaty po pięć franków z góry; a kiedy biedne chłopaki rzuciły się na potrawy, służąca wbiegała z wraskiem:

— Prusacy!... Prusacy!...

Wnet jak obłąkani wszyscy się zrywali od stołu, i nie rzuciwszy nawet okiem z kąd grozi niebezpieczeństwo, dosiadali koni i zmykali za innymi. W ten sposób Hannès po dwadzieścia i więcej razy sprzedawał jeden obiad.

Nieraz później zastanawiałem się nad tem, i zawsze mi się zdawało, że podobni Hannesowi rabusie warci są stryczka. Zaprawdę! taki sposób wzbogacania się nie chodzi w parze z istotnym handlem. Wzdrygałem się z oburzenia!...

Ale gdyby ci wszystko opisywać: te postacie znękane chorobami, to ich bezładne padanie po drodze, te jęki co rozdierały ich piersi a nade wszystko owe łyzy usiłujących iść dalej, lecz nie mogących już zrobić kroku,—gdyby ci to wszystko odmalować, obaczyłbyś coś jeszcze okropniejszego... tegoby już było za wiele! Widziałem u poręczy, starego mostu w Tannerie jednego z przybocznej gwardyi cesarskiej, młodzieńca lat siedemnastu lub ośmnastu, leżącego z kamieniem pod głową. To dziecko nigdy mi

nie wyjdzie z pamięci. Nieszczęśliwy kiedy niekiedy przychodził do siebie i pokazywał rękę czarną jak węgiel, miał kulę uwieszłą w grzbiecie, a ręki już na prawdę nie było. Biedny zapewne spaść musiał z wozu. Nikt z przechodzących nie miał odwagi przynieść mu pomoc, bo powiadano:

— Tyfus!... zarażony tyfusem!...

Ile nieszczęśliwości! ile nieszczęśliwości! Włosy powstają, gdy o tem pomyślisz.

Teraz kochany Frycu, muszę ci jeszcze coś innego powiedzieć: w ten sam dzień widziałem marszałka Victora.

Z Falcburga wybrałem się nieco przypóźnie; dobrze już tedy ciemniało, kiedy wszedłszy w główną ulicę, postrzegłem w oberży pod „Słońcem“ wszystkie okna oświetlone z góry do dołu. Dwa szyldwachy mierzonym krokiem przechadzały się pod filarami; oficerowie w całym uniformie wchodzili i wychodzili z oberży; przeliczne konie stały poprzywiązywane wzdłuż ściany; w dziedzińcu jak dwie gwiazdy błyszczały u powozu latarnie.

Żołnierze stojący na warcie rozpedzali zbierających się na ulicy; potrzeba jednak było ko-

niecznie przejść koło oberży, gdyż Baruch mieszkał dalej.

Już miałem posunąć się naprzód z pośrodku tłumu, już się szyldwach przybliżał wykrzykując: „Na bok! na bok!...” gdy jakiś oficer od huzarów, mały, przysadzisty człowieczek, z ogromnymi rudymi bokobrodami, wysunął się z pod filarów i zbliżając się ku mnie, zawołał:

— Wszak to Mojżesz! wszak to ty stary kolego!... Doprawdy, rad jestem, żeśmy się z sobą spotkali!

I mówiąc to ścisnął mnie za rękę.

Ja naturalnie szeroko otworzyłem oczy. Wiadzieć jak wyższy oficer ścisnął rękę prostego śmiertelnika, to rzecz wcale niepowszednia, z nie miałem więc zadziwieniem patrzyłem na oficera. Nareszcie poznałem Zimmera.

Przed trzydziestu pięciu laty chodziliśmy z nim razem do szkoły ojca Genaudeta, biegaliśmy razem po mieście, czepiali się po wałach i fosach, ślizgali się po lodzie, zwyczajnie jak dzieci. Jednakże później Zimmer niejednokrotnie przechodził przez Falcburg, lecz ani razu nie zgłosił się do dawnego towarzysza Mojżesza.

— No! — rzekł śmiejąc się i biorąc mnie za barki: zbliż się też nieco!... Muszę cię zaprowadzić do marszałka.

I mimo chęci, oniemiały, zmieszany okropnie, dostałem się pod filary, a ztamtąd do wielkiej sali, w której nakryte były do wieczery dla sztabu dwa długie stoły, uginające się pod rzesistem oświeceniem i butelkami.

Mnóstwo wyższych oficerów: jenerałowie, pułkownicy, dowódcy huzarów, dragonów, w kapeluszach z piórami, w szyszakach, w czerwonych kaszkietach, z podbródkami zwisłymi na potężne chustki na szyi, z szabłami włóczącymi się po ziemi,—przechadzało się po sali, gawędząc i czekając oczywiście hasła zabrania się do wieczery.

Trudno się było przez tę ciżbę przedrzeć do głębi; ale Zimmer nie wypuszczał mej ręki i ciągnął na drugą stronę sali, aż stanęliśmy przed niewielkimi drzwiami, przez które snopy światła wpadały z następującej komnaty.

Wstąpiliśmy do wysokiej izby o dwóch oknach wychodzących na ogród.

W niej spostrzegłem marszałka! Stał obrócony do nas plecami, z głową odkrytą i dyktował oficerowi siedzącemu przy okrągłym stoliku rozkazy do armii. To było wszystko, co zrazu pod wpływem pomieszania dojrzeć mogłem.

Kiedyśmy weszli, marszałek się odwrócił, i tejże chwili postrzegłem, że miał pocziwiał twarz starego chłopca lotaryńskiego. Był to człowiek słusznego wzrostu i silnej budowy, już nieco szpakowaty; miał lat około pięćdziesięciu, a wydał mi się okrutnie na swój wiek jędrnym.

— Marszałku, rzekł do niego Zimmer: mamy tu człowieka jakiego nam potrzeba! Jest to mój dawny szkolny kolega Mojżesz, zuch w całym znaczeniu, który w ciągu lat trzydziestu zbiegał kraj wzdłuż i poprzek i na palcach policzy wszystkie wioski Alzacyi i Lotaryngii.

Marszałek zatrzymał się o cztery kroki i wlepił we mnie przenikliwe spojrzenie. Z czapką w rękę stałem przed nim jak złowiony na gorącym uczynku przestępstwa. Popatrzawszy na mnie chwilę, marszałek wziął podany sobie przez sekretarza papier, rzucił nań okiem, podpisał, a potem znowu zwracając się do mnie:

— Cóż tedy mój zuchu!—rzecze—co tam gadają o ostatniej wyprawie? co tam u was rozprawiają po wioskach?

Gdym posłyszał, że mnie nazywa „swoim zuchem,“ odwaga wstąpiła we mnie. Odpowiedziałem więc, że tyfus niemało wyrządza złego, ale nikt nie traci ufności, bo wiedzą, że

cesarz ze swoją armią zawsze jest w pogotowiu...

A gdy mi przerwał opryskliwe:

— Tak, tak! ale czy zechcą się bronić?

Blady jak trup odrzekłem:

— Alzaty i Lotaryńczycy tacy są ludzie, że do ostatniej kropli krwi bronić się będą...

Mówiłem tak, żeby mu sprawić przyjemność; ale marszałek snadź widział z mojej twarzy, iż bynajmniej nie należałem do lubiących zapach prochu, bo się uśmiechnął i rzekł udobruchany:

— No! to i dosyć mi na tem komendancie; bardzo dobrze!

Sekretarz pisał dalej. Zimmer skinął na mnie i wyszliśmy razem z komnaty. Rozstając się przed gankiem, Zimmer głośno zawołał, pewno dla tego, żeby go straż posłyszała:

— Szczęśliwej drogi panie Mojżesz! szczęśliwej drogi!

Szyldwach puścił mię bez odwołki i cały drżący jeszcze z niepokoju poszedłem dalej.

Wkrótce stanąłem przed niską fartką Barucha, w głębi uliczki zabudowanej niegdyś stajniami i wozowniami kardynała. Zapukałem, i czekałem chwil kilka nim mię wpuszczono.

Noc była już całkiem zapadła.

Co za szczęście mój Frycu, po napatrzaniu się na tyle okropnych rzeczy, stanąć nareszcie tam, gdzie spoczynku zażywają ukochani!... Jak słodko wtenczas bije nam serce! z jakim politowaniem spoglądamy na potęgę i chwałę, sprawczyźnie tylu nieszczęść dla świata!

Po niejakej chwili usłyszałem, że zięć mój wyszedł na podwórko i począł otwierać wrota. Baruch i Zeffen nie spodziewali się mojego przybycia.

— To wy ojczy?—zagadnął Baruch.

— Ja mój synu, ja!... Przychodzę nie w porę... spóźniłem się i bardzo!

— Wejźcie!

I weszliśmy do małej alei, a potem do izby, w której moja Zeffen spoczywała na łożu, blada niezmiernie, lecz jaśniejąca uszczęśliwieniem.

Poznała już mię była po głosie i uśmiechała się do mnie. Serce mi w piersiach podskakiwało z radości; nie mogłem przemówić ani słowa. Ucałowałem córkę, i począłem zaraz rozglądać się na wszystkie strony, szukając małego. Zeffen trzymała go na ręku pod kołdrą.

— On tutaj!—rzekła.

I pokazała mi chłopca owiniętego w pieluchy. Postrzegłszy przedewszystkiem, że był tłusci-

chny, zdrow i rączęta miał zaciśnięte w kulaki, zawołałem:

— Baruch! to Ezdrasz! to mój ojciec! Niechże będzie pozdrowion na tym świecie!

I zapragnąłem oglądać go nagiego i począłem rozwijać pieluchy. Od światła siedmioramiennego lichtarza było gorąco w izdebce. Rozpocząłem go drżącemi rękoma, a chłopak milczał. Białe dłonie mojej Zeffen pomagały mi w robocie.

— Pozwól ojczy!—mówiła—poczekaj, ja go odsłonię.

Zięć mój stał za mną i przypatrywał się temu. Wszyscy lży mieliśmy w oczach.

Rozebrałem go i trzymałem przed sobą. Był cały rumiany, a duża główka jego chwiała się jeszcze w ospałości po wielkim śnie wieków. I podniosłem go nad głowę, i oglądałem z każdej strony, widziałem skurczone jego drobne nóżęta, jego pierś szeroko zakreśloną, jego obfite łędźwie; i chciało mi się tańcować, jak Dawid tańcował przed arką, i chciałem śpiewać jak on śpiewał: „Chwalcie dzieci Pana, chwalcie imię Pańskie! Niech będzie imię Pańskie błogosławione odtąd i aż na wieki! Od wschodu słońca aż do zachodu chwalebne imię Pańskie!

Wysoki nad wszystkie narody Pan, a nad niebiosa chwała jego! Któż jako Pan Bóg nasz, który mieszka na wysokości, a na niskie rzeczy patrzy na niebie i na ziemi! podnoszący z ziemi nędznego, a z gnoju wywyższający ubogiego, aby go posadził z książętą, z książętą ludu swego! który czyni, iż nieplodna mieszka w domu matka synów wesoła!... Sprawiedliwy jako palma rozkwitnie, jako drzewo cedrowe na Libanie rozmnoży się!... Chwalcie imię Pańskie, chwalcie służy Pana! Chwalcie go na cymbalech głośnych, chwalcie go na cymbalech krzykliwych! Wszelki duch niech Pana chwali!..“

Powiadam ci, że chciałem tak śpiewać; ale wszystko co mogłem wypowiedzieć, było tylko:

— Piękny chłopak! zdrowutki! żyć będzie długo! będzie błogosławieństwem naszego plemienia i uszczęśliwieniem naszej starości!

I pobłogosławiłem ich wszystkich.

Następnie, oddawszy nowonarodzonego matce, aby go znowu spowiła, pośpieszyłem ucałować drugiego chłopczyka, który spał jak bobak w kolebce.

Długo tak pozostaliśmy razem, spoglądając jedno na drugiego wzrokiem radości. A tam po za domkiem słychać było bez przerwy tętent

koni, krzyki żołnierzy, turkot wozów. W izdebce panowała zupełna cisza; matka karmiła niemowlę.

Ach Frycu! jestem już stary, a jednak wszystkie te dawno minione rzeczy stoją mi jak żywe przed oczyma. Serce, gdy o tem wspomynam, silniej mi bić zaczyna, i dzięki składanemu Najwyższemu za jego wielkie miłosierdzie dla mnie. Dobroć jego złała obfitość lat na moją głowę, dozwoliła mi oglądać trzecie pokolenie potomstwa; a jednak dotąd nie jestem przesycony życiem: chciałbym żyć jeszcze, aby oglądać czwarte i piąte pokolenie... Niech się stanie wola Pańska!

Zamierzałem opowiedzieć dzieciom, co mię spotkało w hotelu pod „Słońcem“; ale w obec radości, która w ich domu spłynęła na mnie, wszystko mi to wydało się lichem. Dopiero po wyjściu z izdebki mojej Zeffen, siedząc w ościenym pokoiku przy kęsku chleba i szklance wina, opowiedziałem Baruchowi po cichu, aby córce snu nie przerywać, całą ze mną przygodę. Baruch był niepomału wzruszony.

— Uważaj mój synu— rzekłem— ten człowiek pytał mię, czy zechcemy się bronić? To dowodzi, że sprzymierzeńcy ścigają naszą armię, że

mil seciny idą za nią, że nie można już zagrozić im wstępu do Francji... I oto wśród naszego uszczęśliwienia, wielkich nieszczęść obawiać się potrzeba... Wkrótce cudzoziemcy zapłacą nam z naddatkiem za wszystko złe, któreśmy im przez lat dziesięć wyrządzali... Tak mi się zdaje... dałby Bóg, żebym się omylił!

Następnie i myśmy obaj układli się także do spoczynku. Była już godzina jedenasta nocy, a zgiełk na mieście nie ustawał.

II.

Nazajutrz rano, po śniadaniu, wziąłem znowu kij podróźny w rękę, zabierając się do powrotu do Falcburga. Zeffen i Baruch usiłowali mię zatrzymać, ale im odparłem:

— Zapominacie o matce, która tam czeka na mnie. Biedna nie ma ani chwili spokojności: to wchodzi to wychodzi z domu, wygląda to przeze drzwi, to przez okno. Muszę iść zaraz. Kiedyśmy tutaj spokojni, nie godzi się, aby Sara miała być dręczona niespokojnością.

Zeffen przestała nalegać; napełniła mi kieszenie jabłkami i orzechami na gościniec dla swego brata Safelka. Uścisnąłem raz jeszcze wszyst-

kich dorosłych i małych; potem Baruch odprowadził mię aż na koniec ogrodów, z kąd się dwie drogi rozchodzą do Schlittenbachu i Lutzelburga.

Wszystkie wojska były już przeszły; wleki się tylko pojedynczemi kupkami marudery i chorzy. Ale w oddaleniu czerniało jeszcze na pochyłości długie pasmo stojących wozów, i widać było w pobliżu gromady robotników zabierających się do kopania dołów.

Wzdrygnąłem się na samą myśl przechodzenia raz jeszcze tamtędy. Gdyśmy więc stanęli na rozdrożu, ścisnąłem dłoń Barucha, przyrzekłem mu, że przybędziemy razem z matką na uroczystość obrzezania, i puściłem się już nie wielką drogą, ale ścieżką wijącą się po dolinie przez lasy na Zorn.

Ścieżka była zasypana suchem liściem; całe dwie godziny szedłem po wznoszącej się z wolna pochyłości, rozpamiętywając wczorajszego dnia wypadki. Myślałem o domu zajezdnym pod „Słońcem“, o Zimmerze, o marszałku Victorze, który jak żywy stał przedemną w całej okazałości słusznego wzrostu, szerokich ramion, siewiącej już głowy i munduru suto wyszywanego złotem. Potem znowu wystawiałem sobie

izdebkę mojej Zeffen, niemowlątko i jego matkę i Barucha. Potem jeszcze cisnęła się do myśli wiążąca nad naszymi głowami wojna i tłuny nieprzyjaciół, którzy już ze wszystkich stron walili na Francję...

Niekiedy zatrzymywałem się wśród padołów, zarosłych jedliną, dębem i bukiem, całkiem zda się odgradzonych od świata, i mówiłem w duchu:

— Któż zaręczy? wkrótce może Prusacy, Austriacy, Ruscy będą po tych ścieżkach deptali!

Ale inna myśl radowała moją duszę; mówiłem sobie:

— Mojżesz! twoi dwaj chłopcy, Icek i Fromel, są w Ameryce niedostępni dla armatnich wystrzałów; z pakami towarów na plecach chodzą tam z wioski do wioski i ani zaznają niebezpieczeństwa. Twoja córka Zeffen również może spać spokojnie; Baruch ma dwoje ślicznych dzieci i zostanie przy nich do końca wojny, choćby nie wiem jak długo się przeciągnęła. Będzie sprzedawał skóry na trzewiki i mantelzaki dla innych, ale sam osiedzi się w domu.

Uśmiechałem się na myśl, że byłem za stary na rekruta, że siwa moja broda ratowała mnie od werbowników i że ani jednego z mojej rodziny nie pochwyca. W istocie uśmiechałem

się radośnie, widząc, że wszystko bardzo rozumnie urządziłem i że Pan przez miłosierdzie swoje ze ścieżki mojej usunął głązy i ciernie.

Widzieć, że wszystko nam się wywija jak z płatka, nie miała to radość, mój Frycul

Tak rozmyślając, stanąłem szczęśliwie w Lutzelburgu i wstąpiłem do oberży Brestela pod „Bocianem“ na filiżankę czarnej kawy.

Tam zastałem Bernarda, który handlował mydłem, a którego ty nie pamiętasz; był to mały człowieczek, z lysiną od czoła do karku i z wielkimi guzami na głowie. Przy nim siedział leśniczy Donadieu z Harberga. Przy ścianie stała króbką z towarem Bernarda i strzelba strażnika; sami zaś oni siedzieli przy jednej butelce i popijali wino. Brestel im pomagał.

— A! to ty, Mojżesz! — zawołał Bernard. — Zkądże to u dyabła dybiesz tak rano?

Pod owe czasy chrześcijanie mieli zwyczaj „tykania“ wszystkich żydów, nawet starców. Odpowiedziałem, że wracam z Sawerny przez padoły.

— A! toś widział rannych — rzekł strażnik. — Cóż ty o tem myślisz, Mojżesz?

— Co ja myślę? Widziałem rannych—odrękle smutnym głosem;—widziałem wczoraj wieczorem: okropność!

— No, tak!—rzekł obojętnie strażnik. Teraz wszystko co żyje w okolicy, pobiegło tam na wzgórze, bo stara Gredel z Quatre-Vents odszukała na jednym z wozów synowca swego Józefa Berthę, kulawego zegarmistrzyka, co jeszcze w roku zeszyłym pracował przy warsztacie ojca Guldena. Wszyscy więc z Dagsberga, z Houpe, z Garburga pobiegli tam, sądząc, że w stosie trupów odszukają braci, synów, krewniaków!

I mówca z politowaniem wzruszył ramionami.

— Smutne to rzeczy—ozwał się z kolei Brestel;—smutne, ale musiały nastąpić. Handel od lat dwóch osowiał zupełnie. Mam tam na podwórzu za trzy tysiące liwrów rozmaitych desek i dylów. Kiedyś poleżałoby to nie dłużej nad półtora, najwięcej dwa miesiące; teraz leży i gnije na miejscu, aż patrzeć żal! Nie chcą brać tego więcej nad Sarrą, nie chcą w Alzacyi, nikt o nie nie zapyta, niczego nie kupi. Handel w oberży tak samo niewart dobrego słowa. Nikt nie ma złamanego grosza w kieszeni, każdy siedzi w domu jak przykuty, 'szczęśliwy, jeżeli ma

jeszcze kartofle do jedzenia i zimną wodę do picia. Tymczasem moje wino i piwo kwaśniej w piwnicy i pleśnią porasta. A wszystko to nie przeszkadza, żeby weksle jak raz przybywały na termin: potrzeba płacić, albo przyjmować odwiedziny komornika.

— Ba!—zawołał Bernard:—to samo dzieje się wszędzie i dla wszystkich. Ale co to obchodzi cesarza, czy dobrze kto sprzedaje, albo nie sprzedaje dęsek lub mydła, jeżeli podatki się znoszą, a rekruci napływają bez przerwy?

Donadien zauważył, że towarzysz jego trochę za wiele pociągnął z butelki; wstał tedy po ciachu, zawiesił na plecach strzelbę i wyszedł, mówiąc:

— Bywajcie zdrowi przyjaciele, bywajcie zdrowi! Pogadamy o tem później.

W parę minut, zapłaciwszy za kawę, wyszedłem także z oberży.

Nic nie powiedziałem na uwagi robione w oberży, ale myślałem tak samo jak Brestel i Bernard, bo widziałem, że mój handel żelaztmem i starem odzieniem również nie idzie. Przechodząc około Baraków, mówiłem sam do siebie:

— Potrzeba ci, Mojżeszu, zwrócić się do czegoś innego. Wszelki handel krucho stoi... ależ

nie sposób przejechać wszystko do ostatniego szeląga, siedząc z założenymi rękoma! Musimy dać sobie rady... trzeba wyszukać coś takiego, co zawsze ma pokup... Ale cóż zawsze znajduje nabywców? Wszelkie towary czas jakis idą dobrze, a później kijem nie wypędzisz ich z kramu.

Tak rozmyślając, przeszedłem z końca w koniec Baraki du-Bois-de-Chênes. Wszedłem już był na płaszczyznę, z kądem widzieć można stoki warowni, oraz linię szańców i bastyonów, gdy wystrzał z działa uprzedził mnie, że marszałek wyruszył z noclegu. Jednocześnie w oddaleniu na lewo, od strony Mittelbronn, postrzegłem rząd obnażonych szabel, migających jak błyskawice pomiędzy topolami, któremi wielka droga była wysadzona. Drzewa ogołocone z liści, pozwalały mi również widzieć powóz, który otoczony strojnymi w pióra jeźdźcami na koniach, pędził jak wiatr ku zachodowi.

Wystrzały armatnie w krótkich przerwach następowały jeden po drugim, a góry powtarzały je regularnie i odgłos roznosiły po dolinach. Pomyślawszy, że nie dalej niż wczora widziałem tego człowieka o kilka kroków przed sobą, rozumiałem, że chyba we śnie to było.

Nareszcie około godziny dziesiątej przeszedłem most Porte-deFrance. Ostatni wystrzał z działa zagrział z bastyonu Prochowni; tłum ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci, uradowanych jakby z jakiej uroczystości, rozchodził się z szańców. Oni nie nie wiedzieli, nie myśleli o niczem; okrzyki: „Niech żyje cesarz!“ rozlegały się po wszystkich ulicach.

Przeciskałem się przez tłum, byłem szczęśliwy, że dobrą nowinę przyniosę żonie; szeptałem już zawczasu: „Mały dobrze się miewa, Saro!“ gdy w rogu rynku postrzegłem ją stojącą przed bramą. Wnet z głośnym śmiechem podniosłem kij do góry, jak gdybym chciał powiedzieć: „Baruch ocalony! możemy się uśmiechnąć!“

Sara mię zrozumiała i zaraz wróciła do domu; ale dopędziłem ją na schodach i rzekłem obejmując niebogę:

— Chłopak dziarski co się zowie! Co za dziecko! Okrągły jak wałek, a cały rumiany! Zeffen też ma się dobrze. Baruch polecił cię ucałować. Gdzież Safel?

— Safel na rynku, kręci się około sprzedaży.

— Wybornie!

Weszliśmy do izby. Usiadłem i począłem wychwalać malca naszej Zeffen. Sara słuchała

rozpromieniona radością, przenikała mię duże-
mi czarnemi oczyma i pot mi ocierała z czoła,
gdyż biegłem prędko i niezmiernie byłem zdy-
szany.

Wkrótce też przyszedł Safel. Nim zdołałem
odwrócić głowę, już siedział na moich kolanach
i obie ręce zapuścił w moje kieszenie. Dziecko
wiedziało, że siostra jego Zeffen nigdy nie prze-
pomniała o niem. Sarze również zachciało się
skosztować jabłek...

Ale, kochany Frycu, zagadałem się na dobre!
Gdy pomyślę o tych rzeczach, wszystko mi za-
raz przychodzi na pamięć; mógłbym gadać
a gadać i nigdy nie skończyć.

Było to w piątek, w wigilię sabatu. Szabbes-
goje (kobieta obcego wyznania, używana pod-
czas święta do posług wzbronionych Izraelitom
przepisami Mojżesza) powinna była przyjść po
południu. Tymczasem zasiedliśmy sami do obia-
du, a gdy przy stole po raz dziesiąty opisywa-
łem, jakem się spotkał z Zimmerem i jak ten
mię zaprowadził przed księcia de Bellune, moja
kobieta powiedziała mi, że marszałek ze swoim
sztabem konno objeżdżał tutejsze fortyfika-
cye, oglądał strażnice, bastiony, stoki, szanice,
i oświadczył powracając przez ulicę Collège, że

warownia wytrzyma ośmnaście dni oblężenia
i że natychmiast przystąpić należy do postawie-
nia jej na stopie obronnej.

Zaraz przypomniałem sobie, że marszałek za-
pytywał mię, czy zechcemy się bronić?

— Ten człowiek jest przekonany — zawoła-
łem, — że nieprzyjaciele przyjdą do nas! Jeżeli
każe zaciągać armaty na wały, to wie, że na-
dejdzie potrzeba ich użycia. Nie byłoby sensu
nakazywać przygotowań, gdyby się na nie przy-
dać nie miały. A jeżeli sprzymierzeni nad-
ciągną, to wyjdzie rozkaz zamknięcia bram for-
tocy. Cóż wtedy pocniemy bez handlu? Ani
wejścia, ani wyjścia wieśniakom nie dopuszczą;
cóż my wtenczas pocniemy?

Teraz to się okazał cały dowcip mojej Sary,
bo mi zaraz odrzekła:

— Już o tej rzeczy myślałam, Mojżeszu. Że-
lazo, stare chodaki i inne podobne towary ku-
pują tylko włościanie. Potrzeba wziąć się do
handlowania takim towarem, którego wszyscy
w mieście potrzebują, który wszyscy mieszczą-
nie, żołnierze i wyrobnicy kupować od nas mu-
szą. Oto co zrobić potrzeba.

Zdziwiony patrzałem na nią; Safel także przy-
słuchiwał się rozmowie wspany łokciami na stole.

— Bardzo to dobrze Saro, powiedziałem; ale proszę, cóż to za towar, który żołnierze, mieszczanie i wszyscy a wszyscy kupować od nas muszą? co to za towar?

— Uważaj tylko—rzekła—jeżeli zamkną bramy i wieśniacy nie będą mogli przyjeżdżać ani przychodzić do miasta, to nie postanie na rynku ani jaj, ani masła, ani ryb, niczego zgoła. Przyjdzie się żywić solonem mięsem, suszonymi jarzynami, mąką, słowem zwrócić się do tego, co dłużej daje się przechowywać. Kto tego nakupuje, będzie mógł odprzedawać ile zechce: wzbogaci się od razu!

Byłem zachwycony tą radą i zawołałem:

— Ach Saro, Saro! przez lat trzydzieści ty jesteś mojem szczęściem. Zaprawdę! napełniałaś duszę moją wszelkimi radościami; po sto razy mówiłem i powtarzam: „Kto znalazł żonę dobrą, znalazł rzecz dobrą i wyczerpuje pociechę od Pana. Niewiasty dobrej błogosławiony mąż, bo liczba lat jego dwojaka! Łaska nad łaską żona święta i sromiężliwa. Jako słońce wschodzące światu na wysokości bożej, tak piękność dobrej żony ku ochędóztwu domu jej. Świeca świecąca na lichtarzu świętym, a piękność twarzy w leciech statecznych!“ Mówiłem

to po sto razy, ale dziś widzę jeszcze lepiej czegoś godna, i tem cię więcej poważam. „Niewiastę męzną któż znajdzie? daleko i od ostatecznych granic cena jej! Szukała wełny i lnu, i robiła dowcipem rąk swoich; stała się jako okręt, z daleka przywożąca żywność swoją!“

Im pilniej rozważałem, tem bardziej mi się podobała rozumna rada Sary; nakoniec rzekłem do niej:

— Saro! mięso, mąka i wszystko co się długo przechowuje, znajdzie się w magazynach fortecnych; zwierzchność wojskowa zapobieży, by żołnierzom długo tych rzeczy nie zabrakło. Ale czego może zabraknąć, to gorzałki! be gorzałki dużo potrzeba ludziom, ażeby się rąbali i wytępiali na wojnie. Sprowadzimy więc zapas wódki. Będziemy jej mieli podostatkiem w piwnicy, będziemy sprzedawali i nikt jej nigdzie nie znajdzie, tylko u nas. Ot co ja myślę!

— Rozsądna myśl, Mojżesz—rzekła;—masz słuszność, zgadzam się z tobą.

— Napiszę zaraz polecenie — odrzekłem,— i całą swą gotowiznę włożymy w spirytus. Wody do niego, wedle miary jaką cenę ktoś zechce zapłacić, będziemy dolewali sami. Tym sposobem transport taniej nas będzie kosztował,

niż gdybyśmy sprowadzali wódkę. Nie ma potrzeby płacić za przewóz wody, skoro ją mamy o trzy kroki tutaj.

— Masz słuszność Mojżeszu,—przyświadczyła mi Sara.

Porozumieliśmy się tedy najściślej. A gdy zwracając się do Safelka, rzekłem:

— Pamiętaj, żebyś o tem ani pisał po za domem!

Ona za niego odpowiedziała:

— Nie potrzeba mu tego zalecać, Mojżeszu; Safel wie dobrze, iż to się gadało między nami i że od sekretu nasze powodzenie zależy.

Chłopiec długo miał do mnie urazę za te słowa: „Pamiętaj, żebyś o tem ani pisał!“ był już bowiem młodzieńczyk pełen roztropności i upokarzała go myśl, że jest miany przez ojca za niedołęgę. Po latach wielu sam to mi powiedział, i musiałem się przyznać, że niesłusznie z nim postąpiłem.

Każdy ma swoją miarkę rozumu. Roztropność dziecięca nie powinna być poniżana, lecz i owszem rodzice podnosić ją powinni.

III.

Napisałem tedy do Pézenasu. Południowe to miasto prowadzi rozległe obroty wełną, winem, gorzałką; tamtejsze umowy o gorzałkę regulują ceny tego towaru na rynkach Europy. Kto chce roztropnie chodzić około handlu, powinien wiedzieć takie rzeczy, a ja wiedziałem, bo zawsze z przyjemnością czytywałem po dziennikach cenniki towarów. Tak trzeba postępować w każdej sprawie! Zażądałem tedy od pana Quataia z Pézenasu, aby mi wysłał dwanaście okseftów spirytusu. Wyrachowałem, że z dostawą na miejsce każdy okseft nie będzie mię więcej kosztował nad tysiąc franków.

Ponieważ handel żelazem już ze dwa lata szedł jak po grudzie, sprzedawałem więc po trochu, nie robiąc żadnych nowych zapasów; z tego powodu wyliczenie dwunastu tysięcy liwów bynajmniej mię nie turbowało. Powiem ci jednak, Fryc, że te dwanaście tysięcy stanowiły połowę mojego majątku, a zatem możesz sobie wyobrazić, jakiej było potrzeba odwagi, żeby postawić na jedną kartę co się zbierało przez lat piętnaście!

Ledwo list wyprawilem, już chciałem go cofnąć, ale było po czasie. Nie mając tedy co lepszego robić, udawałem spokojnego i mówiłem do żony:

— Wszystko pójdzie jak po maśle! pomnożymy swój kapitał we dwójnasób, we trójnasób i t. d.

Ona także udawała spokojność, ale oboje truchleliśmy ze strachu. Przez sześć tygodni, których było potrzeba na przyjęcie zawiadomienia o odebraniu mojego listu i akceptacyi polecenia, na doręczenie faktury i spirytusu w Falcburgu, sen w nocy uciekał odemnie; jedna myśl jak na kołowrotku kręciła się po głowie:

— Mojżesz! jesteś wyzuty ze wszystkiego; jesteś do szczytu zrujnowany!

Zimny post występował mi na czoło. A jednak, gdyby ktoś powiedział: „Uspokój się, Mojżesz, ja wezmę twój interes na siebie“—byłbym bez wahania odrzucił propozycję, bo żądza zysku równoważyła się we mnie z obawą straty. Po tem właśnie poznaje się prawdziwych kupców, prawdziwych generałów, słowem każdego, kto robi coś z wewnętrznego popędu i sam przez siebie. Kto tego nie czuje, ten jest machiną

do sprzedawania tabaki, nalewania kieliszków, albo nabijania karabina i spuszczenia cyngla.

Sprawa wodza i kupca na jedno wychodzi; chwała jednego równie jest wielka jak drugiego. Oto dla czego, gdy wymawiamy wyrazy: Austerlitz, Jena, Wagram, nie ma rzeczy o jakimś Janie, Pawle lub Gawle, ale o jednym tylko Napoleonie. Sam on jeden stawiał wszystko na kartę, inni ryzykowali tylko życie.

Nie mówię tego, żeby się porównywać z Napoleonem; ale kupno tych dwunastu okseftów spirytusu było moją bitwą pod Austerlitz!

Dobrze to pomnę, że gdy po przybyciu do Paryża dnia 11 listopada, cesarz podniósł o 30 centymów podatek od drzwi i okien, o 30 centymów od patentów, o 25 centymów od kilograma soli, wszyscy się wówczas domyślili, iż zagrożeni jesteśmy najściem nieprzyjaciół, i każdy bądź co bądź starał się wszystko wyprzedać, aby pieniądze schować do kieszeni. Kiedy pomyśle, że nie poszedłem wtedy za tym zaraźliwym przykładem i kupowałem, kiedy inni na łeb na szyję sprzedawali, dziś jeszcze dumny jestem z tego i mam siebie za odważnego człowieka!

Wśród tych obaw i troski, nadszedł dzień obrzezania maleńkiego Ezdrasza. Córka moja Zeffen była już wstała z połogu i Baruch napisał do mnie, że nie chcąc wyciągać nas z domu, sami przybędą do Falcburga. Moja więc kobieta poczęła zaraz krzątać się około przygotowania mięsiwa i ciast na uroczystość, biekugel, haman, szlach-mohes, wszystko bardzo delikatne przysmaki, robić musiała z wielką troskliwością. Co do mnie, zasięgnąłem opinii starego rebbe Heymanna względem wyboru najlepszego wina z mojej piwnicy i zaprosiłem na gody swoich najlepszych przyjaciół: Lejzera z jego żoną Buną z Mittelbronn, Santerla Hirsza i profesora Burgueta.

Burguet nie był żydem, ale godzien był zostać Izraelitą za swój rozum i nadzwyczajne talenta.

Gdy trzeba było mowy na powitanie przejeżdżającego cesarza, Burguet napisał mowę. Gdy trzeba było piosnek na obchód uroczystości narodowej, Burguet składał jednym tchem piosnki. Gdy komu nie gładko szło wymęczenie rozprawy na adwokata lub doktora, uciekał się do Burgueta, a ten mu zaraz wyszytował ją jak chciałeś, po francuzku albo i po łacinie. Gdy

trzeba było do łez rozczulić ojce i matki przy rozdawaniu nagród uczniom, wybierano do tego Burgueta; brał do ręki zwitek niezapisanego papieru i czytał z niego w jednej chwili takie rzeczy, jakich inni przez dziesięć lat pracując nie potrafiliby wysmażyć. Gdy szło o napisanie prośby do cesarza, każdemu zaraz przychodził na myśl Burguet. A gdy Burguet zadał sobie fatygi i poszedł do merowstwa bronić zbiegłego rekruta przed sądem rady wojennej, mogłeś być pewnym, że zamiast rozstrzelania go jak innych na stoku twierdzy, wyjdzie szczęśliwie na wolność. Taki był człowiek!

Po każdej podobnej robocie Burguet najspokojniej w świecie powracał do gry w pikietę z małym żydkiem Salmem, który go zawsze ogrywał; ludzie się go wcale nie obawiali. Zawsze mi się zdawało, że Burguet musiał z całego serca pogardzać ludźmi, przed którymi uchylał kapelusza. W istocie, widząc trzpiotów nadyających się powagą dla tego, że się zostało strażnikiem pól i zasiewów albo sekretarzem merowstwa, taki człowiek nie mógł z nich nie śmiać się w duchu. Wszelako tak dalece umiał żyć z ludźmi, tak wielką posiadał znajomość

świata, że nigdy się przedemną z niczem podobnem nie odezwał.

Burguet był księdzem konstytucyjnym z czasów rewolucyi; wzrost miał słuszny, postać szlachetną i głos nadzwyczaj ujmujący; dość było go usłyszeć, aby uleź mimowolnemu oczarowaniu. Na nieszczęście, nie umiał przestrzegać swoich interesów; pierwszy lepszy okradał go jak chciał. Ileż to razy mówiłem do niego:

— Na miłość bożką, Burguet, nie żartujcie ze złodziejami! nie pozwalajcie tak się oszwabiać tym niegodziwcom! Powierzcie mi swoją płacę, którą pobieracie z kollegium, a gdy ktoś zechce was skubnąć, ja tam będę, sprawdzę rachunki i zdam wam sprawę z każdego grosza.

Ale ten człowiek nie myślał o przyszłości, zawsze był niedbały o swą kieszeń.

Zaprosiłem tedy wszystkich swoich starych przyjaciół na dzień 24 listopada, i wszyscy tegoż dnia rano punktualnie stawili się na uroczystość.

Ojciec i matka, z dzieckiem, kmotrem i kmotrą, przyjechali raniutko w ogromnej budzie z Sawerny. Około godziny jedenastej obrządek skończył się w synagodze tutejszej, i wszyscy razem uradowani i szczęśliwi, bo mały ledwo

raz czy dwa zakrzyczał, powróciliśmy do domu, gdzie już wszystko było przygotowane do uczy. Na wielkim stole ozdobionym kwiatami, czekały nas ustawione na cynowych półmiskach mięsowa, w koszykach owoce, i wszyscyśmy wesoło przystąpili do obchodu tego dnia pamiętnego w naszej rodzinie.

Staruszek rebbe Heymann, Lejzer i Burguet siedzieli po prawej mojej ręce, mały Safel, Hirsch i Baruch po lewej, kobiety zaś, Sara, Zeffen, Jetela i Buna, naprzeciw nas z drugiej strony stołu, według rozkazania Pańskiego, aby mężczyźni i niewiasty byli odosobnieni na biesiadach, a to gwoli upałom krwi i rozmarzeniu przedniem winem.

Burguet, w białej chustce na szyi, w pięknym tabaczkowym surducie, w koszuli z żabotami, był moją rzetelną chlubą. Głosem podniesionym, ze wspaniałemi poruszeniami rąk i twarzy, rozmawiał równie mądrze jak dowcipnie. Mówił o starożytnych obyczajach naszego narodu, o naszych obrzędach religijnych; tłumaczył „Pasach“ (Wielkanoc), „Rosz-haszannach“ (Nowy rok), „Jom-kippur“ (Dzień pokuty) jak prawdziwy „Jed“ (Izraelita). Uważał naszą religię za wielce piękną i wysławiał geniusz Mojżesza.

Pokazało się, że znał tak dobrze „Lochene-Koidech“ (język chaldejski), jak i „Bal-kebole“ (literaturę Kabbaly).

Przybyli z Sawerny, schylając się jeden do ucha drugiego, zapytywali ciekawie:

— Co to za człowiek rozprawiający z taką powagą i mówiący tak piękne rzeczy? Byłżeby to „rebbe“ (rabin)? albo „szames“ (bedel przy synagodze)? albo „parnes“ (cywilny naczelnik) tutejszej gminy?

A gdy im odpowiadano, że nie był z naszych, podziwienie tych ludzi granic nie miało. Stary rebbe Heymann sam jeden umiał prowadzić z Burguetem rozmowę i obaj we wszystkim się zgadzali. Mówili jak ludzie uczeni o rzeczach z bliska sobie znanych, bez obrazy własnego sumienia i sumienia drugiej strony.

Po za nami, na łóżku swojej babki przysłoniomem frankami, spoczywał mały Ezdrasz, z rączkami ściśniętymi w kufki i słodyczą rozlaną na twarzyczce; spał tak mocno, że ani wybuchy śmiechu, ani głośna rozmowa, ani brząkanie szklanek nie mogły go rozbudzić. To jeden to drugi z biesiadników wstawał od stołu i przypatrywał się dziecięciu, a każdy powiedział:

— Śliczny chłopiec, podobny do swego dziadka Mojżesza!

To mię naturalnie radowało; wstawałem także, ażeby przypatrzeć się niemowlęciu. Schylony nad niem długo się mu przyglądałem, i zdało mi się, że Ezdraszek podobniejszy był do mego ojca niż do mnie.

Około godziny trzeciej, gdy mięsiwa ustąpiły ze stołu, aby dać miejsce zgotowanym na wety przysmakom, poszedłem do piwnicy po butelkę najlepszego wina, starą butelkę sławnego ze swej jagody, a pełnego ciała i mocy Roussillonu, którą schowałem był pod innemi, a która z wiekiem jak niedźwiedź obrosła mchem i pajęczyną. Wydobyłem ją pomalutku, i wróciwszy na górę, postawiłem między kwiatami na stole, mówiąc:

— Wychwalaliście inne wina, znajdując je wielce ładnemi; co też powiecie o tej butelczyni?

Burguetowi uśmiech zakwitnął na ustach, bo stare wino rozweselało jego duszę. Wzniósł ręce w górę i zawołał:

— O szlachetny soku! pocieszycielu, naprawco i dobroczyńco biednej ludzkości na tym padole płaczu! O czci największej godna butelko!

widzę na tobie wszelkie znamiona starożytnego szlachectwa!

Mówił to uroczystym, donośnym głosem, a wszyscy polegali od śmiechu.

Gdy skończył, rzekłem:

— Saro, poszukaj korkociąga!

Ale nim ona wstała, uderzył nasze uszy przeraźliwy łoskot bębnow; wszyscyśmy się poczeli przysłuchiwać, pytając siebie:

— Co to? co to się stało?

W tejże chwili odgłos tupania ogromnej liczby koni nappełnił ulicę; zadrżały okna i ziemia stękać zaczęła pod niezmiernym ciężarem. Wszyscyśmy się porwali od stołu i pobiegli do okien.

I oto, od Porte-de-France aż do Małego Placu, służba obozowa w ogromnych kaszkietach pokrytych ceratą z malowanemi liczbami, siedząc na siodłach obciążonych baranią skórą, prowadziła długi szereg furgonów, napęcznionych działowemi kulami, granatami i narzędziami do kopania ziemi. Dalej szła służba inżynierzy, dalej za nią rota kanonierów!

Łatwo zgadniesz, Fryc, jakie myśli przechodziły mi przez głowę na widok tego wszystkiego.

— Mamy tedy wojnę, przyjaciele! — rzekł Burguet—mamy wojnę! Posuwa się naprzód... zbliża się do nas... Po dwunastu latach, na nas przychodzi teraz kolej doświadczyć, jak jest lekkie żelazne jej ramię.

Co do mnie, patrząc w okno schylony i wsparty na łokciach, myślałem:

— Już teraz ani wątpić, że nieprzyjacieli tuż za górami... Ci ichmościowie przychodzą tu dla wzmocnienia fortecy... A co się stanie, jeżeli wrogi wprzód nas oblegną nim nadejdzie gorzalka? Co będzie, jeżeli Austriacy lub Prusacy zatrzymają wozy i zagarną mi towar? Zawsze przyjdzie całą należność wypłacić co do grosza, a napowrót nie dostanę ani szeląga!

Gdy tak myślałem, krew uciekła mi z twarzy. Sara patrzyła na mnie, i pewno z taką samą łamała się myślą, ale milczała.

Tak staliśmy zapatrzeni w oknach, póki wszystkie nie przeciągnęły szeregi. Na ulicy pełno było ludu. Kilku starych żołnierzy, a mianowicie: Desmaret, Egipcjanin, Paradis artylerzysta floty, Rolfo, Faisard zwany saperem z pod Berezyny, tudzież inni rycerze i nierycerze wołali: „Niech żyje cesarz!“ Dzieci gromadą pędząc za wozami, krzychały także: „Niech

żyje cesarz! Ale wielu innych, z zaciśniętymi ustami i w głębokim zamysleniu przypatrywało się temu wszystkiemu, i ani pary z ust nie wypuścili.

Gdy ostatni wóz skrył się na skrawie Fouquet, tłum zgromadzony w ulicy rozszedł się ze zwieszonymi głowami. My odwróciwszy się od okien, spoglądaliśmy to jedni na drugich, to po izbie; chętka dalszego biesiadowania jako wszystkich odbiegła.

— Coś mi źle wyglądacie, Mojżesz! — zawołał Burguet; — co z wami się stało?

— Myślę o klęskach, które niedługo spadną na miasto.

— Ba! nie ma czego tak bardzo się lękać — odrzekł Burguet; — obrona będzie sprężysta. A zresztą, co Bóg da to i będzie! Trzeba zle uczyć się znosić, kiedy uniknąć nie można. Siadajmy lepiej do stołu; ta omszała staruszka nie zaniedba dodać nam serca.

Usiedliśmy więc wszyscy. Odkorkowałem butelkę. I stało się wedle przepowiedni Burgueta, stary Roussillon poruszył serca i śmiechy się na nowo ozwały.

Burguet zawołał:

— Zdrowie małego Ezdrasza! Oby Najwyższy miał go w swej świętej opiece!

Szczęknęły kieliszki i wykrzyknęto znou:

— Oby jak najdłużej uweselał dni swojego dziadka Mojżesza i swojej babki Sary! Zdrowie Mojżesza i Sary!

Skończyło się na tem, że w oczach naszych sprawy tego biednego świata lepiej poczęły wyglądać. Sławiło się nawet cesarza, iż czasu nie traci i kwapi się do obrony. Powoli nawet przyszliśmy do przekonania, iż zastępy najezdników z za Renu wkrótce taką dostaną odprawę, że póki życia pamiętać będą.

Trwało to jednak niedługo. Gdy około godziny piątej poczęto się zabierać do rozejścia, ponure myśli znou zawisły nad czołem każdego; nawet Burguet, gdy na ostatnim stopniu schodów ścisnął moją rękę, wyglądał zakłopotany.

— Przyjdzie wkrótce poodsyłać dzieci do rodziców i siedzieć z założonemi rękoma, — rzekł w zamysleniu.

Przyjezdni z Sawerny, razem z Baruchem, jego żoną i dziećmi, usadowili się w budzie i odjechali, nie robiąc najmniejszego hałasu.

IV.

Wszystko to, kochany Frycu, było tylko początkiem wielu innych nieszczęśliwości.

Potrzeba było nazajutrz spojrzeć po mieście, gdy około godziny jedenastej oficerowie inżynierzy skończyli przegląd szaficów, a wnet potem piorunem rozbiegła się pogłoska, że potrzeba będzie sześćdziesięciu dwóch pomostów do wnętrza bastyonów, trzech wytrzymałych na bomby blokhauzów przy bramie Niemieckiej mogących zmieścić po trzydziestu ludzi, dzieśięciu karbowanych palanek dla zasadzki po czterdziestu ludzi w szeregu, czterech blindażów na wielkim placu Merowstwa każdy na sto dzieśięciu ludzi, i kiedy się dowiedziano, że mieszkańcy miasta będą zmuszeni robić to wszystko, dźwigać taczki, wywijać łopatami i motykami, a włościanie na własnych koniach drzewa dostarczać z lasów!! Och! co się działo po mieście, kiedy się o tem dowiedziano!

Sara, Safel, ja sam nawet nie wiedziałem, co to są blindaze i palanki. Wypytywaliśmy tedy sąsiada, starego puszkarza Bailly, jaki z tego być może użytek? a ten chychoząc odpowiadał:

— Sam to poznasz sąsiedzie, gdy przyjdzie słuchać warczenia kul armatnich i gwizdania granatów. Trzebaby dużo gadać, żeby wszystko wytłómaczyć. Zobaczycie później. W praktyce nauka to dostępna dla starych i małych.

Możesz sobie wyobrazić, jak człowiek wyglądał, słuchając podobnych rzeczy!

Przypominam sobie, jak całe miasto zbiegło się na plac, aby posłuchać mowy mera, barona Parmentiera, człowieka wielce zdolnego do takich rzeczy. Myśmy także pobiegli z innymi; Sara trzymała się mojej ręki, a Safel poły od kapoty.

Całe miasto zgromadziło się przed merowstwem: mężczyźni, kobiety, dzieci, artylerzyści marynarki, weterani z piątej kompanii podoficerów, wysłużeni z czwartej dywizji piechoty; wszystko to skupiło się w półkole i słuchało w najgłębszem milczeniu, przerywanem tylko kiedy niekiedy jednogłośnym okrzykiem: „Niech żyje Cesarz!“

Parmentier, wysoki, chudy, w jasno niebieskim fraku z ogromnie długimi połami, w białej chustce na szyi, przepasany trójkolorową szarfą, stojąc na schodach odwachu, a mając po za

sobą członków rady municypalnej w przedsiönku, krzyczał donośnym głosem:

— „Falcburczycy! nadeszła chwila złożyć do wody poświęcenia dla cesarstwa. W roku przeszłym cała Europa była z nami; teraz cała Europa przeciwko nam występuje. Gdyby nie energia i potęga narodu, wszystkiego by się należało obawiać. Kto w takiej chwili ubliży swojemu obowiązkowi, będzie zdrajcą ojczyzny. Mieszkańcy Falcburga! pokażcie światu czym jesteście. Pamiętajcie, że wasze dzieci poginęły przez zdradę sprzymierzonych. Pomścicie ich zgubę! Niech każdy dla ocalenia Francji posłuszny będzie władzy wojskowej“ i t. d.

Trudno wymyślić coś skuteczniejszego nad te słowa, żeby dreszcze nawskroć przebiegły człowieka. Jęknąłem w duchu:

— Teraz to już z pewnością zabraknie czasu na przewiezienie spirytusu... Sprzymierzeni są już w drodze!...

Rzeźnik Eliasz i handlarz wstążkami Kalmes Léwy stali tuż przy nas. Zamiast krzyzczeć z innymi: „Niech żyje cesarz!“ takie między sobą mówili rzeczy:

— Wybornie! tylko Bogu dzięki my nie jesteśmy baronami! Baronowie, hrabiowie, ksią-

żęta niech sobie sami się bronią, to ich rzecz... Alboż to ich sprawy do nas należą?...

Ale wszyscy weterani, a szczególnie z czasów Rzeczypospolitej, stary zegarmistrz Gulden, Desmaret, Egipcjanin, ludzie, co włoska na głowie już nie mieli, a w gębie tyłu przynajmniej zębów, żeby utrzymać w ustach fajeczkę, wszystkie podobne istoty przyznawały słusność merowi, krzyczały jak opętane:

— Niech żyje Francya! Bronić się aż do ostatniej kropli krwi!

Widząc, że na Kalmesa coraz częściej zezem poglądać zaczynają, szepnąłem mu do ucha:

— Przestań, Kalmes! na miłość bozką, daj pokój, bo cię rozszarpia!

A nie był to postrach daremny: weterali rzucali nań piorunujące spojrzenia, twarze ich bładły, a wargi trzęsły się jak w febrze.

Kalmes zamilkł i wysliznął się z tłumem, co prędzej zmierzając do domu. Ale Eliasz pozostał aż do końca przemowy mera; gdy zaś cały tłum począł walić przez wielką ulicę z okrzykami: „Niech żyje cesarz!“ rzeźnik nie wytrzymał i rzekł do starego zegarmistrza:

— Powiedzcie mi też, panie Gulden, do czego to podobne, żebyście wy, człowiek rozsądny,

który ani łyeczka nigdy nie pragnął od cesarza, żebyście teraz mieli go popierać i krzyczeć, że trzeba bronić się na zabój! Alboż to nasze rzemiosło ta żołnierka? Alboż to mało przez lat dziesięć daliśmy żołnierzy cesarstwu? Alboż nie dosyć jeszcze za cesarstwo poginęło naszych braci i synów? Mamyż jeszcze przelewać krew za baronów, hrabiów, książęta?...

Ale stary Gulden nie dał mu skończyć, odwrócił się z wyrazem oburzenia i rzekł surowo:

— Słuchaj-no, Eliaszu! postaraj się przykąsić języka. Teraz nie chodzi już o to, kto ma słuszność, a kto jej nie ma; chodzi teraz o ocalenie Francji. Ostrzegam cię, że jeśli nie daj Boże zechcesz zniechęcać innych, przypłacisz tego sowicie. Wierz mi, wynoś się ztąd, pókiś cały!

W istocie, gromada wysłużonych żołnierzy coraz bliżej nas otaczała; Eliaszwowi ledwo tyle zostało czasu, żeby zemknąć w boczną uliczkę.

Odtąd bez przerwy sypały się jak z rękawa rozporządzenia, ogłoszenia, rekwizycye, daremszczyzny, przeglądanie zapasów żywności po domach, szukanie rydlów i tacek i nie wiem czego na użytek cesarstwa. Nikt nie był panem ani swych rąk, ani swojej koszuli; oficerowie

załogi rozciągnęli władzę nad wszystkim, rzekł byś wszystko do nich należało. Dawali nam tylko rewersa.

Wszystkie narzędzia żelazne z mego kramu wyruszyły na wały. Szczęściem wiele tego rozprzedałem za pogody, bo owe świstki papieru dawane w zamian za towar, byłyby mię przypawiły o ruinę.

Kiedy niekiedy mer zgromadzał mieszkańców i palił do nich przemowę; gubernator warowni, ogromny, trędowaty mężczyzna, raczył też niekiedy wynurzać swoje zadowolenie: to nam zastępowało talary!

Gdy na mnie przychodziła kolej brać się do motyki i tacek, umówiłem się z traczem Carabin'em, i ten mię zastępował po 30 sous dziennie... Ach! co za nędza! co za utrapienie!... Takich czasów już pewno nikt nie dożyje...

Kiedy tak gubernator u nas gospodarzy, tymczasem żandarmi ciągle byli za miastem dla doglądania włości. Na drodze z Lutzelburga ustawicznie snuły się nieprzerwanem pasmem wozy, ciągnące stare dęby do budowy blokhausów. Blokhausy były to ogromne budy, wystawione z krzyżujących się z sobą bierwion, z wierzchu zaś przysypane ziemią, co daleko

jest wytrzymalsze od murowanego sklepienia. Granaty i bomby, jakim tego sam później doświadczył, mogą gradem sypać się na nie z góry, a wewnątrz będziesz bezpieczny jak w zapiecku.

A dalej dębów owych używano do robienia ogromnych palisad, zaostzonych u góry, a mających otwory do strzelania. To się nazywało palankami.

Zdaje się, że dziś jeszcze słyszę wykrzyki włóścian, rżenie koni, gwizdanie biczów, słowem cały ten harmider nieustający we dnie i w nocy.

Jedyną moją pociechą było, że mogłem niekiedy pomyśleć:

— Jeżeli gorzałka nadejdzie, wybornie tutaj będzie broniona. Austriacy, Prusacy, Bawary nie będą się oblizywali po mojej krwawej pracy!

Sara codziennie spodziewała się zawiadomienia, że towar już w drodze i rychło nadejdzie.

Raz w dzień sabbatu, ciekawość wyprowadziła nas z domu, żeby się przypatrzeć robotom około bastyonów, bo wszyscy tylko o tych robotach mówili, a Safel co chwila przybiegał do domu z wiadomościami:

— Roboty idą piorunem... Przed arsenałem nasypują granaty... Wyprowadzają działa... ciągną na wały...

Nie mogliśmy utrzymać w domu tego chłopca: na rynku nie już nie było do sprzedaży, nudził się biedaczysko niezmiernie; biegał więc po mieście i zbierał dla nas nowiny.

Owoż w dzień sabbatu, jakoś we trzy tygodnie po przejeździe marszałka Victora, dowiedziałem się, że czterdzieści dwie armaty ustawiono w baterię i że roboty około bastyonu przy koszarach piechoty posuwają się dalej, powiedziałem do Sary, żeby okryła się ciepłą chustką i szła zemną dla przypatrzenia się tym rzeczom.

Poszliśmy najprzód aż do bramy Niemieckiej. Tam seciny taczek uwiły się po spadzistości bastyonu, z której na prawo widzieć można drogę do Metz, a na lewo do Paryża.

Powyżej, gromady robotników, żołnierzy i mieszczan, wznosiły trójkątny nasyp, wysoki najmniej stóp dwadzieścia pięć, a ze dwieście długi i szeroki. Jeden z oficerów inżynierii wypatrył przez lunetę, że ze wzgórza leżącego naprzeciw bastyonu można skutecznie rzucać na ten bastyon pociski. Pracowano więc za-

wzięcie, żeby ustawić kilka armat na wysokości równej wierzchołkowi tego wzgórza.

Wszędzie zresztą roboty szły pędem, tak samo jak tutaj. Wnętrza bastyonów i ich pomo-
sty przysłonięte były dokoła na sześć stóp wy-
sokości w kształt izdebek, tak, że chyba wprost
z nieba coś mogłoby wpaść do nich. W przy-
krywających budowę trawnikach znajdowały
się wąskie otwory, które na zewnątrz rosze-
rzały się w kształcie lejka. Paszce dział os-
adzonych na ogromnych łożach, wyglądały przez
te otwory z bastyonu. Za pomocą potężnych
długów przeciągniętych przez pierścienie łoża,
można było każde działo wysuwać, cofać, obra-
cać na wszystkie strony, jak chciałeś.

Wówczas jeszcze nie słyszałem piorunującego
ryku tych 48-funtowych potworów; ale dosyć
je było widzieć ustawione w baterię na pomo-
stach, żeby powziąć wyobrażenie o straszliwej
ich sile. Nawet Sara przemówiła:

— Jakie to piękne, Mojżeszu! jak wszystko
doskonale zrobione!

W istocie, wszystko było wyborne, wszystko
na swoim miejscu, ani źdźbła niepotrzebnej
trawki nigdzie nie zostawiono. A po stronach
prócz tego stały potężne wory napełnione pias-

kiem, dla zasłony artylerzystów przed nieprzy-
jacielskimi kulami.

Ale co tej zmarnowanej pracy, mój Boże!...
A kiedy człowiek pomyśli, że każdy wystrzał
z tej ogromnej armaty kosztuje najmniej lui-
dora... jakie trwonienie pieniędzy!

Nareszcie i to jeszcze zauważyłem, że ludzie
około tych budowli pracowali z daleko więk-
szym zapalem, aniżeli około zbiorów zboża na
własnej niwie.

Nieraz zastanawiając się nad tem, myślałem:
Gdyby Francuzi choć czwartą część tej zabie-
głości, zdrowego rozsądku i odwagi poświę-
cali rzeczom pożytecznym, byłiby najbogatszym
i najszczęśliwszym narodem w świecie, prześci-
gnęliby Anglików i Amerykanów. Ale skoro
chwycą się pracy i oszczędności, skoro wszędzie
pobudują wygodne drogi, wspaniałe mosty, głą-
bokie kanały a bezpieczne przystanie, skoro do-
statek zewsząd napływać pocźnie do kraju, wnet
porywa ich szaleństwo wojny, i w lat trzy albo
cztery zrujniają się na wielkie armie, na proch,
armaty, kule...

Gdy to się dzieje w fortecy, tymczasem z Mo-
guncyi, z Koblency, ze Strasburga, z Paryża
nowiny przychodziły tuzinami; dość było wyjść

na ulicę, by o każdej dnia porze zobaczyć pędzącego gońca. Każdy taki wysłaniec zatrzymywał się w pobliżu bramy Niemieckiej przed domem Bockholtza, w którym kwaterował gubernator. Ciekawi otaczali konia, goniec wybiegał z domu i odjeżdżał, napozór do nikogo nie przemówiwszy ani słowa; lecz zaraz potem pogłoski obiegały całe miasto, że sprzymierzeni gromadzą swe siły we Frankfurcie, że nasze wojska strzegą wysepek na Renie, że wszystkich popisowych od r. 1803 do 1814 powołano do pułków, że popisowi z r. 1815 utworzą korpusy rezerwowe w Metz, w Bordeaux, w Tulonie, że deputowani zgromadzili się na posiedzenia, dalej że drzwi im zamknięto przed nosem, i t. d., i t. d.

Wciskali się też do miasta swego rodzaju kontrabandyści z Graufthälu, Pirmasensu i Kaiserslauternu, przedewszystkiem bez ręki Franciszek Sepel, a inni także z okolicznych wiosek włościanie. Ci tedy przemycarze rozrzucali po mieście proklamacje Cesarza Aleksandra, Franciszka Józefa i Fryderyka Wilhelma, w których się mówiło, że „idą z wojną nie przeciw Francji, ale przeciw samemu tylko cesarzowi, by go powściągnąć od dalszego pustoszenia Europy.“

Dalej mówiło się o zwaleniu przywłaszczycielstwa i wszelkiego rodzaju ucisków.

Wieczorem po przeczytaniu tych proklamacyj, ludzie tracili głowy, co o tem trzymać; ale nazajutrz rano rzeczy się lepiej wyjaśniły. Było to 8 czy też 9 grudnia, około godziny siódmej rano. Właśnie tylko co wstałem i zapinałem na sobie suknie, gdy z końca Wielkiej ulicy doleciał mię huk tarabana.

Było już niepomału zimno na dworze; otworzyłem jednak okno i wychyliłem się na ulicę, żeby usłyszeć proklamację. Harmantier swoim zwyczajem rozwijał powoli papier, mały zaś Engelheider nie przestawał walić w bęben i ludzie się zbiegali.

Następnie Harmantier przeczytał rozkaz gubernatora twierdzy, w którym zapowiadano mieszkańcom, że wszyscy od godziny dziewiątej rano do szóstej wieczorem, stawić się powinni bez zawodu w merowstwie dla otrzymania karabinów i ładownic, a kto się nie stawi, tego pociągną przed sąd wojenny.

To się nazywa mówić zrozumiale i głaskać po sercu ludzi! Co tylko dźwigało jeszcze nogi, ruszać musiało ku merowstwu, bo i starzy nie byli wolni od obowiązku bronięcia ścian fortecy.

Ludzie poważni, sławetni obywatele miejscy, przyzwyczajeni siedzieć spokojnie w domu, myśleć tylko o interesach swojego powołania... teraz musieli myśleć, jak drapać się na wały, lada chwila spodziewać się śmierci!

Sara patrzyła na mnie w milczeniu, a mnie tak dławiło oburzenie, że nie mogłem przemówić. Ledwo po upływie kwadransa, gdy się już ubrał, zdołałem powiedzieć:

— Zgotuj polewki. Ja muszę iść po karabin i ładownicę.

Wtenczas Sara wykrzyknęła przerażona:

— Ach! Mojżesz, Mojżesz! kto się tego spodziewał, że w takim wieku będziesz zmuszony bić się? O mój Boże jedyni! co za niedola!

A ja odrzekłem:

— Taka jest wola Przedwiecznego.

Potem wyszedłem, złamany ciężkiem udręczeniem. Safelek poszedł za mną.

Kiedym się zbliżał już do merowstwa, w okół którego mrowiły się zastępy ludu, postrzegłem wychodzącego ztamtąd profesora Burgueta, z karabinem zawieszonym przez plecy. Zbliżywszy się do mnie, zawołał ze śmiechem:

— Cóż tedy, Mojżesz! przyszło nam na starość zostać Machabeuszami!

Widząc jego wesołe usposobienie, nabrałem nieco odwagi i rzekłem:

— Powiedzcie mi, Burguet: czy jest w tem rozum, żeby ludzi poważnych, ojców rodziny zmuszać iść na oczywistą zgubę? Nie mogę tego pomieścić w głowie; pewien jestem, że nie ma w tem żadnego sensu!

— Ba!—odrzekł, — cóż chcecie? na bezrybiu i rak ryba!

A widząc, że jego żarciki nie pobudzają mnie do śmiechu, dodał:

— Hola, Mojżesz! nie smućcie się tak bardzo; to prosta formalność, nic więcej. Mamy przecież dosyć żołnierzy do pełnienia czynnej służby w fortecy; na was przypadnie tylko trzymanie warty. Jeżeli przyjdzie zrobić wycieczkę albo odpierać napad, nas przecię tam nie pociągną. Do licha! nie w takim jesteście wieku, ażeby latać jak fryga i wywijać bagnetem! Uspokójcie się, mój stary!

— Doprawdy — rzekłem — macie słusność Burguet; więcej zważony jestem wiekiem, niż może sądzicie.

— Widzę, widzę — odrzekł uczonego profesora. — Ale idźcie też po karabin i ładownicę.

— Jakże więc? — zapytałem — przyjdzie koniecznie mieszkać w koszarach?

— Nie, nie! — zawołał wybuchając głośnym śmiechem, — będziemy najspokojniej siedzieli w domu.

To mówiąc, ścisnął mię za rękę, a ja wszedłem do sieni merowstwa. Na schodach pełno było ludu, a z głębi wywoływano każdego po imieniu.

Potrzeba było, mój Frycu, widzieć twarze tych wszystkich Robinotów, Gourdierów, Marinierów, ten tłum strycharzy, zdunów, malarzy ścian, szlifierzy, ludzi, co w innych czasach codzień przed tobą czapkowali, żeby dostać odrobinę roboty... potrzeba było ich widzieć, jak się to lichy wyprostowało, z jakim politowaniem patrzyło na ciebie z góry, jak się nadymało i wykrzykiwało:

— A! i ty, Mojżeszku, zawitałeś nareszcie! Nie ma co mówić, pysznego z ciebie wystrychną wojaka! Cha, cha, cha! zaraz ci wedle przepisów przystrzygą wąsów.

I inne podobne prawili nedorzeczności!

Cały porządek ludzki przewrócony był do góry nogami. Niedołężnych starych rębaczy wyniesiono od razu na sierżantów, feldwebłów,

kapralów; a my... my zostaliśmy niczem! Wojna wszystko pomącała: pierwszych zrobiono ostatnimi, a ostatnich pierwszymi. Rozsądek jako niepotrzebny wyrzucano za okno, a karność postawiono na świeczniku. Ten, co wczoraj wycierał twoje kąty, bo za głupi był na to, żeby innym sposobem zarobić kawał chleba, dziś został twoim sierżantem, i jeżeli ci powie, że białe jest czarnem, musisz mu przyznać, że mówi prawdę! Takie to były czasy!

Ale wracając do rzeczy, po godzinie może czekania, wykrzyknięto nareszcie: „Mojżesz!” i począłem wysuwać się naprzód. Ogromna górna sala merowstwa była jak nabita, a każdy wrzeszczał:

— Mojżesz! przyjdieszże ty nareszcie?... Ach! otóż i on!... Wszak-ci to cała stara gwardya!... Patrzcie go... co za postawa!.. Będziesz u nas chorążym, Mojżesz! Powiedziesz nas do zwycięstwa!

I trącając się łokciami, bydłeta chychotały jak z czego dobrego. A ja szedłem, nie odpowiadając, ani patrząc nawet na żołnierzy.

W dalszej izbie, gdzie właśnie odbywał się popis zaciężnych, na lewo od zegaru, zgromadzeni byli w komplecie: gubernator Moulin,

komendant Boulingrin, mer, sekretarz merowstwa Frichard, inspektor mundurunku Conrad, oraz sześciu czy siedmiu innych zgrzybiałych wysłużonych, których co wiosna widywaliśmy niegdyś przechadzających się pod alejami na placu, zamyślonych, z kijkiem w rękę i łupającym w kościach reumatyzmem, nazbieranym w wędrówkach po wszystkich stronach świata. Ci tedy wszyscy jedni stali, drudzy siedzieli, i to nazywało się radą.

Starzy spojrzawszy na mnie, także śmiać się poczęli. Słyszałem, jak mówili do siebie:

— Ho, ho! jeszcze krzepki starowina! jeszcze się przyda!... i tak dalej bez sensu.

A ja myślałem:

— Mówcie co się podoba, ale nie dokażecie tego, żebym uwierzył, iż jesteście piękni dwudziestoletni chłopcy!

Jednakże roztropnie milczałem.

W jednej chwili gubernator, który w kącie pokoju gawędził z merem, a miał na głowie ogromny kapelusz włożony na bakier, odwrócił się, i spojrzawszy na mnie rzekł:

— Cóż chcecie robić z podobnym cherlakiem? Przecież widzicie, że ledwo się trzyma na nogach.

Usłyszawszy te choć niegrzeczne wyrazy, byłem z nich zadowolony, i zacząłem pokaszliwać.

— Dobrze, dobrze! — zawołał gubernator — możesz wać powracać do domu i pielęgnować swój katar.

Jużem był zrobił ze cztery kroki ku wyjściu, gdy oto sekretarz merowstwa Frichard wykrzyknął:

— Wszakże to Mojżesz, pułkownik! żyd Mojżesz, który dwóch synów wyprawił do Ameryki! Gdyby nie to, starszy byłby w szeregach!

Ten łajdak Frichard miał do mnie zakorzenioną niechęć, gdyż obadwaj handlowaliśmy w rynku starem odzieniem, a wieśniacy prawie zawsze mnie przekładali nad niego; nienawidził mię śmiertelnie, i oto dla czego zaskarżył przed radą.

Wnet gubernator zawołał:

— Stój! czekaj chwilkę... A! stary lisie! więc wysłałeś swoich chłopców do Ameryki, żeby uratować od zaciągu!... Dobrze więc: niech mu dadzą karabin, ładownicę i szablę!

Oburzenie na Fricharda dusiło mię, chciałem coś odpowiedzieć, ale nędznik chychotał i pisał dalej przy stole, jak gdyby nic nie zaszło. Dla tego więc w milczeniu poszedłem za żandarmem

Wernerem do przyległej sali, pełnej karabinów, szabel i ładownic.

Werner sam zawiesił mi na krzyż przez plecy ładownicę i szablę, karabin oddał w ręce i rzekł:

— Teraz ruszaj, Mojżeszu, a pamiętaj zawsze stawić się na apel!

Wyszedłem tedy przeciskając się przez ciżbę, a byłem tak rozgniewany, że nie słyszałem śmiechów motłochu. Drżałem jak w febrze, i w takim stanie powróciłem do domu.

Opowiedziałem Sarze wszystko co mię spotkało, a nieboga słuchając, pobladała. Po chwili rzekła do mnie:

— Ten Frichard, to nieprzyjaciel naszego plemienia, nieublagany nieprzyjaciel Izraela! wiem o tem, że nas nienawidzi. Ale dzisiaj trzeba milczeć, Mojżeszu! Nie dawaj mu poznać swego gniewu, bo szydzić będzie z ciebie. Za to później odemścisz się z procentem! Potrzeba czekać z ręczności... I jeżeli nie ty sam, to twoje dzieci, twoje wnuki odpłacą mu za to! Oni będą wiedzieli, co ten nędznik uczynił ich ojcu, ich dziadowi... będą wiedzieli i pamiętali!...

Tak mówiła z zaciśniętymi pięściami, a Safelek przysłuchiwał się rozmowie.

To, co mi powiedziała, było z pewnością najlepsze ze wszystkiego; także samo było i moje zdanie. Ale gdybym mógł, byłbym natychmiast oddał połowę majątku, byle zrujnować niegodziwca. Przez cały dzień, a nawet w nocy, może ze dwadzieścia razy wykrzykiwałem:

— Ach złoczyńca!... Byłem już wolny... powiedziano mi: „Odejdź!...“ I on to, on sprowadził na mnie tę niedolę!...

Nie potrafisz sobie ani wyobrazić, Frycu, do jakiego stopnia nienawidziłem później tego człowieka. Nigdy ani ja, ani moja żona nie zapomnieliśmy jego niegodziwej sprawy. Nigdy dzieci moje tego nie zapomną!

V.

Nazajutrz musiałem iść do apelu przed gmach merowstwa. Gromada dzieci z całego miasta otaczała nas i wydziwiała niestworzone rzeczy. Szczęściem blindaż na placu Broni jeszcze nie były pokończone, i z tego powodu wyznaczono nam na musztrę wielki dziedziniec kolegium, niedaleko od Prochowni. Uczniów przed jakim czasem rozpuszczono do domu, dziedziniec więc był niezajęty.

Wyobraź sobie obszerne podwórze przepel-
nione spokojnymi Falcburczykami, w czapkach,
w kapeluszach, w kapotach, surdutach, kafta-
nach, kurtkach, zmuszonymi do słuchania roz-
kazów swoich dawniejszych stróżów, kominiarzy,
stajennych, którzy ni ztąd ni zowąd wyszli na
kapralów, sierżantów, feldwebłów! Wyobraź so-
bie tych potulnych nieboraków, podnoszących
w takt nogi i maszerujących przy odgłosie:
„Raz—dwa-a!... Raz—dwa-a!... Stój!... Równaj
się!...” A jeSPAN sierżant cofa się w tył, marsz-
czy brwi, i krzyczy na ciebie zuchwale:

— Mojżesz! stul-no barki!

— Mojżesz! cofnij-no swą siwą wiechę do
szeregu!

— Mojżesz! baczność! Prezentuj broń... Ach
stary pantoflu! nigdy się chyba na nic nie przy-
dasz!... Czyż nie wstyd być takim głupim
w twoim wieku?... Uważaj! uważajże do mi-
liona dyabłów!... Co? nie możesz tego zrobić!...
Raz—dwa-a!... Gwałtu! co za niedołęga ty n
stary!... No, zacznijmy na nowo: Prezentuj
broń!... i t. d.

Oto, kochany Frycu, jak uczył mnie starego
musztry mój niegdyś latacz obuwia Monborne.
A mam powody sądzić, że gdyby nie zakaz po-

czciwego kapitana Raimbauda, byłby mię nawet
bił niegodziwiec.

Wszyscy inni tak samo postępowali ze swoi-
mi dawnymi gospodarzami; można z pewnością
utrzymywać, że nawet zawsze robiliby toż sa-
mo, gdyby zawsze byli sierżantami, a my zaw-
sze żołnierzami. Na lat pięćdziesiąt zebralo
się we mnie złości do tej nikiemnej hołoty!

Zostali tedy nareszcie panami, i panowali!
Jedyny raz w życiu, ile przypomnieć sobie mo-
gę, dałem szcztuka własnemu synowi Safelkowi,
i Monborne może się pochwalić, że zrobiłem to
z jego przyczyny. Mnóstwo dzieci czepiało się
parkanu dziedzica, by nam się przypatrywać
i urągać. Podniosłszy oczy, postrzegłem też
w liczbie innych Safelka. Skinąłem gniewnie
ręką, by odszedł, i chłopiec tejże chwili zesko-
czył z parkanu. Ale gdy po skończeniu musztry
kazano przed ratuszem zwinąć szeregi, a mały
zbliżył się do mnie, wściekłość mię ogarnęła
i dałem mu dwa porządne szcztuki.

— Ruszaj!—krzyknąłem—idź jak Cham na-
trząsać się z własnego ojca, zamiast przynieść
płaszcz i przykryć jego łono!... Precz!...

Dziecko płakało wrzącemi łzami, i w takim
to usposobieniu powróciłem do domu. Sara,

postrzegłszy, że mam blady jak chusta, a dziecko zapłakane, podbiegła ku drzwiom z zapytaniem, co się stało? Opowiedziałem przyczynę mojego gniewu i wszedłem do izby.

Sara z większymi jeszcze wyrzutami napadła na chłopca, i nieborak poznawszy całą wielkość swej winy, począł mię błagać o przebaczenie. Łatwo się domyślisz, że przebaczyłem mu z całego serca.

Ale gdy począłem rozważać, że takie rzeczy codziennie się będą powtarzały, włosy mi powstały na głowie, i byłbym wyrzekł się wszystkiego, gdyby tylko można było wziąć z sobą dom i towarzyszy.

Zaprawdę! nie można ani pomyśleć nic gorszego na świecie nad oddanie cię w ręce nicponia, który dorwawszy się na chwilę władzy, nie zna miary jej użycia, i nie jest zdolnym ocenić, że każdy człowiek ma wytkniętą sobie właściwą drogę działania...

Ale musiałbym niezmiernie szeroko rozwinąć się w tej mierze; wolę więc zwrócić się do dalszego ciągu wypadków.

Przedwieczny zesłał mi niewymowną pociechę. Ledwo zdjąłem z siebie ładownicę, odpiąłem szablę i karabin postawiłem w kącie, żeby

usiąść do stołu, Sara z uśmiechem podała mi list, mówiąc:

— Przeczytaj to Mojżeszu, a odzyskasz welsze usposobienie.

Rozwijam tedy i czytam. Było to zawiadomienie z Pézenasu, że moje dwanaście okseftów spirytusu są już w drodze. Odetchnąłem.

— Ach! wszystko jak najlepiej!—zawołałem;—spirytus idzie drogą zwyczajną na furmankach, za trzy tygodnie będzie na miejscu. Od strony Strasburga i Sarrebrucku nic złego jeszcze nie donoszą; sprzymierzeni koncentrują wojska, ale się jeszcze naprzód nie posuwają. Gorzałka moja ocalona... sprzedamy ją ze znakomitym zyskiem... Wyśmienita co się zowie robota!

Uspokoilem się natychmiast, śmiałem się i omal nie śpiewałem. Sara tymczasem, podając mi krzesło, rzekła znowu:

— A to jeszcze, Mojżeszu? cobyś też o tem powiedział?

To mówiąc, podała mi inne pismo z mnóstwem pieczęci pocztowych. Jednym rzutem oka poznałem charakter ręki moich chłopców: Fromela i Icka.

Był to list z Ameryki! Serce mi podskakiwało z radości, i począłem wysławiać w du-

chu Najwyższego, wielbiąc jego miłosierdzie dla mnie. Myślałem:

— „Pójdźcie, radujmy się w Panu, śpiewajmy Bogu Zbawicielowi naszemu! Albowiem Bóg wielki Pan i król wielki nade wszemi bogi. Bo w ręce jego są wszystkie kraje ziemne, i gór wysokości jego są. Bo jego jest morze, a on je uczynił, a suchą utworzyły ręce jego!... Słodka Pan wszystkim, a litości jego nad wszystkie uczynki jego. Podnosi Pan wszystkie, którzy upadają, a podnosi wszystkie powalone. Uczyni wolą tych, którzy się go boją, i prośby ich wysłucha, i zbawi je. Chwałę Pańską wysławiać będą usta moje; a wszelkie ciało niechaj błogosławi imię święte jego na wieki i na wieki wieków!“

Tak mówiłem w głębi ducha, czytając pismo, w którym synowie moi wychwalali Amerykę: kraj błogosławiony dla ludzi znających się na handlu; kraj urodzajny dla wszelkich śmiałych przedsięwzięć; kraj, w którym każdy nad tem pracuje, ku czemu jego skłaniają się zdolności; bo tam wychowują ludzi dla pokoju nie dla wojny. A w Falcburgu co wtedy się wyrabiał!

Ten list był jeden z pierwszych od moich synów. Fromel i Icek donosili mi, że przez rok tyle uzbierali pieniędzy, iż mogli już nadal nie dźwigać towarów na plecach, ale kupili sobie trzy piękne muły, a nadto w Cast-Hillu, niedaleko Albany, w Stanie New-York, świeżo otwarli dom dla wymiany wyrobów europejskich na skóry wołowe i bawole, których moc wielka znajduje się w tym kraju.

Interesa ich szły wybornie; zjednali sobie wziętość nie tylko w mieście, lecz i w całej okolicy. Gdy Fromel ruszał z trzema mułami w drogę, Icek zostawał przy kramie w domu; a gdy Icek z kolei wyjeżdżał na wędrowkę po okolicy, brat jego pilnował sklepu.

Chłopcy wiedzieli już o naszych nieszczęściach, i dziękowali Przedwiecznemu, że dał im takich jak my rodziców, co uchronili ich od zguby. Dalej oświadczały życzenie, że chcieliby nas mieć przy sobie; a zgadniesz, Frycu, że po tem wszystkim, co mię spotkało i spotkać jeszcze mogło od jakiegoś tam Monborna, nie byłem wcale od tego, żeby wyrwawszy się z Falcburga, obejrzeć się dopiero w Ameryce. Ale tak pożądane nowiny nie mogły mię nie ukoić,

i pomimo wszelkich naszych nieszczęść, pomysławszy o Frichardzie, rzekłem w duchu:

— Jakkolwiek nawarzyłeś mi piwa, zawsze jednak w porównaniu ze mną ty jesteś osłem! Możesz mi tu wyrządzać niesprawiedliwości, ale zjesz dyabła, żebyś mógł zaszkodzić moim chłopcom. Ty jak jesteś tak i będziesz nędznym sekretarzem merowstwa, a ja wkrótce sprzedawać będę gorzałkę, zarobię we dwójnasób i trójnasób! Posadzę mojego Safelka tuż przy tobie pod filarami, i ktokolwiek zechce zajrzeć do twego kramiku, żeby coś kupić, Safel będzie zapraszał go do siebie, oddawać będzie towar nawet po cenie kosztu, byle nie dopuścić do ciebie nabywców, a ty będziesz pękał ze złości.

Mysząc o tem, lzy mi zakręciły się w oczach; skończyłem na tem, że uściskałem Sarę, która patrząc na mnie, chichotała i nie posiadała się z radości.

Udzieliliśmy po raz drugi przebaczenia Safelkowi, a on nam obiecał, że nadal nie będzie się zadawał z niegodziwem plemieniem uliczników. Następnie, po obiedzie, poszedłem do mojej piwnicy, jednej z najpiękniejszych w mieście, wysokiej stóp dwanaście, długiej trzydziści pięć, z dołu do góry wywiedzionej z cioso-

wego kamienia, a ciągnącej się po pod Wielką ulicą. Sucho w niej było jak w piecu, a wino poprawiała na podziw dzielnie i długo.

Ponieważ beczki ze spirytusem mogły nadejść przed końcem miesiąca, przysposobiłem tedy cztery potężne podkładziny na ich spoczynek; przy tej też sposobności zapewniłem się, że studnia w głębi wyźłobiona w opoce, ma dosyć wody do rozprowadzania spirytusu.

Wychodząc około godziny czwartej z piwnicy, postrzegłem starego architekta Krómera, z łokciem pod pachą idącego przez rynek.

— Panie Krómer—rzekłem—zajdźcie też na chwilę tutaj; zobaczcie, czy moja piwnica dostoi przeciwko bombom?

Zeszliśmy razem do głębi. Architekt obejrzał ściany, zmierzył grubość sklepienia i rzekł:

— W najwyższym punkcie, nad kluczem sklepienia jest sześć stóp ziemi. Jeżeli tu się bomba dostanie, to już chyba skończenie świata. Możesz, panie Mojżeszu, spać spokojnie.

Pociągnęliśmy przez smoczek po dobrej szklance wina, i wyszli uradowani z piwnicy. Lecz jeszcze jedna w tym dniu czekała mię przygoda.

Ledwośmy się wysunęli na ulicę, w pobliskim domu drzwi otwarły się z trzaskiem, aż

w oknach zabrzęcały szyby, a Krómer rzekł do mnie, podnosząc głowę:

— Spójrzcie-no, Mojżesz! tam na schodach u Camusów jakaś widzę awantura.

Zatrzymaliśmy się tedy i postrzegli następującą scenę: W górze na schodach, jakiś sierżant z weteranów, w siwej kapocie i ze strzelbą na plecach, ciągnął za kołnierz starego Camusa. Biedny starowina rozkrzyżowanymi rękami uparł się we drzwiach i nie dawał się wyciągnąć z domu. Nareszcie udało mu się zostawić kołnierz od koszuli w ręku sierżanta, i drzwi zawarły się z piorunującym trzaskiem.

— Wojna widzę poczyna się od załobków między mieszkańcami a wojskiem—rzekł Krómer.—Jeżeli tak pójdzie dalej, to Ruscy i Niemcy łatwo postawią na swoim.

Takie więc rzeczy postrzegliśmy na schodach Camusów. Sierżant widząc, że drzwi przed nim zatrzęsnięto i zaryglowano ze środka, chciał je wysadzić, bijąc z całych sił kolbą; sprawało to ogromny hałas, na który sąsiedzi poczęli wybiegać z domów, a psy odezwały się szczekaniem. Myśmy ciągle patrzali na tę scenę, aż postrzegliśmy wychodzącego z bocznej uliczki Burgueta, który zbliżywszy się do sierżanta,

począł energicznie do niego przemawiać. Zdaje się, że ten człowiek usłuchał go nareszcie; nie odrzekł ani słowa, gwałtownie zarzucił karabin na plecy, i z ponurym a wściekłym wyrazem na twarzy, przygarbiwszy się, wyszedł w ulicę. Kiedy nas mijał, wyglądał jak dzik, przygotowany do odcinania się całej psów zgrai! Był to weteran z trzema szewronami na rękawie; wąs miał siwy, twarz śniadą, potężne prostopadłe szramy wzdłuż policzków i kwadratowy podbródek. Idąc wciąż burczał pod nosem, aż zawrócił do szynku pod „Trzeina Gołębiami.“

Burguet, w obszernym kapeluszu nasuniętym na oczy, w szerokiej kuczbażowej kapocie, z głową zadartą i rękami w kieszeni, szedł z daleka za rozdąsanym sierżantem i uśmiechał się pod nosem.

— Co tam stało się u Camusów?—zagađnąłem profesora.

— A!—odrzekł,—cóż stać się miało? Sierżant Trubert z piątej kompanii weteranów, jak zwykle, nieco sobie pozwolił. Temu zuszkowi brózdzi po głowie, że wszyscy powinni tak tańczyć przed nim, jak zagrać raczy. Przez dwa tygodnie już pięć razy zmienił kwatery, i z nikim do ładu przyjść nie mógł. Wszyscy się skarżą

na niego w niebogłoty; lecz on zawsze ma coś na swoje usprawiedliwienie, a gubernator i komendant znajdują, że argumenta jego są wyborne.

— Ale co też u Camusów?

— Camus tak szczuple ma mieszkanie, że ledwo może pomieścić domowników; chciał więc sierżantowi dać kwatery w oberży. Ale sierżant już obrał sobie łóżko Camusa, rozpostarł na niem swój płaszcz i rzekł: „Mój bilet kwaterekowy jest wydany do tego domu, tutaj mi dobrze, i pójść gdzieindziej nie myślę.“ Stary Camus się rozgniewał, i skończyło się na tem, jakście widzieli, że sierżant usiłował wyciągnąć go z domu, aby publicznie wygrzmocić.

Podczas tego opowiadania Burguet ciągle się uśmiechał, ale Krómer zawołał:

— W istocie, takie rzeczy pobudzają do śmiechu. Ale kiedy się pomyśli, co podobni ludzie wyrabiać musieli za Renem...

— Ach! — wykrzyknął Burguet — jestem pewien, że Niemcy nie nazbyt byli z tego zadowoleni... Ale musiały już nadejść dzienniki, trzeba iść czytać... Dałby Bóg, ażeby chwila spłaty starych długów nie nadeszła zbyt prędko dla nas!... Dobranoc panowie!

Burguet posunął się dalej koło placu, Krómer zawrócił do domu; ja też zamknąwszy podwoje piwnicy, poszedłem także na górę do swoich.

Było to 10 grudnia. Przymrozki już stały porządne; co wieczór po godzinie 5 lub 6 dachy i bruki pokrywały się szronem. Zgiełk na mieście wieczorem zupełnie ustawał; każdy kto mógł, chował się do domu i garnął do ogniska.

Zastałem Sarę w kuchni krzątającą się około wieczerzy. Potężny ogień buchał na kominie, czerwonymi językami obwijając ze wszech stron kociołek. Wszystkie te rzeczy, Frycu, dotąd mi stoją przed oczyma. Widzę kobietę moją pomywającą talerze przy okienku w drobne zielonkawe szyby; dalej Safelka przez długą rurę żelazną dmuchającego na ogień, z policzkami okrągłymi jak jabłuszka, z dużymi kędzierzawymi włosami rozczochranymi szeroko; nareszcie siebie spokojnie siedzącego na stołku, z węgielkiem w palcach dla zapalenia lulki: wszystko to niby wczora było!

Milczeliśmy wszyscy, bo szczęśliwiała nas myśl o mającej rychło nadejść gorzałce, o naszych chłopcach robiących dobre interesa w Ameryce, o smacznej wieczerzy gotującej się przy nas. I komużby w podobnej chwili przyszło do

głowy myśleć, że we trzy tygodnie później nieprzyjaciel opasze miasto, a granaty zaczną powizdywać w powietrzu?

VI.

Teraz, kochany Frycu, muszę ci opowiedzieć pewny wypadek, który często mi przypomina starą prawdę, że Przedwieczny wgląda w nasze sprawy i wszystko prowadzi ku lepszemu. W pierwszej chwili rzecz nam się wydaje okropną; wołamy błagalnie: „Panie! zmiłuj się nad nami!“ a później aż się dziwić musimy, jak wszystko poszło według naszej myśli.

Wiadomo ci, że sekretarz merowstwa Frichard nie cierpiał mię okropnie. Był to stary łokietek, w rudej peruce, chudy, żółty, z wielkimi uszyna i zapadłymi policzkami. Ten nędznik o tem tylko przemysliwał, żeby mi jak najmocniej zaszkodzić, i wkrótce znalazł ku temu sposobność.

Im bardziej posuwało się ku nam oblężenie, tem skwapliwiej ludzie śpieszyli wyprzedać co mieli do zbycia. Więc też zaraz nazajutrz po otrzymaniu przezemnie radosnych wieści z Ameryki, w piątek, jako w dzień targowy, tyle Al-

zatów i Lotaryńczyków naściągalo się do Falcburga, z ogromnemi kosztami na plecach i mniejszemi w rękę, pełnemi świeżych jaj, masła, serów, drobiu i t. d., że cały rynek był jak nabyty.

Każdemu kto żyw chciał się wszystko spieniężyć, aby grosz ukryć gdzieś w piwnicy, w domu pod piecem lub w ogrodzie pod drzewem, a nawet w lesie. Ogromne pieniądze tym sposobem poginęły. Skarby, które rok po roku ludzie znajdują gdzieś pod dębem albo bukiem w lesie, właśnie wtedy zakepane były w popłochu; bo myślano, że nieprzyjaciele będą u nas wszystko palili i pustoszyli, jakeśmy pustoszyli cudze kraje. Ludzie, co te pieniądze ukrywali, albo pomarli, albo sami nie mogli później odzyskać kryjówki swego mienia; tym sposobem skarby zostać musiały w ziemi.

Owóż w dzień targowy 11 grudnia chłód był niezmierny, mróz przenikał aż do szpiku, ale śnieg jeszcze nie padał. Gdy już dobrze rozwidniało, ubrałem się w wełniany kaftan, czapkę wydrzaną nasunąłem na uszy, a pomimo tego szczękając zębami z przeziębienia, wyszedłem na rynek.

Na małym i wielkim rynku, na targowicy zbożowej, a nawet w podsieniach merowstwa, pełno było ludzi, krzyczących i kłócących się między sobą o cenę. Za ledwie otworzyłem swój kram i zawiesiłem wielkie wagi u sklepienia, już pełno chłopów stało pode drzwiami, żądając ten gwoździ, tamten żelaza na narzędzia, inni znowu przynosili własne swe żelaztwo w nadziei sprzedania.

Wiedziano, że gdy nieprzyjaciel naciągnie, nie będzie sposobu wejść do miasta; dla tego cały ten tłum się zebrał, jedni by kupić, drudzy by sprzedać.

Otwarłem więc kram i zacząłem ważyć. Słychać było z dala przechodzące czaty, posterunki już były wszędzie podwojone, mosty zwodzone opatrzone i w dobrym stanie, a ostrokoły świeżo okute. Nie ogłoszono jeszcze stanu oblężenia, ale byliśmy wszyscy jak ptak na gałęzi, albowiem z Moguncyi, z Sarrebrucku i ze Strasburga donoszono ciągle o gromadzeniu się sprzymierzonych na drugiej stronie Renu.

Co do mnie, myślałem tylko o swojej gorzałce; sprzedając, ważąc, odbierając pieniądze, nie mogłem się pozbyć tej myśli, jak gdyby mi wrosła pod czaszką.

Tak handel szedł blisko od godziny, gdy wtem ukazał się przede drzwiami memi za tłumem chłopów Burguet i rzekł do mnie:

— Mojżeszul chodźcie-no na chwilę, mam wam coś do powiedzenia.

Wychodzę.

— Wejźmy do sieni—rzekł.

Zdziwiło mnie to: Burguet wyglądał bardzo poważnie. Z tyłu za nami chłopci krzyczeli: „Nie mamy czasu! śpieszcie się, Mojżesz, śpieszcie!”

Nie zważałem na te krzyki. W sieni Burguet rzekł do mnie:

— Przybywam z merowstwa, gdzie pełniłem obowiązki kapitana sprawozdawcy; tam dowiedziałem się, że przysyłają ci na kwaterunek sierżanta Truberta.

Był to dla mnie cios straszny, więc zawołałem:

— Ależ ja tego nie chcę! nie pozwolę, nie pozwolę! to gwałt, to rozbój! W przeciągu dwóch tygodni miałem na kwaterze sześciu ludzi; to nie moja kolej!

A on mi na to:

— Uspokój się i nie krzycz, bo pogorszysz tylko sprawę.

Ja zaś odrzekłem:

Oblężenie.

— Nigdy... nigdy! rozbój i gwałt!... Człowiek taki jak ja, spokojny, który nikomu wody nie zamącił, który tylko pragnie, by go zostawiono w pokój!...

Gdy tak krzychałem, właśnie Sara z koszykiem schodziła ze schodów, idąc na targ; spytała więc, o co chodzi? a Bourguet jej odpowiedział:

— Pani Saro, bądźże roztropniejszą niż twój mąż. Pojmuję jego oburzenie, ale gdy jakiej rzeczy odwrócić nie można, trzeba głowę schylić. Frichard ma złość do was, jest zaś sekretarzem mera i rozpisuje karty kwaternkowe według listy... Więc przysyła wam sierżanta Truberta, człowieka złego, gwałtownego, wiem o tem, ale który potrzebuje dostać kwaterę jak każdy inny. Mówiłem za wami, przekładałem, ale Frichard odpowiadał na wszystko: „Mojżesz jest bogaty, dwóch jego synów uciekło przed poborem... musi za nich zapłacić.“ Mer, komendant i wszyscy potakiwali mu. Więc widzisz pani!... mówię jako przyjaciel: im więcej będziecie się opierali, tem więcej sierżant będzie wam dokuczał i tem więcej uciechy Frichard mieć będzie. Tu nie ma apelacji. Bądźcież więc rozsądni...

Dowiedziawszy się, że cały ten kłopot zwałił na mnie ten łotr Frichard, jeszcze się bardziej zaperzyłem; chciałem krzyżeć, ale żona wzięła mnie za rękę, mówiąc:

— Pozwól mi słowo, Mojżeszu. Pan Bourguet ma słusność; dziękuję mu niezmiernie, że nas o tem uprzedził. Frichard ma złość do nas, bardzo dobrze... Wszystko to położy się na jego rachunek... Obliczymy się z nim potem. A teraz powiedz pan, kiedy sierżant ma przyjść?

— W południe—odpowiedział Bourguet.

— To dobrze — odrzekła moja żona; — ma prawo do mieszkania, ognia, przywarku i świecy, nie możemy nic przeciw temu mówić, ale Frichard za wszystko zapłaci.

Pobladła mówiąc, a ja słuchałem, bo widziałem, że ma słusność.

— Uspokój się, Mojżeszu—mówiła dalej,— i nie krzyż, a pozwól mi robić.

— Oto wszystko co miałem wam powiedzieć—rzekł Bourguet.—Jest to niecna psota tego Fricharda. Zobaczę, czy się nie da później uwolnić was od sierżanta, a teraz muszę wrócić do roboty.

Sara poszła na targ, Burguet ścisnął mnie za rękę, a że chłopci coraz głośniejszy krzykali, więc musiałem wrócić do sklepu.

Gniew mnie dławiał. Sprzedałem tego dnia przeszło za 200 franków żelazta, ale tak byłem oburzony na Fricharda, a tak się bałem sierżanta, że mi nawet ten piękny zarobek przyjemności nie sprawiał. Gdybym był sprzedał dziesięć razy więcej, byłoby tak samo.

— A lotr! a rozbójnik! — mówiłem do siebie; — nie daję mi pokoju, już chyba nie dosiędę w tem mieście.

O południu, gdy targ się skończył i ludzie porochodzili się z rynku, zamknąłem kram i poszedłem do siebie na górę, mówiąc w duchu:

— Teraz we własnym domu przyjdzie mi zostać niczem. Nie ja, ale Trubert będzie u nas panował... będzie nami pomiatał, jak dawniej Niemcami lub Hiszpanami.

Byłem zgnębiony. Jednakże pomimo zgnębienia, gdy wszedłem na schody, zaleciał mię i zdziwił niezmiernie zapach z kuchni: był to bowiem zapach ryby i pieczonego mięsiva, jak gdyby się gotowano na jaki dzień uroczysty.

Chciałem wejść do kuchni i zapytać, co to znaczy? ale Sara mię nie puściła.

— Idź — rzekła — do swojej izby i włóż czystą koszulę.

Jednocześnie postrzegłem, że Sara także była ubrana jak na sabbat; miała na sobie wysadzane kamykami srebrzyste zausznicze, zieloną wełnianą spódniczkę i czerwoną jedwabną chustkę na plecach.

— Ale na cóż, Saro, mam wkładać czystą koszulę? — zawołałem, nie mogąc wyjść ze zdziwienia.

— Idź, idź prędzej — odrzekła; — nie mamy czasu na gawędy.

Ta kobieta tyle miała zdrowego rozsądku, tyle razy dowcipem swoim wyprowadziła nas z największej tarapaty, że już nie powiedziałem ani słowa, i poszedłem do sypialni, aby się umyć i włożyć na siebie czystą koszulę.

Właśnie kiedym ją wkładał, posłyszałem, jak Safelek zawołał:

— „Mamé!“ idzie! idzie!

Potem słyszeć się dało ciężkie stąpanie po schodach, i ktoś porywczo wykrzyknął twarde głosem:

— Hej! wy tam, jacy tacy!... hola!

A ja pomyślałem: „To sierżant!“ i ocząłem nasłuchiwać.

— A! otóż i nasz sierżant! — zawołał Safel tryumfującym głosem.

— Ach! tem-ci lepiej! — odrzekła moja kobieta słodkim głosem. — Wejdźcie, panie sierżancie, wejdźcie proszę! Myśmy tu was oczekiwali. Wiedziałam już, że otrzymamy zaszczyt mieć u siebie sierżanta, i to sprawiło nam wielką radość, bo dotąd przysyłano nam zawsze tylko prostych żołnierzy. Wejdźcie, panie sierżancie, jeśli łaska.

Właśnie temi słowy mówiła do niego z wyrazem wielkiego zadowolenia w głosie, a ja pomyślałem:

— O Saro, Saro! niewiasto wielce dowcipna i rozsądna! Teraz to już wszystko rozumiem, widzę całą twoją przebiegłość... Umyśliłaś ugłaskać tego niegodziwego draba!... Ach! co za skarb jest twoja żona, Mojżesz! Wesel się radością wielką!

Z uśmiechem zacząłem przyspieszać ubieranie się, a tymczasem słyszałem jak ten bydlak sierżant burczał:

— No, no! dobrze, dobrze!... Ale nie o to chodzi! Pokażcie też moją stancję, moje łóżko! Za piękne słówka mnie nie kupić. Sierżanta Truberta ludzie znają po trosze.

— Natychmiast, panie sierżancie, tejsze chwili! — odrzekła moja żona. — Oto tam pańska stancja i pańskie łóżko. Zajrzyjcie proszę; przygotowaliśmy co mamy najlepszego w domu.

Weszli do sieni, i Sara otwarła drzwi pięknego pokoiku, zajmowanego zawsze przez Barucha i Zeffen, ile razy przyjeżdżali do Falcburga.

Zbliżyłem się na palcach ku drzwiom. Sierżant ugodził pięścią w łóżko, żeby się przekonać czy mocne; Sara i Safel stali po za nim uśmiechnięci. Potem ze zmarszczonemi brwiami począł przeglądać wszystkie kąty. Nigdy, Frycu, nic podobnego nie widziałeś! Wąsy siwe, najezone jak szczecina; nos cienki, długi, zakrzywiony do gęby; policzki żółte, poorane prostopadłemi głębokimi marszczkami: coś okropnego jednym słowem! Włócząc swój karabin po posadzce, nie zwracając na nikogo uwagi, suwał się z kąta do kąta i pomrukiwał coś ze złością do siebie.

— Hm! hm!... Cóż to jest takiego?

— To miednica do umywania się, panie sierżancie.

— A te krzesła czy mocne? czy wytrzymają?

I podnosząc jedno po drugim, ciskał dla próby o ziemię. Oczywiście chciał koniecznie znaleźć jakąś przyganę.

Odwróciwszy się nareszcie, postrzegł mięę w drzwiach, zmierzył z góry hardem okiem i zapytał:

— Waszeć jesteś gospodarz?

— Tak, sierżancie, jestem tu gospodarzem.

— A!

Postawił karabin w kącie, rzucił na stół mantelzak i rzekł:

— No! to i dosyć!... Idźcie już sobie!

Safel tymczasem uchylił drzwi od kuchni; powabny zapach pieczonego napełnił izbę.

— Panie sierżancie, — rzekła Sara, wzdychając się do starowiny — przebaczone mi, chciałabym was o coś poprosić.

— Wy? — rzekł z pogardą — wy o coś mięę prosić?

— Tak, panie sierżancie. Ponieważ mieszkacie teraz z nami i jesteście jakby członkiem rodziny, zrobicie nam wielką przyjemność, jeżeli choć raz przynajmniej zechcecie z nami zjeść obiad.

— Ach! ach! — rzekł zwracając nos ku drzwiom kuchni — to co innego!

I pogrążył się w zamyśleniu, jakby się wahał, czy to zgadza się z jego dostojnością, aby miał nam uczynić podobną łaskę? Myśmy w milczeniu czekali odpowiedzi. Sierżant znowu począł wciągać do nosa przesycone zapachem powietrze; wreszcie rzucając ładownicę na łóżko, rzekł:

— No!... niech tak będzie!... skosztujemy też tego!

A ja myślałem:

✓ — Ach, nędzarzu! czemuż nie mogę nakarmić cię suchemi kartoflami!

Ale Sara nie żałowała oznak zadowolenia.

— Tędy, panie sierżancie — rzekła; — proszę tędy, jeżeli łaska.

Gdyśmy weszli do jadalni, postrzegłem, że wszystko tam przygotowane niby na przyjęcie jakiej książęcej osoby. Podłoga była czyściutko zamieciona, stół przykryty białutkim obrusem, nawet stare nasze srebra na ten raz wyciągnięto z szafy.

Sara zaprosiła sierżanta, ażeby usiadł na pierwszym miejscu, w moim fotelu; wziął to za rzecz zupełnie naturalną.

Służąca wniosła wielką wagę i zdjęła pokrywę; przyjemny zapach zupy ze śmietaną napenił izbę, i obiad się rozpoczął.

Mógłbym ci, Frycu, opisać wszystkie szczegóły tego obiadu, ale możesz mi uwierzyć na słowo, że ani ty, ani ja nigdy nie jedliśmy lepszego. Mieliśmy gęś pieczoną, wspaniałego szczupaka, duszoną kapustę, nareszcie wszystko czego tylko potrzeba do wielkiego i pięknego obiadu, a wszystko z niesłychaną starannością było zrobione własnymi rękoma Sary. Mieliśmy też cztery butelki burgundzkiego, owinięte ciepłymi serwetami, jak tego potrzeba w zimie, a nadto jeszcze obfity deser.

Owóż sądzisz może, iż ten hołysz choć raz dał do zrozumienia, że obiad zrobiono po ludzku? Sądzisz może, iż przez cały czas siedzenia przy stole, co trwało przecie dwie godziny, choć raz przyszła mu do głowy myśl powiedzieć: „Ten szczupak jest niezrównany!” albo: „Ta tłusta gąska wyśmienicie przyrządzona!” albo też jeszcze: „Macie, gospodarzu, prześliznę wino!” słowem cośkolwiek takiego, co sprawia gospodarzowi przyjemność, a pracę sumiennej kucharki wynagradza?... Otóż wiedz, kochany Frycu, że nic podobnego nie posłyszeliśmy od sier-

żanta. Pomyślałbyś, że takie obiady dla niego nie nowina! Co większa, im bardziej mu kobieta moja pochlebiała, im grzeczniejszemi osypywała go słówkami, tem więcej się nadymał, tem groźniej marszczył brwi, tem częściej z podełba na nas spoglądał, jak gdyby sądził, że chcemy go otruć.

Niekiedy z ukradka rzucałem na Sarę wzrokiem pełnym oburzenia; ale ona ciągle się uśmiechała, wybierała dla sierżanta najlepsze kaski i ciągle dolewała mu wina.

Ze dwa lub ze trzy razy chęćka mię brała wykrzyknąć: „Ach Saro! jakże ślicznie uwingłaś się dzisiaj z obiadem! co za wyborne nadziewanie!...” Ale sierżant rzucał na mnie z podełba okiem, jak gdyby chciał powiedzieć: „Co to znaczy? czy nie chciałbyś przypadkiem uczyć mię co mam gadać? Niby to ja nie wiem lepiej od ciebie, co jest dobre a co niedobre?” Więć polykałem cisnące się na usta słowa, i milczałem.

Byłem tak rozszłoszczony, że radbym go posłał do stu dyabłów; każdy kąsek, który pożerał w milczeniu, w coraz większe mię wprawiał oburzenie. Ale przykład Sary powściągał mię od wybuchu i zachęcał do strojenia uprzejmości.

Myślałem sobie: „Teraz, kiedy już obiad zjedzony... kiedy już prawie po wszystkim.., ciągnijmy przy pomocy bożej do końca... Sara grubo się omyliła, lecz to już wszystko jedno; myśl miała dobrą, ale ktoś mógł przypuszczać, że taki nędznik, jak ten, znajdzie się gdziekolwiek na świecie?”

Sam tedy po takim rozmyśle kazałem podać kawę i poszedłem do szafy po stary rum i butelkę kirszu. Sierżant zapytał:

— Co to takiego?

— To rum, a to jest kirsz, stary kirsz z Forêt-Noire,— odrzekłem.

— A!—burknął przymrużając oczy—każdy powiada: „Mam stary kirsz z Forêt-Noire!“ Łatwo to powiedzieć, ale niełatwo oszukać sierżanta Truberta. Zaraz zobaczymy.

Przy kawie starowina dwa razy napełniał sobie kieliszek kirszem, a po każdym kieliszku powtarzał:

— Hm! hm! jeszcze kwestya czy prawdziwy!

Palce mię świerzbialy cisnąć mu w łeb butelką.

Gdy Sara chciała mu nalać trzeci kieliszek, sierżant powstał od stołu, mówiąc:

— Dosyć... dziękuję!... Posterunki są zdwojone... Dziś w wieczór muszę trzymać wartę przy Porte-de-France... Zresztą obiad był niezły... Jeżeli kiedy niekiedy będziecie mi dawali podobny obiadek, to możemy się porozumieć.

Gdyby choć jeden uśmiech! gdyby choć jedno grzeczniejsze słowo! Owszem, z miny jego wyglądało, że drwił z nas w duchu.

— Będziemy się starali zrobić co można, panie sierżancie!—odrzekła Sara.

On tymczasem poszedł do swojej izby i piaszczył na siebie już wkładał.

— Zobaczymy! — rzekł wychodząc, — zobaczymy!

Aż do tej chwili nie wyrzekłem ani słowa; lecz kiedy sierżant już był na dole, zawołałem: — Saro! nigdy, nigdy jak żyję nie widziałem podobnego potwora! Nigdy z nim nie przyjdziemy do ładu. On wszystkich nas powypędza z domu.

— Ba! ba! — odparła śmiejąc się Sara, — ja sądzę przeciwnie, Mojżeszu. Ręczę, że będziemy z nim w najlepszej przyjaźni; zobaczysz!

— Ach! daj to Panie Boże! — odrzekłem; — ale jakoś wierzyć mi się nie chce.

Sara, śmiejąc się, wstała od stołu. Widząc jej pewność siebie, musiałem trochę nabrać otuchy, gdyż była to kobieta niezmiernie sprytna i sąd o rzeczach miała wytrawny.

VII.

Widzisz, Frycu, ile to wówczas musiało zność mieszczaństwo; nigdy rzeczy podobnych nie widziano. Otóż to w owej chwili, kiedy ściągnano nadzwyczajne szarwarki, kiedy Monborne komenderował mną na mustrze, kiedy sierżant Trubert spadł mi na kark, kiedy już mówiono o rewizjach po domach w celu przekonania się, czy każdy jest zaopatrzony w dostateczną ilość żywności: otóż wśród tych wszystkich kłopotów, moje dwanaście okseftów spirytusu jak nie przybywały tak nie przybywały.

Ach! ileż razy żałowałem, że zrobiłem ten obstalunek! Ileż razy o mało nie rwałem sobie włosów z głowy na myśl, że połowę tego co zrobiłem przez lat trzydzieści, wystawiłem tak nierozsądnie na hazard! Jakżem latał co rano do kawiarni i szynków po nowiny! jak drżałem czytając gazety!

Nie, nigdy nikt wiedzieć nie będzie, ile wówczas wycierpiałem, nawet Sara, bo wszystko ukrywałem przed nią. Miała ona wiele zdrowego rozsądku i przenikliwości, widziała więc moje utrapienie, nieraz tedy mówiła mi:

— No, Mojżeszu, odwagi! wszystko pójdzie dobrze... Jeszcze trochę cierpliwości.

Ale wiadomości przychodzące z Alzacy, z niemieckiej Lotaryngii, z Hundsrucku przerażały mnie: „Już nadeciągają! Nie ośmielią się! Jesteśmy gotowi! Znajdą nas nieprzygotowanych! Pokój będzie zawarty! Jutro przejdą Ren! Nie będziemy mieli kampanji zimowej! Tylko co ich nie widać! Cesarz siedzi jeszcze w Paryżu! Marszałek Wiktor już jest w Huningue! Formują w brygady żandarmeryę, celników i gajowych! Dragoni generała d'Espagne wczoraj przechodzili przez Sawernę! Górale bronić będą wąwozów wozekich! Wielka bitwa stoczona będzie w Alzacy!“ i t. d. Ach, Frycul w głowie się mąciło; rano wiatr zawiął tak, wieczorem inaczej; rano byłś wesół, wieczorem smutny.

Tymczasem mój spirytus coraz się przybliżał; przybywał wśród tego ścierania się wiadomości i pogłosek, które jutro mogły się zamienić

w starcie na kule i bagnety. Gdyby nie inne kłopoty, byłbym doprawdy zwaryował. Ale wściekłość, jaką żywiłem do Montborna i innych gałganów, odwracała myśl moją od tego przedmiotu.

Przez cały dzień wielkiego obiadu i przez noc następną nie słyszeliśmy ani widzieli sierżanta Truberta: był na warcie. Ale następnego dnia, ledwo wstałem, widzę go jak idzie po schodach z karabinem na ramieniu. Otwiera drzwi i zaczyna się śmiać, a wąsy białe od szronu aż się trzęsą. Właśnie kładłem pantofle, więc patrzę na niego zdumiały. Moja żona była jeszcze w pokoju sypialnym.

— He! he! panie Mojżesz — zawołał wesoło, — a to dyabelny mróz!

Zupełnie był inny i na twarzy i w głosie.

— Tak, sierżancie — odrzekłem; — wszakże to grudzień, więc mróz to rzecz naturalna.

— Naturalna — odparł, — w istocie! ale to właśnie powód, by palnąć kieliszek. Zobaczcie, czy tam nie została jaka kropla tego starego kirszu.

Mówiąc to, wlepił we mnie oczy, jakby mnie chciał wskroś przejrzeć; więc wstałem zaraz z fotelu i pobiegłem po butelkę, mówiąc:

— A zostało, zostało, sierżancie! Oto macie, pociągnijcie jak należy.

Gdym to mówił, twarz jego, jeszcze nieco ostra, złagodniała zupełnie. Uśmiechnął się szczerze, postawił karabin w kącie i stając podał mi kieliszek.

— Nalejcie mi, ojcze Mojżesz, nalejcie, — rzekł.

Nalałem mu do brzegów. Gdym lał, on uśmiechał się nieznacznie; setki zmarszczek karbowwały mu twarz żółkłą pod oczyma, koło policzków, przy wąsach, na brodzie. Nie słyhać było śmiechu, ale dobry humor wyraźny był na twarzy.

— Świetny kirsz! prawdziwy, ojcze Mojżesz — rzekł smakując. — Człowiek na tem się zna... Wypiło się nieco w Czarnym Lesie i za darmo... Czy się nie trąćcie ze mną?

Odpowiedziałem mu na to:

— Z przyjemnością.

Więc trąciliśmy się. On zaś ciągle na mnie patrzył, aż nagle rzekł mierzając mnie wzrokiem złośliwie od stóp do głowy:

— A co, ojcze Mojżesz, narobiłem wam wczoraj strachu, nie prawdaż?

Tu zaczął mrugać oczyma.

— Och!... sierżancie!

Oblężenie.

— No, no!—rzekł kładąc mi rękę na ramieniu — przyznajcie się, że wam strachu napędziłem.

Śmiał się tak serdecznie, iż niepodobna było nie odpowiedzieć mu:

— No tak! istotnie, po troszel...

— He, he, he! wiedziałem o tem—odparł.— Powiedziano wam: „Sierżant Trubert to twardego człowieka.“ Strach was ogarnął i daliście mi dobry obiad, książęcy obiad, by mię zmiękczyć.

Śmiał się głośno, i ja też śmiać się zacząłem; tak śmieliśmy się obaj. Sara, usłyszawszy to, wyszła z sąsiedniego pokoju, stanęła we drzwiach i rzekła:

— Dzień dobry, panie sierżanciel

On zaś na to:

— Ojcie Mojżesz, to mi kobietal... Możesz się pochwalić, że masz żonę jakich mało, a przebiegłą, oho! przebieglejszą od was, ojcie Mojżesz, daleko przebieglejszą, he, he, he! Tak być powinno... tak być powinno.

Sara była bardzo uszczęśliwiona.

— Ależ, panie sierżancie—rzekła,—czy pan możesz sądzić?...

— Co tam! co tam! — odparł; — jesteś pani kobieta co się zowie i basta; dostrzegłem to od razu, ledwom wszedł, więc rzekłem do siebie: „Trubert! baczność!... mizdrzą się do ciebie... to podstęp wojenny, by cię wyprawić na nocleg do szynkowni... Pozwólmy nieprzyjacielowi zde-maskować swe baterye!... Cha, cha, cha! jesteście dobrzy ludzie, zacni ludzie; lepszego obiadu i marszałek Francyi nie potrzebuje. Teraz, ojcie Mojżesz, zapraszam się na wypicie z wami od czasu do czasu kieliszka kirszu. Odstawcie tylko butelkę na bok, bo to rarytyn kirsz! Co do reszty, pokój, któryście mi dali, jest za piękny, nie lubię tych wszystkich gratów; te piękne meble, te miękkie łóżka, to dobre dla was. Dla mnie potrzeba tylko małej izdebki, jak oto tamta pod strychem, dwóch stołków, stołu sosnowego, prostego łóżka z materacem, siennikiem, kołdrą, i z pół tuzina gwoździ w murze, bym mógł zawieszać tornister, ładownicę i inne rzeczy. Więcej nie chcę, i to mi tylko dacie.

— Jeżeli tego chcecie, panie sierżancie...

— Jużci chcę tego... piękny pokój niech zostanie dla parady.

— Wszak z nami jeść będziecie śniadanie, nie prawdaż?—zagadnęła ze szczerem ukontentowaniem Sara.

— Ja śniadam i obiadam w kantynie—odrzekł sierżant.—Jest mi tam dobrze, a do tego nie lubię, żeby porządni ludzie wytrzasali dla mnie kieszenie. Jak tylko jest wzgląd należy dla starego żołnierza, jak tylko nie zbywa na dobrej woli, jak tylko ludzie są ludźmi podobnymi do was, moi państwo, Trubert wtedy jest również czem być powinien.

— Ale, panie sierżancie...—przerwała Sara.

— Nazywajcie mię po prostu sierżantem—rzekł Trubert.—My się z sobą już znamy. Wy nie jesteście podobni do tej hołoty miejskiej, tych urwiszów, co wzbogacali się kiedyśmy krew przelewali, tych nędzników, co wypasali się i porastali w pierze kosztem armii, co z nas żyli, wszystko nam winni, a teraz nas wysyłają spać do jamy pełnej plugawego robactwa!... Ach! do miliona furgonów dyabłów!...

Twarz jego przybrała dawniejszy dziki wyraz, wąsy najeżyły się i trzęsły; a ja pomyślałem:

— Co za szczęśliwa myśl nam przyszła traktować po ludzku tego człowieka! Już chyba Sara nigdy się nie myli!

Ale sierżant znowu się prędko udobruchał, zaczął śmiać się, i położywszy mi rękę na ramieniu, wykrzyknął:

— I gadać jeszcze, że wy jesteście żydzi! plemię szkaradne, stek najrozmaitszego niechlujstwa, łajdactwa, sknerstwa... Gadać, że wy jesteście żydzi!... Wszak jesteście doprawdy żydami? czyż nie tak?

— Tak, panie—odrzekła Sara.

— Dalibóg! to mnie zadziwił!—ciągnął sierżant.—Widziałem mnóstwo żydów po świecie, widziałem w Polsce, w Niemczech, i kiedy mię do was wyprawiano, pomyślałem: „Posyłają mię do żydów... no! baczność! wszystko tam zaraz pogruhoczę!”

Następnie, kiedyśmy upokorzeni milczeli, sierżant dodał:

— No! nie mówmy już więcej o tem. Jesteście uczciwi ludzie; przykroby mi było was zasmucić. Ojcie Mojżesz, dajcie mi rękę.

Podąłem mu niezwłocznie.

— Polubiłem was!... — rzekł z pewnym odzieniem rozrzewnienia. Teraz pani Mojżeszowa odda mi może tę stancijkę, com sobie wybrał.

Odprowadziliśmy go do wskazanej izdebki, a niezdługo sierżant powrócił i zabrał z gościnnego pokoju wszystkie swoje manatki, mówiąc:

— To mi to rzecz, żyć z uczciwymi ludźmi! Teraz nie będziemy sobie wyrządzali żadnej przykrości. Ja nie będę was niepokoił; wy mi nie będziecie przeszkadzali. Ja sobie wchodzę i wychodzę we dnie i w nocy, jak mi potrzeba: dość wiedzieć, że to sierżant Trubert, i kwita. A kiedy niekiedy rankiem my sobie zajrzymy do kieliszka, to się rozumie. Wszak prawda, panie Mojżeszu?

— Tak, sierżancie.

— A oto klucz od domu—dodała Sara.

— Wyszmienicie! wszystko w porządku. A teraz trzeba nieco się przespać. Bywajcie zdrowi, przyjaciele!

— Smacznego snu, sierżancie!

Wyszliśmy z izby, i zaraz posłyszeliśmy, że sierżant, jak stał, rzucił się na posłanie. Żelazny był jakiś człowiek!

— Widzisz, Mojżeszu, widzisz!—rzekła mi po cichu żona, kiedyśmy przechodzili przez sień:—wszystko poszło jak należy.

— Prawda—odrzekłem,—bardzo dobrze się stało, Saro, bardzo dobrze! rozsądna myśl przyszła ci do głowy, prawdziwie rozsądna myśl. Gdyby teraz jeszcze wódka nadeszła, byłibyśmy zupełnie szczęśliwi.

VIII.

Od tej chwili sierżant żył u nas, nikomu nie zachodząc w drogę. Co rano, nim się udał na służbę, przychodził posiedzieć chwil kilka w mojej komnacie, i gawędząc wypijał kieliszek kirszu. Stary lubił żartować i chychotać z Sa-felkiem, a wszyscyśmy nazywali go: „nasz sierżant“, jak gdyby w istocie należał do naszej rodziny. Uważaliśmy po nim, że rad był, kiedy z nami się spotykał. Był to człowiek bardzo staranny: nigdy nie pozwolił, aby „szabesgoje“ wyczyściła mu buty, sam sobie kredą bieleł ledewerki, a niech Pan Bóg uchowa, żeby ktoś choć palcem miał dotknąć się do jego karabina lub szabli!

Pewnego razu rankiem, gdy szedłem do apelu, sierżant spotkawszy mię na ulicy, dojrzał na karabinie odrobinę rdzy; zaklął jakby sam dyabeł we własnej osobie, i rzekł:

— Ach, ojczec Mojżeszu! gdybyś służył w mojej kompanii, miałbyś się z pyszna za takie rzeczy!

A ja pomyślałem:

— Ani wątpić; ale dzięki Panu Bogu nie jestem twoim podwładnym! a i nie złapiesz mię pod swoją komendę!

Sara przyglądała się tej scenie z galeryjki domu, i śmiała się do rozpuku.

Odtąd codzien sierzant najregularniej odbywał przegląd całego mojego rynsztunku. Potrzeba było wszystko czyścić, rozbierać zamek, szorować i płókać rurę, szlifować bagnet, jak gdybym na prawdę miał myśl pójścia do szturm! A kiedy Trubert dowiedział się, że Monborne traktuje mię jak ostatniego błazna, zaraz nastąpił się z propozycją poduczenia mię musztry. Żadne moje przełożenia na nic się nie przydały; sierzant rzekł, marszcząc brwi po swojemu.

— Ojczec Mojżeszu, nie zniosę tego, żeby człowiek tak porządny jak wy, miał gorzej znać się na rzeczy od jakiegoś lajdaka. Do roboty!

Poczęliśmy tedy chodzić na poddasze. Było już strasznie zimno; ale sierzant tak ogniście piorunował, ile razy nie wykonałem należycie

jakiegoś poruszenia, że zawsze w końcu pot wielkimi kroplami toczył się ze mnie.

— Uwagi na komendę, a żadnej broń Boże folgi! — wykrzykiwał i pokazywał co robić.

Słyszałem niekiedy, jak Sara, Safel i służąca chichotali na schodach, przyglądając się przez szpary naszej robocie, ale nie śmiałem odwrócić głowy. Za to w końcu przyszedłem przeciw do tego, że nauczyłem się nabijania karabina we dwanaście tempów, a maszerowałem tak gładko jak żaden z naszej kompanii. Wszystko to winien byłem Trubertowi.

Ach, Frycul! jeszczeby było nienajgorzej, gdyby wódka przywlekała się nareszcie; ale zamiast dwunastu okseftów spirytusu, przybył do nas 15 grudnia piąty i szósty batalion gwardyi narodowej z Wogezów, dziewiąty batalion z departamentu Meurthy, a zaraz potem gubernator kazał uprzętnąć wszystko na przestrzeni sześciuset metrów dokoła miasta.

Potrzeba było widzieć tę gwardyę narodową w chłopskich sukmanach, i całe to niemilosierne pustoszenie w około fortecy! Potrzeba było widzieć, jak płoty, parkany, drzewa, domki i stodołki wywracano, rąbano, rozrywano i unoszono precz po kawalku, po bierwionie, po

desce; potrzeba było widzieć z wałów, jak całe ogródki owocowe, stare jabłonie i grusze i śliwy, jak całe aleje wysadzone pięknymi topolami waliły się na ziemię, jak je rozciągało prawdziwe mrowisko robotników... Należało widzieć te rzeczy, żeby zrozumieć co to jest wojna!

Stary Friese, dwaj młodzi Camusowie, Sadowie, Bossertowie i wielu innych Falcburczyków, którzy mieli ogrody warzywne lub owocowe pod miastem, przypatrywali się tej robocie z załamaniami rękoma. Zdaje się, że dziś jeszcze słyszę narzekania starego Frieseego:

— O moje biedne jabłonie! o moje biedne grusze!... Przez lat czterdzieści sam was pielęgnowałem własnymi rękoma. Jakżeście zawsze były ładne i zdrowe! ileż mi co rok dawałyście wybornych owoców!... O mój Boże! mój Boże!...

A siekiery szczękały i szczękały w rękę żołnierzy.

Gdy robota już była u końca, stary Friese zawrócił się i posunął do domu z czapką nacisniętą na oczy; płakał biedny gorzkiemi łzami.

Mówiono prócz tego o spaleniu wioseczki Maisons Rouges u stóp spadzistości Mittelbronnu, dalej o spaleniu cegielni Pernette, karcze-

mek Arbre-Vert i Panier-Fleuri. Ale czy to gubernator nie widział koniecznej tego potrzeby, uważając, że domy leżały po za granicą wystrzałów, czy może tylko chowano sobie tę robotę na sam koniec uprzątnięcia okolicy i odstąpiono od niej dla tego, że sprzymierzeni przyszli prędzej niżeli się spodziewano: dość, że budowle zostały nie spalone.

Co mi się jeszcze wraziło w pamięć z czasu przed rozpoczęciem oblężenia, to apel 22 grudnia. Około godziny jedenastej rano zaczęto bić na placu w bębny. Całe miasto myślało, że zwoływano ludzi na ćwiczenia, i ja zawiesiwszy jak zwykle karabin na plecy, wyszedłem spokojnie z domu. Ale skoro wysunąłem się z za rogu gmachu merowstwa, zaraz postrzegłem coś podejrzanego. Bataliony gwardyi narodowej z Wogezów stały już uformowane na placu w szeregi. Nam również kazano stanąć we dwa szeregi jak tamtym. Zaraz też przybyli: gubernator Moulin, komendanci Thomas i Jourdan, nareszcie mer przepasany trójkolorową szarfą.

Bębny śpiewały marsz zwykłego pochodu (bo i to już wyuczono mię rozumieć); następnie starszy doboz podniósł pałeczkę w górę i tarabany zamilkły. Gubernator zabrał się do prze-

mówienia; wszyscy słuchali i powtarzali sobie po cichu jego słowa, donośnym wymawiane głosem:

„Oficerowie, podoficerowie, gwardziści narodowi i żołnierze!

„Nieprzyjaciel skoncentrował swe siły nad Renem; jest od nas najwięcej o trzy dni marszu. Miasto ogłasza się jako zostające w stanie oblężenia; władze cywilne ustępują miejsca zarządowi wojennemu. Rada wojenna zasiada nieustannie, pełni obowiązki wszystkich trybunałów zwyczajnych.

„Mieszkańcy Falcburga! spodziewamy się po was odwagi, poświęcenia, posłuszeństwa. Niech żyje cesarz!”

I tysięczne głosy buchnęły aż w niebiosa:

„Niech żyje cesarz!”

Drżałem cały jak listek osiny; mój spirytus był jeszcze w drodze; uważałem się za zrujnowanego do szczytu.

Ale wkrótce po przemowie gubernatora, nastąpiło rozdanie naszemu batalionowi nabojów i rozkaz, byśmy szli grabić żywność i spędzać z okolicznych wiosek bydło dla zaopatrzenia fortecy. To mię wyrwało ze smutnej zadumy nad własnym losem.

Otrzymując podobny rozkaz, musiało się już myśleć nie o straconym majątku, ale o blizkiej stracie życia, gdyż byliśmy przekonani, że włóścianie będą się bronili od napaści; a szkaradna rzecz, mój Frycu, bić się z ludźmi, których odzieramy ze skóry!

Zastanawiając się nad tem, pobladłem jak płótno.

Ale gdy kapitan Vincent wykrzyknął: „Nabij!...” gdy odgryzłem pierwszy ładunek i pierwszy raz wpuściłem nabój do karabina... gdy zamiast szczęknięcia stempla o dno rury, poczułem wewnątrz pod stemplem kulę... gdy zakomenderowano: „Trójkami na le—wo! Naprzód!... krok podwójny... marsz!...” i kiedyśmy pociągnęli ku Barakom du-Bois-de-Chênes, a piąty batalion ku Quatre-Vents, a szósty ku Bichelbergowi, a dziewiąty ku Wechemowi i Mettingowi... aj! aj! kiedy zacząłem myśleć, że idziemy wszystko zabierać, wszystko unosić i uprowadzać, że rada wojenna zasiada w merowstwie właśnie po to, by karać ociągających się z pełnieniem powinności,—wszystkie te rzeczy nowe a straszne dla mnie, wstrząsnęły mną do głębi! Wzrokiem pomieszany spoglądając z daleka na

wioskę, wystawiałem już sobie zawczasu cały ziegiełk i narzekania kobiet i dzieci.

Bo uważaj, mój Frycul zabierać ubogiemu wieśniakowi przed zimą co przygotował na życie do wiosny, zabierać mu krówkę, kozy, wieprze, słowem wszystko żywe i nieżywe, to okrucieństwo! Własne moje nieszczęście jeszcze bardziej czyniło mię czułym na nieszczęścia innych.

Dalej, zawsze postępując naprzód, myśleć zacząłem o mojej córce Zeffen, o Baruchu, o ich dziatkach, i musiałem jęknąć w duchu:

— O Pani! Panie nieskończonego miłosierdzia! jeżeli nieprzyjaciele wpadną do Francyi, czegoż to nie będą wyrabiali w mieście tak bezbronnem jak Sawerna! Wszystko biedakom zagarną! Dziś, jutro zostaniemy wszyscy nędzarzami!

Wśród takich myśli, które mi krew ścinały w żyłach, zbliżyliśmy się do wioski. Włościanie, jedni wysuwając głowy przez okienka, inni stojąc nieruchomie na ulicy, przyglądali się nam ciekawie. Ani się domyślali, jaką gratkę dla nich przynosimy.

Przed nami jechało sześciu konnych żandar mów. Komendant Thomas kazał im stanąć na

czatach po obu stronach Baraków, ażeby przeszkodzić wyprowadzeniu przez włościan swego dobytku do lasu, co dałoby się niezawodnie zrobić podczas rabunku po domach.

Żandarmi puścili się cwałem na wskazane stanowiska.

Natenczas posunęliśmy się znowu, a gdy przyszli ku pierwszemu po drodze domowi, w pobliżu kamiennego krzyża, zawołano:

— Stój!

Następnie oddzielono trzydziestu ludzi do trzymania warty po uliczkach, a w téj liczbie i ja byłem, co mię na prawdę uradowało, bo wolałem już lepiej szyldwachować, aniżeli myskować po obórkach i stodołach.

Gdyśmy defilowali przez wielką ulicę, chłopci rzucali w nas pytaniami:

— Co to się stało? Czy nie skubnięto czasem skarbowego lasu? Czy nie idziecie brać kogo do aresztu?

I inne podobne zadawali pytania. Ale myśmy nie odpowiadali ani słowa i szli przyspieszonym krokiem.

Mónborne postawił mię w trzeciej uliczce na prawo, u wejścia w dolinę, przy wielkim domu starego Franza, zawołanego pasiecznika. Sły-

chać było beczenie owiec i ryk bydła, a ten łądak Monborne, przymrużając jedno oko, mówił:

— Ech! będą tłuste kąski! Toż to zaraz dziwić się pocznie świat cały, a przynajmniej Bakaki!

Niegodziwiec żadnej nad ludźmi nie miał liwości.

— Ty, Mojżesz, zostaniesz tutaj—rzekł.— Jeżeli kto zechce przemknąć się tędy, zagradzaj mu drogę bagnetem. Władza musi pozostać przy prawie.

Nie wiem gdzie ten łądac obuwia nauczył się podobnych rzeczy; ale powiedziawszy te słowa, zostawił mię samego między dwoma pokrytymi szronem płotami, i odszedł z resztą żołnierzy.

Zostawiony na przesmyku prowadzącym w dolinę, stałem tak ze dwadzieścia minut, i myślałem: „Co ja zrobię, jeżeli chłopci zechcą tędy wymykać się ze swoim dobytkiem?“ i zdawało mi się, że lepiej będzie strzelać do bydła niż do ludzi.

Byłem niezmiernie pomieszany, dreszcz mię całego przenikał. Wtem rozległy się krzyki, i prawie w tejże chwili posłyszałem warczenie

bębna. Nasi poczęli wchodzić do oberek i wypędzać ztamtąd bydło. Wieśniacy przeklinali, szlochali, niektórzy nawet chcieli bronić się od napaści. Komendant Thomas wykrzykiwał:

— Na plac! spędzajcie na plac!

Krowy poczęły się ratować, przeskakując przez płoty, kozy rzucały się pod nogi zaganiających, aż nareszcie powstało takie zamieszanie, jakiego opisać nawet trudno. Miałem się za szczęśliwego, że nie należałem do tej łupieży; ale szczęście moje niedługo trwało, bo tejże niemal chwili gromada kóz popędzanych przez dwie baby, wpadła w uliczkę z zamiarem wymknięcia się w dolinę.

Potrzeba więc było zagrozić drogę bagnetem i krzyzczyć:

— Stój!

Jedna z kobiet, staruszka Mignerona, poznała mię na moją niedolę. Miała w ręku widły, blada była jak śmierć, a głos jej drżał kiedy rzekła:

— Mojżesz, pozwól mi przejść!

Widziałem, jak się skradała, żeby pechnąć mię widłami i wyrzucić. Druga usiłowała wpędzić kozy do pobliskiego ogródka, ale starania

były daremne: płot był wysoki, parkan gęsty, kozy nie mogły przeskoczyć.

Byłbym rad pozwolić im przejścia, udając, że nic nie widzę. Na nieszczęście porucznik Rollet pędził z tyłu i krzyczał:

— Baczność!

A za nim dreptało jeszcze kilku naszych, między innymi gruby Mácry i piwowar Schweyer.

Stara Mignerón, widząc, że zagroziłem jej drogę bagnetem, rzekła zgrzytając zębami:

— Ach podły żydzie! przypłacisz ty mi tego!

Starowina była tak rozgniewana, że wcale nie zważała na mój karabin, i że trzy czy cztery razy próbowała wpaść na mnie i przebić widłami. Wtenczas to przekonałem się, że musztra na coś przecię się przyda, bo zręcznie podskakując i wywijając bronią, zawsze unikałem ciosu.

Dwie kozy rzuciły mi się pod nogi i uciekły; resztę zabrano do niewoli. Odepchnięto wrzeszczące baby, połamano widły, i kamraci moi zawrócili znowu na główną ulicę, gdzie pełno już było rozmaitego bydła, które ryczało, beczało i tupotało po zmarzłej ziemi.

Stara Mignerón oparła się o płotek i rwała włosy na głowie.

Tymczasem jeszcze wbiegły w uliczkę dwie krowy. Leciały z wyprężonemi jak strzała ogonami, przesadziły parkan i wpadły do pszczelnika, a pędząc po nim, wywracały ule z pszczolami. Szczęściem było to w zimie; owady jak nieżywe siedziały w poprzewracanych ulach. Gdyby nie ta okoliczność, sądzę, że pszczoły zmusiłyby nasz batalion do odwrotu.

Róg pasterski zadzwonił we wsi swoją niewymyślną, ale dla bydła zrozumiałą notą, zrozumiałszą przynajmniej dla nich od rozporządzeń gubernatora fortecy. Róg ten razem z jego właścicielem pastuchem, jak wszystko inne, wzięto przez rek wizycę w imieniu prawa. Stary pastuch wioskowy Nickel przeszedł trąbiąc wzdłuż głównej ulicy, i zwierzęta się uspokoiły przynajmniej o tyle, że można je było przyprowadzić do porządku. Widziałem jak przeciągały koło uliczki, w której stałem na warcie: woły i krowy szły na czele, za nimi kozy, a wieprze i prosięta stanowiły aryergardę.

Wieśniacy gromadą postępowali z tyłu, ciskając kamieniami i kijami. Widziałem z ich oczu, że gdyby mię zapomniano w uliczce, cała ta gromada nieszczęśliwych wpadłaby na mnie i rozszarpała w kawałki. Ale sierżant Mon-

borne przyszedł mię zluzować wespół z innymi kamratami. Wszyscy się śmieli i wykrzykiwali:

— To mi to wyborna strzyża! Ani jednego kozła, ani kozy, ani żadnej rzeczy jego nie zostało w Barakach! Wszystko nanizaliśmy na jeden powrozek!

Przyśpieszyliśmy kroku, aby doścignąć kolumnę, która sunęła się dwoma szeregami po obu stronach drogi; trzoda szła środkiem, pastuch Nickel i komendant Thomas na czele, a my zamykaliśmy orszak. Wszystko to razem stanowiło potężną kupę, długą przynajmniej na trzysta kroków. Przezorność doradziła zaopatrzyć bydłota w karm potrzebny na czas krótkiego ich życia; wpakowano więc na każde po dwie, po trzy i więcej wiązek siana.

W takim to składzie zastępu weszliśmy powoli do cmentarnej alei i na stoki warowni.

Na stokach zatrzymano nas, trzodę ściśnięto w kupę, i wydano rozkaz wpędzenia jej do fasy z arsenałem.

Oddział nasz powrócił najpierwszy z wyprawy. Zdobyliśmy trzynaście wołów, czterdzieści pięć krów, niemałą liczbę kóz, wieprzów i kilka owiec.

Przez całą resztę dnia inne bataliony wracały mniej więcej z podobną zdobyczą, tak, że fasy napelniły się mnogimi bydłoty, zostawionymi tam pod gołym niebem. Gubernator obejrawszy to wszystko, oświadczył, że żywności dla wojska wystarczy na sześć miesięcy, że każdy mieszkaniec powinien również mieć jej na taki przeciąg czasu, i że dla tego rewizye żywności po domach natychmiast się rozpoczną.

Na placu przed ratuszem zwinięto nasze szeregi i milicję rozpuszczono do domów. Właśnie z karabinem na ramieniu ciągnąłem Wielką ulicą, gdy posłyszałem, że ktoś mię woła z tyłu:

— He! ojciec Mojżesz!

Odwróciłem się i postrzegłem sierżanta.

— Cóż tedy?— rzekł śmiejąc się na całe gardło — odbyliście już słyszę pierwszą wyprawę; zaopatrzyliście armię w żywność. To mi rzecz co się zowie!

— Ach sierżanciel! smutna to była robota.

— Smutna! co znowu? Trzynaście wołów, czterdzieści pięć krów, mnóstwo kóz i wieprzów... dalibóg wyśmienita gratka!

— Zapewne; ale gdybyście słyszeli owe jęki biednego ludu... gdybyście widzieli...

— Ba! ba! — przerwał mi Trubert — widziałem takie rzeczy po wiele razy w Niemczech, w Hiszpanii, we Włoszech... to i cóż z tego? Chłop jest samolubnem stworzeniem, żałuje wszystkiego jak oka we łbie, honor chorągwi dla niego fraszka; krótko powiem, to hałastra!... Zbyt jesteście dobrzy, ojcze Mojżesz, i własną piędzą chcecie mierzyć innych, sądząc, że do was podobni... Gdyby usłuchać waszej skłonności, poginęlibyśmy wszyscy z głodu zamknięci w tej skorupie... Tak być nie może; to nie ma najmniejszego sensu!

Gadając tak, śmiał się jak opętany. Zawróciliśmy wreszcie do swojej uliczki i począłem wstępować na schody.

— Czy to ty, Mojżesz? — ozwała się Sara w ciemności — bo nimesmy przyszli do domu, noc już zapadać poczęła.

— A tak! sierzant i ja — odrzekłem.

— To chwała Bogu! — rzekła; — czekałam ciebie.

A sierzant wykrzyknął:

— Pani Mojżeszowa! mąż pani teraz może się już pochwalić, że jest zupełnym żołnierzem; wprawdzie nie widział jeszcze ognia, ale już nadstawiał bagneta.

— Ach! — rzekła Sara — jestem niezmiernie rada, że powrócił.

W izbie widać było przez białe firanki w drzwiach, że lampa się pali, a czułem po zapachu, że zupełne zastawiano na stole. Sierzant, jak zwykle, poszedł dalej do swojej komórki, a my weszliśmy do siebie. Sara wpatrywała się we mnie czarnemi dużemi oczyma; widziała wielką bladłość mojej twarzy i zgadła wszystko co myślałem. Zdjęła ze mnie ładownicę, odpięła szablę, wzięła z rąk karabin i zaniósła do mojego pokoiku.

— Gdzie Safeł? — spytałem.

— Musi być jeszcze na placu. Posłałam go, żeby zobaczył, czyście wrócili. Ale uważaj! już wraca.

W istocie posłyszałem zaraz, że dziecko jak piłka toczyło się w górę po schodach; prawie tejże chwili drzwi się otwały, i Safelek rozradowany rzucił mi się na szyję.

Zasiedliśmy do stołu, i pomimo wielkości dręczącego mię smutku, jadłem ze smakiem, bo od rana nic w ustach nie miałem.

Nagle Sara zawołała:

— Jeżeli faktura nie nadejdzie przed zamknięciem bram fortecy, to nie będziemy do ni-

czego obowiązani, bo aż do wręczenia dokumentów, wszystko idzie na ryzyko wysyłającego. Potrzebna jest także ceduła.

— A tak! — odrzekłem — i zrobi się to według wszelkiej słuszności. Pan Quatała, zamiast wysłać mi spirytus natychmiast po otrzymaniu zamówienia, mitrężył z odpowiedzią przez cały tydzień. Gdyby owe dwanaście okseftów wyprawił zaraz, albo przynajmniej nazajutrz, jużby teraz były na miejscu. Skutki uchybienia terminu nie mogą spadać na nas.

Widzisz, Fryc, jakie nas tarposiły troski; ale gdy sierżant wedle zwyczaju przyszedł do naszego pokoju, żeby siedząc przy kominie wypalić fajeczkę, zaniechaliśmy dalszej rozmowy o tej sprawie.

Rozwodziłem się tylko z obawami co do mojej Zeffen, Barucha i ich dzieci, zostawionych w otwartej na oścież Sawernie. Sierżant usiłował mię uspokoić, powiadając, że w miejscach bezbronnych grasują wszelkiego rodzaju rekwizycye, zabierają wina, wódkę, mięso, wozy i konie, ale ludzi, jeżeli tylko nie stawiają oporu, zostawiają w pokoju, a nawet starają się żyć z nimi po przyjacielsku. Zgadniesz łatwo, że to mię nie zupełnie radowało.

Przegawędziliśmy tak blisko do godziny dziesiątej; potem sierżant, na którego przypadła kolej trzymania straży przy bramie Niemieckiej, pożegnał nas i wyszedł, a myśmy ułożyli się do spoczynku.

Było to w nocy z 22 na 23 grudnia, a noc to była niemiłosiernie wietrzna i zimna. Nigdy te rzeczy nie wyjdą mi z pamięci!

IX.

Gdy nazajutrz raniutko odsunąłem okiennice sypialni, postrzegłem na dworze kompletną zimę. Stare wiązy na placu, Wielka ulica, dachy merowstwa, szopa na rynku i kościół, wszystko było białe od śniegu. Niektórzy z naszych sąsiadów: blacharz Recco, piekarz Spick, stara przesyprawczka materaców Durandowa, wysunąwszy przezedrzwie głowy, spoglądali przymrużonemi oczyma na iskrzące się od białości miasto, i wykrzykiwali:

— Al otóż i zima!

W istocie, co rok na to patrzymy, a zawsze z równem zadowoleniem: bawi nas i weseli ta nowość w przyrodzeniu. Pod otwartem niebem człowiek wtedy swobodniej oddycha; w domu

zasiada przy kominie, i patrząc na igrające płomienie, z przyjemnością puszcza z fajeczki dymek. Przez lat siedmdziesiąt zawsze mi się podobała taka zmiana, i teraz jeszcze lubię ją tak samo jak dawniej.

Zaledwie otwarłem okienice, Safelek bosy, z rozczochranemi włosami, wyskoczył jak wieiórka z łóżka i przytknął nos do szyby.

— Ach! śnieg! — zawołał — śnieg! śnieg! teraz to prędko już będzie można ślizgać się na stawie!

Sara posłyszała to z ościennej izby, narzuciła co prędzej ubranie i także przybiegła do nas. Patrzaliśmy czas niejaki z wielką przyjemnością w okno; potem ja zacząłem rozkładać ogień, Sara pobiegła do kuchni, Safel śpiesznie się ubrał, i wszystko poszło starym trybem.

Chociaż śnieg spadł, na dworze jednak było porządnie zimno. Jeżeli ogień zajmie się w jednej chwili, a płomienie jak szalone hasają z hukiem po kominie, dowód najoczywistszy, że mróz trzaskający na dworze.

Gdyśmy zasiedli do gorącej polewki, rzekłem do Sary:

— Sierżant nieborak musiał okropnie noc przepędzić na chłodzie. Kieliszek kirszu byłby mu niezawodnie na rękę.

— A tak! — odrzekła; — dobrze zrobiłeś, żeś o tem pomyślał.

Potem otwarła szafę i napełniła kirszem moją podróżną butelczynę.

Wiadomo ci, Frycu kochany, że my, jeżeli się zdarzy odbywać podróż za jakim interesem, nie lubimy wchodzić do karczmy. Każdy z nas bierze z sobą w drogę butelczkę i kawał chleba i tem się posilamy; jest to daleko lepiej i zgodniej z prawem Przedwiecznego.

Owóż tedy Sara napełniła moją podróżną butelczynę, wsunąłem ją do kieszeni pod opończę, i poszedłem do kordegardy. Safel chciał także iść zemną, ale matka go nie puściła; poszedłem więc sam jeden, niepomału zadowolony, że sprawię przyjemność naszemu sierżantowi.

Była wtedy godzina prawie siódma. Śniegu spadło co niemiara, a wiatr zmiatając go z dachów, zasypywał oczy idącym. Ale sunąc się koło murów z nosem ukrytym w opończę, którą starannie się otulałem, w jednej chwili przybiegłem do bramy Niemieckiej. Ledwo zrobiłem trzy kroki po schodach, prowadzących na lewo

do podsieni kordegardy, sam sierżant otworzył ciężkie drzwi i zawołał:

— To wy, ojcze Mojżesz! Co za dyabeł przypędził was tutaj po takim kaducznym chłodziu?

Kordegarda pełna była jakiejś mgły szczegolnej, powstałej z fajczanego dymu i wilgoci. Ledwo można było w głębi dojrzeć ludzi spoczywających na pryczach i pięciu czy sześciu weteranów przy ognisku rozpalonem jak piec hutniczy. Zresztą patrzałem, patrzałem, i nie widziałem.

— Oto — rzekłem do sierżanta, pokazując mu buteleczkę — przyniosłem dla was kropelkę kirszu. Tej nocy haniebnie było zimno, więc sądzę, że może nie zaszkodzi trochę się rozgrzać.

— Myśleliście tedy o mnie, ojcze Mojżesz! — zawołał biorąc mię za ręce i patrząc w oczy tak, że to wyglądało na rozrzewnienie.

— Myślałem, sierżancie...

— No! to lubię was za to.

Odkorkował butelczynę, i pociągnął dobry haust kirszu. W tejsze chwili zawołano w odaleniu: „Kto idzie?“ i żołnierz z placówki pobiegł otworzyć rogatki.

— Wyśmienity! — rzekł sierżant, pięścią przybijając korek i oddając mi napowrót buteleczkę — wyśmienity! weźcie to sobie, ojcze Mojżesz, i Bóg zapłać!

Następnie zwrócił się ku lunecie osłaniającej bramę i rzekł:

— Znowu coś nowego! co tam się stało?

Gdyśmy obadwaj patrzali w tę stronę, wpadł co koń wyskoczy przez bramę jakiś wachmistrz od huzarów, chudy, osiwiwały starzec, z mnóstwem szewronów na rękawie.

Ten człowiek odtąd przez całe życie stoi mi w oczach. Jego koń okryty pianą, jego szabtas latający w powietrzu, szabla szczękająca o buty i strzemiona, kołpak i dołman pokryty szronem, twarz ściągła, koścista, poorana zmarszczkami, nos śpiczasty, podbródek długi, klinowaty, oczy żółte jak u kota: wszystko to mam i teraz przed sobą, jak gdyby widmo wachmistrza przyleciało i stanęło o trzy kroki. Widzę, jak pędzi lotem jastrzębia; jak wleciawszy pod sklepienia, zwraca nagle ku nam konia, który słupem staje pod nim; słyszę, jak krzyknął piorunującym głosem:

— Kwatera gubernatora, sierżancie!

— Pierwszy dom na prawo, wachmistru! Co nowego?

— Nieprzyjaciel w Alzacyi!

Kto nie widział podobnych temu wachmistrowi ludzi, co zrosli się z wojną jak człowiek z domem ojcowskim, twardych i niepożytych jak żelazo, ten nigdy nie potrafi sobie nic podobnego wyobrazić. A do tego potrzeba było słyszeć owe słowa:

— „Nieprzyjaciel w Alzacyi!“

Na ten wykrzyk włosy mi powstały na głowie.

Z kordegardy poczęli wychodzić weterani. Sierżant patrząc na huzara, który zatrzymał już konia przed bramą domu gubernatora, rzekł:

— No, ojcze Mojżesz! przyjdzie tedy popatrzeć z blizka na siebie!

Stary śmiał się, i wszyscy inni weterani byli również kontenci.

Co do mnie, przejęty trwogą, zwiesiłem głowę i prędko zdążać począłem do domu, powtarzając słowa proroka:

„Przysiągł Pan Zastępów na duszę swoją: że cię napełni ludzi jako chrząszczów, i nad tobą będą śpiewali pobudkę... Mur on szeroki podkopaniem podkopany będzie, a bramy jego wysokie ogniem spalone będą, a prace ludzi w ni-

wecz i narodów na ogień będą, i zginą... Bieżący bieżącemu zabieży, a poseł potka się z posłem, aby oznajmił królowi, że wzięto miasto jego od końca aż do końca. I brody ubieżano, i błota ogniem wypalono, a mężowie waleczni zatrwożyli się... Stały się miasta jego zdumieniem, ziemią niemieszkalną i pustą, w której nikt nie mieszka, ani chodzi przez nią syn człowieczy...“

Widziałem, że jestem już bez ratunku zgubiony; opuściła mię wszelka nadzieja.

— O Boże litościwy!—zawołała moja kobieta, postrzegłszy mię wracającego w takim stanie do domu:—Mojżesz, Mojżesz! co z tobą się stało? Jesteś straszliwie wzburzony! Coś okropnego zapewne?

— Tak Saro — odrzekłem, siadając na najbliższym stołku;—nadeszła chwila wielkich nieszczęść, o których prorok powiada: „Król będzie czynił według wolei swojej, i podniesie się i rozwiemoży się przeciw każdemu bogu i przeciw Bogu bogów będzie mówił wielmożne rzeczy... A czasu zamierzonego będzie przeciwko niemu walczył król południowy, a jako burza przyjdzie nań król północny, z wozy, i z jezd-

ny, i z okrętami mnogimi; a wnidzie w ziemię, i zetrze, i przejdzie!“

Mówiłem to z rękami podniesionemi ku niebu. Safelek tulił się do moich kolan; Sara patrzyła na mnie i nie wiedziała co odpowiedzieć. A ja mówiłem, że Austriacy już weszli do Alzacyi, że Bawary, Szwedzi, Prusacy, Ruscy walą za nimi secinami tysięcy, że wachmistrz od huzarów przyleciał z tą nieszczęśliwą nowiną, że nasz spirytus już bez ratunku stracony, i że ruina zawisła nad naszymi głowami.

Łzy mi stanęły w oczach, gdym opowiadał to wszystko; a Sara i Safel nie umieli mię pocieszyć.

Była godzina ósma rano. Zgiełk niewypowiedziany panował w mieście. Słychać było bicie w bęben i zabierano się do czytania proklamacyi. Sądzono, że nieprzyjaciel już idzie prosto na Falcburg.

Ale co mi najbardziej z tego wszystkiego wbiło się w pamięć, to, że gdy otwarliśmy okno, żeby posłuchać co tam będą gadali przy bębnie, dosłyszałem, jak gubernator zapowiadał mieszkańcom, że natychmiast powinni wszelkie palne materiały uprzątnąć ze stodoł i poddaszy; a kiedyśmy słuchali tej nauki, wielki wóz alzacki

zaprzężony parą koni wtoczył się nagle w ulicę, i postrzegłem na przedzie Barucha, dalej zaś na wiązce słomy Zeffen z małym dzieckiem na ręku a drugim starszem u boku.

Biedactwo szukało u nas ocalenia!

Widok ten wzruszył mię do głębi, i zawołałem wznosząc ręce:

— „Panie, teraz niech precz odemnie ucieka wszelka słabość! Ty widzisz, Panie, że powinienem żyć dla tej drobnej dziatwy. Natchnij mię siłą, nie daj mi upaść, Panie!“

I zaraz zbiegłem ze schodów na przyjęcie przybyłych. Sara i Safel poszli za mną. Ja sam wzięłem córkę pod rękę i wysadziłem z wozu; Sara wzięła oboje dzieci. Baruch mówił tymczasem:

— Wpadliśmy do miasta w ostatniej chwili. Kiedyśmy wjechali, spuszczone zaraz rogatki. Wielu przybyłych z Quatre-Vents i z Sawerny nie wpuszczają już tutaj.

A ja mu odrzekłem:

— Niech imię Najwyższego będzie błogosławione, mój Baruch! A wy wszyscy, moi mili, bądźcie pozdrowieni w domu ojcowskim. Nie posiadam nic wielkiego, nie opływam w do-

śtatki, ale wszystko co mam jest wasze także...
Wejdźcie...

I weszliśmy na górę z dziećmi na rękę, Baruch zaś został jeszcze na dole dla zabrania przywiezionych rzeczy, które gdy przeniósł do sieni, wszedł także do izby.

Tymczasem na ulicach wznosiły się całe pagórki siana i słomy, które wyrzucano z poddaszy. Wiatr ucichł, śnieg nie padał; wkrótce też krzyki po mieście i proklamacje ucichły.

Sara pośpieszyła przyrzadzić naprędce dla przybyłych trochę ciepłego posiłku i podała butelkę wina. Baruch, skrzętnie się zwiżając koło talerza, opowiadał nam, jak wielki popłoch ogarnął całą Alzację, jak Austriacy obeszlili Bazyleę, oblegli Huingue, jak szybkimi marszami idą na Schlestadt, Neuf-Brisach i Strasburg i t. d.

— Wszystko poszło w rozsypkę—mówił Baruch,—ludność ucieka w góry; zabierają na wozy przynajmniej co kto ma najkosztowniejszego; trzody wypędzają do lasu. Mówią, że w Mutzigu widziano już bandy Chorwatów; rzecz to jednak nie podobna do wiary, bo armia marszałka Victora stoi nad Wyższym Renem, a dragoni dzień i noc idą dla połączenia się z jego siłami. Nie-

przyjaciel nim się przedrze do Mutzigu, musi stoczyć walną bitwę.

Gdyśmy z uwagą i niepokojem słuchali opowiadania Barucha, sierżant powrócił z warty. Postrzegłszy nowo-przybyłych, stanął we drzwiach i patrzył na nas zdziwiony. Wziąłem więc Zeffen za rękę i rzekłem:

— To moja córka, to mój zięć, a to są moje wnuczeta, o których wam nieraz mówiłem. Oni was znają sierżancie, bo w listach do nich pisałem o was i powiadałem dzieciom, jakeśmy was polubili.

Sierżant przypatrywał się mojej Zeffen, potem rzekł:

— Ojcie Mojżeszu, macie bardzo piękną córkę, a i zięć wasz wygląda na dzielnego człowieka.

Potem wziął na ręce maleńkiego Ezdraszka, podniósł go i skrzywił twarz do uśmiechu, a dziecko się zaśmiało do niego, i wszyscy byliśmy uradowani. Drugi chłopczyk otworzył duże oczęta i patrzył zafrasowany.

— Moje dzieci przyjechały tu z zamiarem pozostania u nas—rzekłem do sierżanta;—wszak przebaczycie im, że w domu przybędzie nieco hałasu?

— Cóż znowu, ojczy Mojszeszu!—zawołał;—rozumie się, że przebaczę im wszystko! Nie kłopotcie się o to; alboż nie jesteśmy starzy znajomi?

I pomimo naszej perswazyi, sierżant zaraz wybrał sobie na mieszkanie inną izdebkę, której okna wychodziły na dziedziniec.

— Gniazdo piskląt powinno trzymać się kupy—rzekł.—Co do mnie, jestem sobie przyjacielem domu, starym sierżantem, który nikomu wody zamącić nie chce, ciesząc się, że ludzie radzi go widzą.

Byłem tak rozrzewniony, że pochwyciłem go za ręce i ścisnąłem pocziwie dłonie starca.

— Dzień, w którym weszliście do mego domu, był dniem błogosławionym dla nas!—rzekłem ze łzami w oczach. — Dzięki niech za to będą Przedwiecznemu!

Sierżant ze śmiechem wykrzyknął:

— No, no! ojczy Mojszeszu! alboż to, co ja robię, nie jest rzeczą zupełnie naturalną? Czego tak bardzo się dziwić?

Wnet potem wysunął się z naszego pokoju, zabrał wszystkie swoje rzeczy, przeniósł je do upatrzonej izdebki, i wyszedł z domu, aby nam nie być na zawadzie.

Jak to niekiedy można się omylić! Ten sierżant, którego Frichard wysłał do nas na nasze utrapienie i zgubę, w parę tygodni był na prawdę członkiem naszej rodziny, i gotów był wszystko uczynić, aby nam sprawić przyjemność. Dużo już lat upłynęło od owej chwili, a jednak dotąd, gdy pomyślę o tym dzielnym żołnierzu, nie mogę się powstrzymać od wzruszenia.

Kiedyśmy zostali sami, Baruch nam powiedział, że nie może pozostać w Falcburgu, że przyprowadził do nas tylko rodzinę i trochę żywności, jaką naprędce w zamieszaniu pochwycić się dało, ale że musi wrócić do Sawyernej pilnować domu i strzedz ile można swego mienia od rabunku.

Uważaliśmy to postanowienie za rozsądne i słuszne, chociaż serce inaczej mówiło. Można sobie wyobrazić, jak ciężko jest żyć w takim rozerwaniu, nie otrzymywać zgoła żadnych o sobie wiadomości, co godzina drżeć z niepokoju o los ukochanych osób!... Jednakże każde z nas musiało wziąć się do swojej roboty: Sara i Zeffen poczęły przygotowywać łóżeczko i kolebkę dla dzieci, Baruch znosił do spiżarni przywieszzone zapasy żywności, Safel bawił się z małymi,

a ja snułem się po wszystkich kątach, rozmyślając o wspólnej niedoli.

Gdy nareszcie Zeffen z dziećmi umieściła się w pięknym pokoiku przygotowanym niegdyś dla sierzanta, gdy bramę Niemiecką już zamknęto, a Francuzką zostawiono jeszcze tylko na dwie godziny, ażeby obcy mieli którądy wynieść się z miasta, Baruch zawołał:

— Zeffen, pora już!...

Ledwo wymówił te słowa, strapienie wielkie dom napelniło cały: jęki, uściski, łzy i wzdychania... Ach! nie ma większego szczęścia, niż być kochanym szczerze; jedyne to prawdziwe szczęście na ziemi... lecz nie daj Boże, co za boleść, kiedy rozstawać się przyjdzie!... A któż wypowie, jakieśmy się wszyscy kochali!... jak Zeffen i Baruch uścikali się z sobą... jak długo spoglądali na dzieci, a potem znowu szlochali!...

Co człowiekowi powiedzieć w podobnej chwili? Siedziałem przy oknie z twarzą ukrytą w dłońach, i ani słowa przemówić nie zdołałem.

Nie śmiałem podnieść oczu; jak przykutych siedziałem i słuchałem tych jęków i narzekań, które mi rozdzierały serce. Aż wreszcie Baruch, widząc, że Zeffen z sił opadła i na no-

gach utrzymać się nie może, uciekł od niej wołając:

— Trzeba!... trzeba!... Bądź zdrowa Zeffen! bywajcie zdrowe dzieci! bywajcie zdrowi wszyscy!

Nikt nie poszedł go przeprowadzać!

Słyszeliśmy, jak wóz zaturkotał po bruku, a potem wszystko w około nas zamilkło, i nastał smutek, ów smutek wielki, o którym powiedziano: „Nad rzekami babilońskiej ziemi, tamśmy siedzieli i płakali, gdyśmy wspominali na Syon.“

X.

Ale tegoż dnia jeszcze spotkać mię miało inne utrapienie, jeżeli można, większe nawet od wszystkich poprzednich. Pamiętasz zapewne, Frycu, że poprzedzającego dnia wieczorem Sara rzekła do mnie przy stole, że jeżeli nie otrzy, mamy faktury i ceduły, spirytus nasz pójdzie na odpowiedzialność pana Quataia z Pézenasu, i nie będzie potrzeba troszczyć się co z nim stanie się w drodze.

Ja również byłem tego samego zdania, i sądziłem, że mam zupełną słuszność. Kiedy zaś

o godzinie trzeciej wszystkie bramy fortecy zamknięto, kiedy pewien już byłem, że nikt nie wejdzie do miasta, uważałem tę sprawę za skończoną i kamień spadł mi z piersi.

— Zawsze to wprawdzie nieszczęście—mówiłem do siebie, przechadzając się wielkimi krokami po izbie: — bo gdyby ten spirytus mógł przyjść tygodniem wcześniej, zarobiliśmy na nim porządnie; ale przynajmniej dobrze i to, Mojżesz, że uwolniłeś się od nieporównanie większych kłopotów i straty. Poprzestań na swoim dawnym handlu; nie rzucaj się w przedsięwzięcia, które zatruwają życie i prowadzą do ruiny. Niech ci to będzie nauką, żebyś nadal nie stawiał wszystkiego na niepewne.

Tak sobie myślałem, gdy około godziny czwartej posłyszałem, że ktoś idzie po schodach. Stąpanie było ciężkie, przerywane: widać, że szedł nieznajomy i omackiem pociemku szukał drogi.

Zeffen i Sara były w kuchni i krzątały się około wieczery. Kobiety zawsze mają z sobą coś do mówienia, czego człowiek choćby chciał nie zrozumie; gadały więc i nie zwracały na nic uwagi. Mnie uderzył ten łoskot na schodach,

zacząłem się przysłuchiwać, potem przemknąłem drzwiami i rzekłem:

— Kto tam?

— Wszak tu mieszka pan Mojżesz, handlujący gorzałką? — zagadnął mnie jakiś ogromny mężczyzna w bluzie, w szerokim pilśniowym kapeluszu, z biczem zawieszonym na ramieniu, jednym słowem furman wożący towary.

Słyszając to i widząc, pobladłem, i odrzekłem niepewnym głosem:

— Ja nazywam się Mojżesz; czegoż to chcecie?

Nieznajomy wszedł do mieszkania i wydobył z pod bluzy gruby skórzany pugilares. Patrzałem na niego, drżąc z niepokoju.

— Weźcie to — rzekł, podając mi dwa papierki — to moja faktura i moja ceduła, oto je macie! Przecież dla was wysłano dwanaście okseftów spirytusu z Pézenasu?

— Dla mnie; gdzie tedy spirytus?

— Na drodze pod Mittelbronnem, o dwadzieścia minut jazdy—odrzekł spokojnie.—Chorwaci zatrzymali wozy; konie się wyprzęgło. Pośpieszyłem dostać się do miasta przez galeryę pod mostem.

Kiedy to mówił, nogi zachwiały się podemną; upadłem na krzesło, nie mogąc wyjąkać ani słowa.

— Zapłacicie mi za transport — rzekł dalej przybyły, — i poświadczycie dostawę towaru.

Natenczas zawołałem złamanym głosem:

— Saro! Saro!

Żona moja nadbiegła z córką. Woźnica wytłomaczył im wszystko. Co do mnie, nie nie słyszałem; ledwo tyle miałem siły, żeby jęczeć:

— Teraz już wszystko zginęło!... Wszystko trzeba zapłacić i ani nie widzieć towaru!...

Kobieta moja tymczasem rzekła:

— Gotowi jesteśmy zapłacić panu, ale w cedułe stoi, że spirytus ma być dostawiony do miasta.

Na to odrzekł woźnica:

— Właśnie idę od sędziego pokoju. Wprzód nim tutaj się stawić, chciałem poznać swoje prawa. Sędzia mi powiedział, że wszystko idzie na wasz rachunek, nawet moje wozy i konie; czy rozumiecie teraz? Wyprzągłem konie i zerknąłem, to na dobre i dla was wyjdzie, bo za konie płacić nie trzeba. Cóż? chcecie czy nie chcecie załatwić rachunku?

Byliśmy na pół umarli ze strachu. Wtem nadszedł sierżant, a słysząc harmider w domu, wszedł do izby i zapytał:

— Co tu się dzieje, ojcze Mojżeszu? Co wam jest? Czego ten jegomość chce od was?

Sara, której nigdy nie opuszczała przytomność, opowiedziała mu wszystko zwięźle a jasno. Sierżant zrozumiał od razu o co chodzi, i zawołał:

— Dwanaście okseftów czystego spirytusu, to dwadzieścia cztery oksefty gorzałki. Co za gratka dla garnizonu! co za prześliczna gratka!

— Tak — odrzekłem, — ale te beczki już nie wejdą do miasta: bramy są pozamykane, a wozy oblegli Chorwaci!

— Nie wejdą! — parsknął sierżant, wzruszając ramionami: — zobaczmy! Cóż to? macie gubernatora za bydłę, czy co? Myślicie, że odrzuci dwadzieścia cztery oksefty porządnej wódki, kiedy właśnie garnizonowi braknie tego artykułu? Czy myślicie, że taką rzecz zostawi w ręku Chorwatów?... Pani Saro, płacicie śmiało za transport, a wy, ojcze Mojżeszu, narzucicie opónczę i ruszajmy do gubernatora z fakturą w ręku. Do drogi! a tylko żwawo! nie wolno tracić ani chwili. Jeżeli Chorwatom damy dość czasu

wścibić nosy do beczek, ręce wam za to, że potężny okaże się deficyt; możecie mi wierzyć na słowo!

Słyszając te wyrazy, zawołałem:

— Sierzancie, ocalacie mi życie.

I pośpieszyłem narzucić na siebie ubranie.

Sara mię jeszcze zapytała:

— Czy płacić za przewóz?

— A tak, zapłać! — odrzekłem wychodząc, gdyż było rzeczą oczywistą, że woźnica mógł nas przymusić do zapłacenia.

Wyszedłem pełen niewypowiedzianego zameętu w głowie. Wszystko, co mogę przypomnieć z owej chwili, było tylko to, że sierżant brnął przedemną po śniegu, że potem przed bramą gubernatora rozmówił się w kilku słowach z jakimś saperem, i że zśliśmy na górę po wielkich schodach z marmurowymi poręczami.

Gdyśmy stanęli na otoczonej balustradą galerji, sierżant rzekł do mnie:

— Spokojności, ojcze Mojżesz! Dobądźcie fakturę z kieszeni, a pozwólcie mnie gadać.

To rzekłszy, uchylił podwójne drzwi obite wołjokiem i ceratą, i z lekka zapukał w drugie.

— Wejdźcie! — zawołał ktoś ze środka.

I myśmy weszli do pokoju gubernatora.

Gubernator Moulin, mężczyźnisko potężnie zbudowane, siedział przed buchającym kominem, w szlafroku i jedwabnej czapeczce na głowie. Twarz miał czerwona, a przed nim na gziemiu marmurowym, między zegarem i kwiatami, stała napoczęta karafka rumu i kieliszek.

— Co tam takiego? — zapytał zwracając się do nas.

— Pułkowniku — rzekł sierżant, — stały się takie rzeczy: dwanaście okseftów spirytusu zatrzymano na drodze z Mittelbronnu; transport oskoczyli Chorwaci...

— Chorwaci! — wykrzyknął gubernator — więc już przeszli nasze linie?

— Tak jest — odpowiedział sierżant; — jakaś banda wysforowała się przodem. Zachwycili dwanaście okseftów spirytusu, które ten patriota polecił sprowadzić z Pézenasu na potrzeby garnizonu.

— Co za bestye! — mruknął gubernator — prawdziwi rabusie!

— Oto jest faktura — rzekł sierżant, biorąc mi z rąk papierek.

Półkownik rzucił z góry okiem na papier i rzekł stanowczym głosem:

— Sierżanciel weźmiecie zaraz dwudziestu pięciu ludzi ze swojej kompanii. Wyskoczcie, a żwawo! i odbijcie te wozy u nieprzyjaciela. Konie potrzebne dla dostawy spirytusu do miasta, weźmiecie ze wsi przez rekwiwizycję.

A gdyśmy chcieli odejść:

— Zaczekajcie! — zawołał; poszedł do stołu, napisał kilka wyrazów, i oddając je sierżantowi, rzekł: — Macie tu rozkaz!

Gdyśmy wyszli na schody, sierżant nagle rzekł do mnie:

— Ojczy Mojżesz, biegnijcie do bednarza, bo może będzie potrzeba jego chłopców i jego samego. Ja znam po trosze Chorwatów: pierwsza ich myśl była niezawodnie pozrzucić beczki z wozów, ażeby przypadkiem nie uciekły. Mogło się tam coś nadpsuć, a do tego musimy znowu dźwigać te rzeczy na wozy. Niech więc z sobą przyniosą powrozy i drabinkę. Ja pobiegnę do koszar, żeby zaraz zebrać swoich.

Więc jękaniami skoki pobiegłem do domu. Byłem oburzony na Chorwatów, i wpadłem do domu po to, żeby wziąć karabin i ładownicę. Zdało mi się, że byłem zdolny walczyć przeciwko całej armii, tak mi się pomąciło w głowie.

Sara i Zeffen pytały mię:

— Co to jest? gdzie idziesz?

Ale ja odrzekłem:

— Zobaczycie te później!

I podążyłem co prędzej do Schweyera. Stary wyciągnął z kąta dwa wielkie pistolety od olster, i razem z siekierą zatknął za pas swojego fartucha. Dwaj jego chłopcy Nickel i Franz wzięli drabinę i powrozy, i pobiegliśmy ku bramie Francuzkiej.

Sierżanta jeszcze tam nie było; ale w parę minut nadbiegł z ulicy Remparts, mając za sobą ze trzydziestu weteranów. Szli szeregiem z karabinami na ramieniu i dyabelnie nasrożoną postawą.

Oficer trzymający straż u wejścia do podziemnej galeryi, umyślnie zrobionej dla wycieczek z fortecy, ledwo spojrział na rozkaz komendanta, natychmiast wpuścił nas do głębi. Za chwilę byliśmy już w fosach, a szpital został po za nami. Tam sierżant kazał uszykować się oddziałowi i przemówił w te słowa:

— Idzie o gorzałkę... dwadzieścia cztery oksefty gorzałki! A więc kamraci, bacność! Garnizon nie ma wódki. Kto nie lubi wódki, w tył!

Ale wszyscy chcieli bić się w pierwszym szeregu; już się zawczasu uśmiechali.

Wdrapaliśmy się po schodach na górę, odział uszykował się w szeregi i skierował na osłoniętą drogę. Rzuciwszy okiem przez pochyłości stoków, można było zobaczyć przed sobą obszerne łąki Eichmattu, a wyżej pod nad nimi pocięte dolinami wzgórza Mittelbronn, pokryte śniegiem. Na niebie wisiały czarne chmury, i noc już zapadać poczęła. Zimno też było potężne.

— Naprzód! — rzekł sierżant.

I ciągnęliśmy bitą drogą. Weterani uszykowani w dwa szeregi sunęli chyłkiem, z karabinami gotowemi do użycia w rękę. Śniegu mieli po kolana, ale to im nie przeszkadzało przyśpieszać kroku.

Schweyer, jego dwaj chłopcy i ja maszerowaliśmy z tyłu.

Nim kwadrans czasu upłynął, weterani pędząc bez wytchnienia, zostawili nas daleko za sobą. Z początku słyszeliśmy, jak ich ładownice podskakując uderzały o boki, potem szmer ten stawał się coraz niewyraźniejszy, na koniec stłumiło go zupełnie szczerkanie psa uwiązanego na łańcuchu w Trois-Maisons.

Wielkie milczenie nocy usposabia do rozwagi. Gdyby nie myśl o spirytusie, byłbym niezawodnie

zawrócił nazad do Falcburga; szczęściem ta myśl górowała nad innemi, więc rzekłem:

— Prędej-no Schweyer, prędej!

— A tak! prędej! — zawołał gniewnie zagadniony — możesz się śpieszyć, jeżeli ci pilno zobaczyć się ze swoim spirytusem; ale nas jakie лихо ma tam pędzić na złamanie karku? albo to miejsce dla nas na wielkiej drodze? czy to my jesteśmy bandyci, żeby narażać życie?

Zaraz odgadłem, że bednarz zamierzał zemknąć, więc oburzony pogroziłem:

— Strzeż się, Schweyer! strzeż się, powiadam tobie! Jeżeli ucieczesz ze swoimi chłopcami, powiedzą, żeście zdradzili gorzałkę przeznaczoną dla garnizonu. Będzie to coś gorzej niż zdradzić chorągiew, szczególnie z strony bednarzy!

— Niech cię szatani mają w swojej opiece! — wykrzyknął rozwścieczony. — Nie mamy obowiązku iść, i koniec!

Jednakże szedł dalej zemną; Nickel i Franz, nie kwapiąc się bynajmniej, sunęli za nami.

Gdyśmy weszli na wzgórze, postrześliśmy kilka światełek w wiosce. Nad całą osadą panował mrok i cisza, ale dwa pierwsze domy mrowiły się ludem.

Oblężenie.

Drzwi szynkowni pod „Gronem“ otwarte były na oścież; światło od ognia buchającego na kuchni padało przez nie na dziedziniec i aż na drogę, gdzie stały dwa moje wozy.

Zgiełk ów, o którym wspomniałem, był robotą chorwackich ułanów, którzy poprzywiązywawszy konie pod szopą, hulali sobie w najlepsze u Heitza. Starą jego żonę zmusili do gotowania wieczery, a sami tymczasem uwijali się po podwórzu i ganku, z konwiami i dzbanami w ręku, które od jednego do drugiego ustawicznie przechodziły. Byliśmy od nich o dwieście lub najwięcej trzysta kroków, i widzieliśmy to wszystko.

Naturalnie przyszła mi zaraz myśl do głowy, że Chorwaci żłopali mój spirytus, tembardziej, że przy jednym wozie wisiała latarnia, i niegodziwcy jeden po drugim wracali ztamtąd na dziedziniec z rękami podniesionymi, jak gdyby coś dzwigali. Na ten widok wściekłość mię tak dalece ogarnęła, że nie bacząc na oczywiste niebezpieczeństwo, począłem biedz z zamiarem powstrzymania rabunku.

Szczęściem wyprzedzili mię weterani; gdyby nie to, Chorwaci byłiby mię rozsiekali. Ale nie dobiegłem jeszcze połowy drogi, gdy cały nasz

oddział wypadł z po za płotów i rzucił się jak ruja wilków z okrzykiem:

— Na bagnety!!

Nigdy, mój Frycu, nie widziałeś podobnego zamieszania. W jednej chwili Chorwaci byli już na koniach, a weterani skakali pomiędzy nimi jak wróble. Wystawa szynkowni z kratkowanym ganeczkiem, gołębnik, mały ogródek opasany sztachetami, wszystko było oświetlone od karabinowych i pistoletowych wystrzałów. Dwie córki Heitza jak waryatki stały w oknach z zalamanymi rękoma i wrzeszczały na całą wioskę.

Wśród tego zamętu, raz po raz coś wylatywało jak piłka na drogę, a potem postrzegałeś jak koń z szyją wyciągniętą, z grzywą i ogonem wirującym w powietrzu, sadił przez pole jak strzała. Ludzie ze wsi nadbiegać poczęli; stary Heitz ślizgał się po drabince, usiłując schować się pod strychem; ja zaś, ledwo mogąc oddychać, jak głupiec jaki, pobiegłem ku szynkowni.

Już byłem nie dalej niż o pięćdziesiąt kroków, gdy jeden z Chorwatów, zmykający co koń wyskoczy, rozwścieczony zwrócił się ku mnie, z lancą wysuniętą przed siebie i piorunującym okrzykiem:

— Hurra!

Ledwo zdołałem się nachylić, w tejże chwili uczułem, że powietrze się wzruszyło wzdłuż grzbietu mego, nad którym przeleciała lanca.

Nigdy w życiu mojem, Frycu, nie doznałem okropniejszego uczucia. Czułem już zimno śmierci, owo drżenie natury ludzkiej, o którym prorok powiada: „Zdjął mię strach i drżenie, i wszystkie kości moje przestraszone są; a gdy duch szedł przy bytności mojej, wstały włosy ciała mego.“

Ale duch mądrości i przezorności, który ręka Przedwiecznego wkłada w swoje stworzenie, jeżeli mu dożyć późnego wieku przeznaczyła, doradził mi natychmiast, chociaż kolana ugięły się podemną, przycupnąć pod najbliższym wozem, gdzie lanca mię dosięgnąć nie mogła. Ztamtąd widziałem, jak weterani dokonywali pogromu hultajów, co się byli cofnęli w podwórze; widziałem, że ani jeden nie uszedł.

Pięciu czy sześciu leżało w kupie przed bramą; trzech innych widziałem rozciągniętych na drodze.

Wszystko to trwało zaledwie jakich dziesięć minut; potem znowu nastąpiła ciemność, i posłyszałem, jak sierżant krzyknął:

— Dość ognia!

Heitz wylał z poddasza i poszedł zapalić latarnię. Sierżant postrzegłszy mię pod wozem, zawołał:

— Jesteście raniony, ojcze Mojżesz?

— Nie—odrzekłem;—ale nieprzyjacieli chciał przeszyć mię lancą, więc schroniłem się w bezpieczne miejsce.

Sierżant zaśmiał się głośno, podał mi rękę, żeby pomódz wydostać się z pod wozu, i rzekł:

— Napędziliście mi strachu, ojcze Mojżesz; lękałem się o was. Otrząśnijcie się ze śniegu, bo ktoś gotów jeszcze pomyśleć, że nie jesteście odważnym człowiekiem.

Ja uśmiechnąłem się także, a w duchu rzekłem:

— Niech sobie drudzy myślą, co im się podobają! Główna rzecz w dobrem zdrowiu żyć o ile można najdłużej.

Z oddziału naszego nikt nie zginął; mieliśmy tylko jednego rannego, starego kaprała Duhe-ma, który sam sobie obwiązał ranę i chciał koniecznie wracać pieszo. Lanca przekłóła mu prawą łydkę. Mimo oporu, posadzono go na wozie, a dorodna córka Heitza, Lehnel, przyniosła starym kropelkę kirszu, co mu natych-

miast wróciło siły, a nawet dobry humor. Wykrzykiwał wesoło:

— To już piętnasta! Przyjdzie z tydzień posiedzieć w szpitalu; ale zostawcie mi butelkę na kompresy!

Co do mnie, byłem uszczęśliwiony, widząc jak moje dwanaście okseftów znowu się windowały na wozy. Schweyer ze swymi chłopcami znikł jak kamfora; musieliśmy sami dźwigać ciężar do góry.

Gdyśmy ustawili beczki, pośpieszyłem natychmiast przekonać się, jak dużo braknie.

Wszak czy uwierzysz? ci nie dobrego wypili blisko pół miary spirytusu; a stary Heitz mi powiadał, że niektórzy prawie wcale nie dolewali wody. Już chyba podobne istoty mają gardła ze stali! U nas najzawołany pijak, gdyby chciał pociągnąć spirytusu takiej mocy, byłby od razu runął o ziemię.

Zresztą wszystko już było skończone; zostało tylko powrócić do miasta. Kiedy o tem pomyśle, zdaje się, że znowu tam jestem w Mittelbronnie i wszystko widzę jak wtedy było. Przsadziste, siwo-jabłkowite konie Heitza wychodzą jeden za drugim ze stajni. Przy bramie stoi sierżant z latarnią podniesioną do góry,

i wykrzykuje ponurym głosem: „Żwawiej! Żwawiej!... ta hołota gotowa jeszcze powrócić!...“ Na drodze weterani okrążyli beczki i rozprawiają z ożywieniem. Dalej na prawo gromada chłopów z widłami, z cepami, z motykami, przypatruje się rozciągniętym na śniegu Chorwatom. Ja zaś stoję na ganeczku szynkowni, i patrząc na to wszystko, a myśląc: „Toż będzie radość w domu, kiedy postrzegą mię wracającego razem z krwawo zapracowanym mieniem!“ — wysławiałem imię Przedwiecznego...

A później, kiedy konie zaprzężono, kiedy zabręczały dzwonki, kiedy bicz klasnął w powietrzu i wozy potoczyły się ku miastu, co za radość po tylu zgryzotach!

Ach, Frycu! jak pięknie po trzydziestu latach wszystko maluje się nam w oczach! Smutki, obawy i niepokoje poszły w niepamięć; wspomnienie dobrych ludzi i chwil szczęśliwych zostaje na zawsze z nami!

Weterani sunęli po obu stronach drogi z kabinami pod pachą, pilnując moich dwunastu okseftów jakby świętego przybytku; Heitz poganiał konie, ja zaś z sierżantem szedłem z tyłu.

— Cóż tedy, ojeze Mojżesz!—rzekł śmiejąc się Trubert—wszystko wybornie się udało, musicie być zadowoleni?

— Ach, sierżanciel więcej uradowany jestem, niż mogę wypowiedzieć słowami. Co miało mię przyprowadzić o zgubę, stało się przyczyną pomysłności mojej rodziny, i wam to jesteśmy obowiązani.

— No, no!—rzekł—żartujecie sobie ze starego.

Sierżant śmiał się, ja zaś byłem wzruszony; bo po tylu obawach postradania wszystkiego, widzieć, że wszystko do nas powraca i zysk na tem okroi się niemały, to doprawdy rzecz wzruszająca.

Wołałem w duchu:

— „Bądź pochwalon o Panie! Wysławiać Cię będę pośredkiem ludzi, a psalmami Cię wielbić między narody! albowiem wielkie jest miłosierdzie twoje, a mądrość twoja aż pod obłoki!...”

XI.

Muszę ci teraz opisać nasze przybycie do Falcburga.

Nie potrzebuję ci mówić, bo sam już pewno odgadłeś, że żona moja i dzieci były bardzo niepokojne po mojem wyjściu z karabinem na ramię. Około godziny piątej Sara i Zeffen wyszły na miasto, żeby się czego dowiedzieć, i wtedy to dopiero posłyszały, że z oddziałem weteranów podążyłem do Mittelbronn.

Pomyśl teraz, jakie ich było przerażenie!

Wieść o tych nadzwyczajnych wypadkach prędko rozbiegła się po mieście, i mnóstwo ludzi zebrało się na bastyonie przy koszarach piechoty, aby z daleka przypatrywać się przebiegowi potyczki. Burguet, mer, tudzież inne dostojne osoby, nie licząc mnóstwa kobiet i dzieci, stali tam, usiłując dopatrzeć cośkolwiek wśród głębokiej ciemności nocy. Wielu utrzymywało, że Mojżesz pomaszerował z oddziałem, lecz inni nie dawali temu wiary, a Burguet nawet zawołał:

— To niepodobieństwo! Człowiek tak rozsądny jak Mojżesz nie zrobi tego, żeby własne swe życie miał wystawiać na szwank w zetknięciu się z Chorwatami. Mówię, że to niepodobieństwo!

Ja sam na jego miejscu byłbym podobnie utrzymywał. Ale co chcesz, mój Frycu? Na lu-

dzi najprzezorniejszych napada czasem zaślepienie: kiedy ich dobro w niebezpieczeństwie, stają się ślepi i straszni, bo nie widzą co im samym zagraża!

Tak więc tłum na bastyonie przypatrywał się i czekał wiadomości; wkrótce też Zeffen i Sara, otulone wielkimi wełnianymi chustkami, przybiegły tam blade ze strachu. Wlazły na wał i stały tam w śniegu, nie mówiąc z powodu nadzwyczajnego wzruszenia. O wszystkim tem dowiedziałem się później.

Gdy Zeffen i jej matka weszły na bastyon, mogło być już pół do szóstej wieczorem; ani jednej gwiazdki nie było widać na niebie. Właśnie o tej chwili Schweyer ze swymi chłopakami dał nura z pod Mittelbronnu, a w pięć minut potem przyszło do ognistej rozprawy.

Powiedział mi później Burguet, że pomimo nocy i odległości, widziano z bastyonu błyski strzelaniny koło karczmy tak wyraźnie, jak gdyby potykano się o sto kroków, a nikt nie przemówił ani słowa, bo słuchano gęsto następujących po sobie wystrzałów, które echem odbijały się od pagórków Bois-de-Chênes i Lutzelburga.

Dopiero przy końcu bitwy, Sara nie mogąc dłużej utrzymać się na nogach, zeszła z wałów

wsparta na ramieniu córki. Burguet odprowadził je aż w ulicę, i skłonił wejść do najbliższego domu, do mieszkania starego Friesego, który pogrążony w smutku siedział przed nanieconym kominkiem.

Sara wołała:

— Ach! przychodzi już ostatnia moja godzina!

Zeffen płakała wrzącemi łzami.

Często później robiłem sobie wyrzuty, że byłem sprawcą tak ciężkiego zmartwienia; ale któż z ludzi może zaręczyć, że go rozsądek czasem nie opuści? Sama mądrość czyż nie powiedziała niegdyś: „Poszedłem, abym oglądał mądrość i głupstwa i szaleństwa. I obaczyłem, iż tak dalece mądrość przechodzi głupstwo, jako różna jest światłość od ciemności. Mądrego oczy są w głowie jego. Głupi w ciemności chodzą. I poznałem, iż jednakże jest obu dokończenie, i rzekłem w sercu swem: Jeśli jedno będzie i głupiego i moje dokończenie, cóż mi pomoże, żem się więcej o mądrość starał? I rozmawiając, z sercem swoim, obaczyłem, że i to jest marność.“

Ledwo Burguet wyszedł od Friesów, Schweyer i jego chłopcy wyczołgali się z galerii, krzycząc

na całe gardło, że zostaliśmy oskoczeni przez Chorwatów i niezawodnie wszyscy poginiemy. Na szczęście, moja żona i córka nie mogły tego słyszeć, a tymczasem mer zbliżył się do zbiegów i pogroził, że jeżeli nie stulą gęby i nie odejdą natychmiast do domu, to wpakuje ich zaraz do kozy.

Przestroga poskutkowała wyśmienicie: krzaczek przytuliwszy uszy odeszli; ale to na nic się nie przydało, bo ludzie uwierzyli ich słowom, a kiedy ogień ustał w Mittelbronnne, wyciągnęli stąd wniosek, że nas co do jednego już wyciępiono.

Tłum począł opuszczać wały i zalegać ulice; wielu nawet powracało już do domów, nie spodziewając się spotkać nas więcej w tem życiu. Aż oto punkt o godzinie siódmej sztyldwach przed bramą wykrzyknął:

— Kto idzie?

Myśmy stanęli przed rogatkami!

Tłum szybko rzucił się znowu na wały. Żołnierze z odwachu, pod komendą sierżanta Consigne'a, stanęli w okamgnieniu pod bronią, i zbliżyć się zaczęli do rogatki, aby zapytać nas o hasło i inne podobne rzeczy, bardzo rozumnie

wymyślone, iżby nie dać się ubiedz nieprzyjacielowi.

Otoczeni ciemnością nocy, staliśmy z drugiej strony fosy i słyszeli głuchy szmer po mieście, nie wiedząc powodu wrzawy. Dopiero, gdy po rozpoznaniu oddziału powoli otwarto rogatki i most zwodzony spuszczone, jakież było nasze zdziwienie kiedy rozległy się z tysięcznych ust okrzyki:

— Niech żyje stary Mojżesz! niech żyje gozalka!...

Oczy moje napełniły się łzami. Ten głuchy łoskot wozów z towarem, które wtoczyły się pod sklepienia bramy, ci żołnierze, którzy broń przed nami prezentowali, ten tłum niezliczony, który nas otoczył, wykrzykując: „Mojżesz! hej Mojżesz! jakże się miewasz? czy żyjesz jeszcze?” te wybuchy pustego śmiechu, to chwytanie mię za ręce i barki, żebym opisywał potyczkę... wszystko to wzruszyło mię do głębi.

Każdemu chciało się ze mną pogadać, nawet samemu merowi, a ja nie miałem czasu odpowiadać.

Ale to wszystko jest niczem w porównaniu z uszczęśliwieniem, jakiegom doznał, gdy postrzegłem Sarę, Zeffen i Safelka, wybiegających

od Friesów i rzucających się razem w moje objęcia z wykrzykami:

— Ocalony!... Ocalony!...

Ach, Frycu! co znaczą honory w porównaniu z taką miłością? Co znaczy chwala całego świata obok radości, którą sprawia nam widok ukochanych?... Inni mogliby sobie choć sto lat krzyczeć: „Niech żyje Mojżesz!“ a ja ledwobym może odwrócił głowę; ale zjawienie się mojej rodziny w tej chwili wywarło na mnie straszliwe wrażenie.

Oddałem karabin Safelkowi, a korzystając z czasu, póki wozy pod eskortą weteranów sunęły się ku rynkowi, wyciągnąłem Sarę i Zeffen z tłumu, wprowadziłem do starego Friesego, i tam sam na sam poczęliśmy się uściskać i całować.

Tymczasem na ulicy wrzawa radosna wzrastała: pomyślałbyś, że moja wódka była przeznaczona, tak sobie, dla rozdania całemu miastu! Ale w izbie, gdzieśmy byli, córka moja i żona tonęły we łzach, a ja wyznawać musiałem przed sobą całą nieroztropność swojego postępku.

Z tego powodu, zamiast im opisywać niebezpieczeństwa, na jakie byłem wystawiony, wola-

łem powiedzieć, że Chorwaci pierzchnęli, jak tylko nas postrzegli, i że całego zachodu mieliśmy tylko tyle, iż trzeba było zaprzęgać konie.

Tak upłynęło z dziesięć minut; okrzyki tymczasem na ulicy zamilkły, i myśmy wyszli do domu, aby dopilnować wyładowania spirytusu. Ja szedłem z Sarą i Zeffen pod ręce, a Safelek z karabinem na ramieniu sadził przodem.

Umyśliłem tejsze jeszcze nocy zupełnie urządzić się z gorzałką, aby jak można najprędzej przystąpić do sprzedaży i brać w dubelt dla wynagrodzenia sobie wszystkiego.

Jeżeli człowiek rzuca się na takie niebezpieczne przedsięwzięcie, jak był mój zakup spirytusu, to powinien z tego korzystać, mój Frycu. Gdyby bowiem miano oddawać towar po cenie kosztu, jak tego wielu sobie życzy, niktby ani pomyślał narażać swego majątku, dla sprawienia komuś przyjemności; a nawet gdyby znalazł się człowiek, coby chciał dla innych poświęcić swe mienie, obwołanoby go za głupca, jak to sto razy już się zdarzało i zawsze powtarzać się będzie.

Dzięki Bogu, chęć naśladowania podobnych ludzi nigdy mi nie powstała w głowie. Zawsze byłem tego zdania, że prawdziwy handel na tem

polega, aby ciągnąć takie zyski, jakie tylko wy-
ciągnąć się dadzą, byle uczciwie i prostą dro-
gą. Rzecz to i słuszna, i rozsądna.

Kiedyśmy wymięli róg szopy targowej, po-
strzegłem, że wozy moje ze spirytusem stały
już przed domem wyprężone. Heitz z pośpie-
chem odjeżdżał, żeby skorzystać z czasu, póki
brama była otwarta; a weterani, kto z bronią
na ramieniu, kto w rękę, zmierzali w ulicę pro-
wadzącą do koszar piechoty.

Musiała już być godzina ósma wieczorem.
Sara i Zeffen zaraz poszły do łóżka, a ja wy-
szłałem Safelka po bednarza Grossego, i zacząłem
robić przygotowania do zdjęcia beczek i spuszczenia
do piwnicy. Gromada ludzi przypatry-
wała się wozom i napraszała się z pomocą.
Wkrótce Grosse nadszedł z czeladzią i wzięli-
śmy się jak należy do roboty.

Przyjemna rzecz, mój Frycu, widzieć potężne
beczki toczące się do twojej piwnicy i pomy-
śleć: „Te beczułki do mnie należą! Jest to
spirytus, który mię kosztuje po piętnaście sous
za litr, a który rozprzedam po trzy franki!“
Z tego możesz wyrozumieć całą piękność han-
dlowych obrotów. Ale zbyteczna rozwodzić się

nad tem: każdy sam sobie może wystawić tę
przyjemność.

Około północy wszystkie dwanaście okseftów
już spoczywały na podkładach; zostawało tyl-
ko otworzyć je i przystąpić do rozprowadzania
wodą.

Kiedy już tłum się rozlaził, umówiłem się
z Grossem, że przyjdzie jutro do mnie i po-
może mi rozwodnić spirytus. Potem wyszli-
śmy z piwnicy zadowoleni z pocziwie dokona-
nej pracy. Grosse zamknął podwójne drzwi
dębowe, ja zakręciłem klucz we drzwiach, a dla
lepszej pewności zawiesiłem jeszcze kłódkę
przy klamce, i z kolei poszedłem także odpocząć.

A kładąc się myślałem: „Co za radość mieć
coś swojego, i być pewnym, że w bezpiecznym
miejscu!“

Widzisz tedy, Frycu, jak moje dwanaście
okseftów zostały uratowane. Teraz to już zro-
zumiesz, jakie przechodziliśmy niespokojności,
jaki strach okropny miotał ludźmi w owe czasy.
Nikt nie był pewien niczego; bo nie sądz, że
ja sam jeden byłem jak wróbel na dachu: inni
secinami również nie mogli zmrużyć oka. Ta-
kie to były czasy!

Potrzeba było widzieć, jak co rano przedłużały się twarze Falcburczyków na wieść, że Austriacy i Ruscy zalewają Alzacyę, że Prusacy idą na Sarrebruck; albo jak zwieszano głowy przy słuchaniu proklamacyi, zapowiadającej przetrząsanie domów, lub szarwarki do budowania podziemnych galeryj i wznoszenia nasypów fortecy; albo przy ogłoszeniu rozkazu, aby w też tropy formowano zbieraną drużynę do gaszenia pod gradem kul nieprzyjacielskich ognia wzniesanego przez bomby i granaty; albo jeszcze polecenia, aby złożono gubernatorowi wykaz stanu kasy miejskiej i listę główniejszych kontrybuentów, a to celem dostawy trzewików, płaszczów, pościeli, i tak dalej bez końca. Do tego już było przyszło, że co godzina to nowina, a czasem dwie i trzy na godzinę!

Podczas wojny człowiek cywilny nic nie znaczy; ze świstkiem podpisanym przez gubernatora fortecy zabierają ci wszystko aż do ostatniej koszuli. Skoro gubernator przemówił, przeciwny głos najpoważniejszych obywateli wart tyle co gwizdanie wiatru w kominie.

Zresztą, pomimo tych wszystkich nieszczęśliwości, nie wypadło tracić czasu, i cały dzień następnny poświęciłem wyłącznie rozwodnianiu

spirytusu. Zrzuciłem z siebie kaftan i pompowałem z nadzwyczajną energią. Grosse i jego chłopcy dźwigali konwie i wylewali do sześciu świeżych beczek od wina, które zawczasu nabyłem. Wieczorem wszystkie beczki aż po otwory napełnione były wyborań czystą wodką, mającą ośmnaście stopni mocy.

Przygotowałem był również podprażonego cukru, aby gorzałce nadać piękny kolor starego koniaku; a gdy później wyciągnąłem trochę lewarem i podniosłem kieliszek do świecy, kolor istotnie okazał się prześliczny. Oczy mi się zaiskrzyły zachwyceniem i wykrzyknąłem:

— „Dawajcie sycery smutnym, a wina tym, których serce jest w gorzkości! Niech piją i zapamiętają nędze swojej, a boleści swojej więcej niech nie wspominają!“

Stary Grosse stał przy mnie wyciągnięty jak żuraw i uśmiechał się nieznacznie; chłopcy jego byli również w nienajgorszym humorze. Nalałem kieliszek po same brzegi i podałem staremu; potem kieliszek poszedł z rąk do rąk, i wszyscy byli niepomalu ucieszeni.

Opuściliśmy piwnicę dopiero około godziny piątej.

Tegoż dnia Safel sprowadził trzech najemników i kazał cały zapas żelaza przenieść ze sklepu na podwórze pod szopę. Jednocześnie przystąpiono do wybielenia zapleśniałego sklepu pod filarami. Tymczasem stolarz Desmaretts przybijał już tam półki na butelki, kieliszki i naczynia blaszane do mierzenia gorzałki, a syn jego układał i spajał deski nowiutkiego szynkwasu. Wszystko się robiło razem i z wielkim pośpiechem, jak zwykle kiedy czas bywa drogi, a człowiek ma wszelkie widoki prędkiego i łatwego zarobku.

Z ukontentowaniem przypatrywałem się robotcie; tymczasem Sara i Zeffen z dzieckiem na ręku weszły także do sklepu. Ja, wskazując swojej kobiecie miejsce za szynkwasem, rzekłem:

— Tu będziesz siedziała w wielkich futrzanych pantoflach i porządnem ciepłym futerku, i będziesz sprzedawała wódkę.

Na samą myśl o tem, Sara się uśmiechała.

Sąsiedzi nasi: puszkarz Bailly, maleńki Koffel tkacz i wielu innych, przyszli także pogapić się na robotę. Przyglądali się nic nie mówiąc, ale uważałem z ich miny, że dziwił ich ten niezrównany pośpiech w pracy.

O godzinie szóstej, kiedy już Desmaretts ostatni gwóźdź wbił do ściany, przyszedł sierżant, a był wesołym usposobieniu. Powracał z kantyny. Spojrzawszy na odnowiony mój sklep, zawołał:

— Wszystko to dobrze, ojciec Mojżesz, ale brak jednej rzeczy.

— Czegóż to, sierżancie?—zapytałem.

— He, he! wszystko dobrze, ale potrzeba z wierzchu blindaża, bo te lotry granaty lubią wszędzie wścibiać nosa!

Musiałem przyznać, że ma słuszność, i przestraszyliśmy się wszyscy, oprócz sąsiadów, którzy śmieli się ze sprawionej nam niespodzianki.

— Tak, tak!—rzekł sierżant,—musimy o tem pomyśleć, i to prędko.

Te uwagi sierżanta zepsuły mi zupełnie dobry humor: postrzegłem, że koniec roboty był jeszcze daleki!

Zara, Zeffen, sierżant i ja poszliśmy do siebie na górę; Desmaretts tymczasem zamykał drzwi; a Safelek pozostał dla zabrania kluczów. Podano wieczerzę, zasiedliśmy do zupy, ale ciężkie myśli nie opuszczały nas i przy stole.

Na ulicy zgiełk ustał; tylko kiedy niekiedy słyhać było jak patrol mieszczkański przeciągał pod oknami.

Sierżant wedle zwyczaju przyszedł do nas wypalić fajeczkę. Siedząc przy kominie, tłomaczył nam co to są blindażę, i jak je robić z krzyżujących się bierwion, w kształcie budki pochyło ze stron obu zbiegających się u góry. Silił się przytem dowieść, że taka buda jest równie wytrzymała jak murowane sklepienie, a może i mocniejsza; lecz ja nie mogłem uwierzyć, żeby była dość mocną, a uważałem, że i Sara była jednego ze mną zdania.

Przegawędziliśmy prawie do godziny dziesiątej; potem każde z nas udało się na spoczynek.

XII.

Przyszło nareszcie, czego się oddawna spodziewano, ale bynajmniej nie wyglądzano z upragnieniem. Około godziny pierwszej w nocy z 5 na 6 stycznia, właśnie dzień chrześcijańskiego święta Trzech Królów, nieprzyjaciel ukazał się na wzgórzach Sawerny. Zimno było okropne, szyby w oknach bielutkie były od mrozu. Zbudziłem się o samej pierwszej i posłysza-

łem, że w koszarach piechoty bito w bęben na trwożę.

Nie potrafisz sobie wyobrazić, czem jest podobny łoskot bębna wśród najzupełniejszej ciszy, gdy wszystko snem twardym spoczywa.

— Czy słyszysz, Mojżeszu?— rzekła po cichu do mnie Sara.

— Słyszę,— odrzekłem, ledwo mogąc oddychać.

W minutę może, kilka okien otwarło się na naszej ulicy; widać przysłuchiwano się co to będzie. Za chwilę rozległ się odgłos szybkich kroków mnóstwa ludzi, a wnet potem krzyki:

— Do bronii! do bronii!

Przy podobnych okrzykach niepodobna, żeby włosy nie powstały człowiekowi na głowie.

Wstałem i właśnie zapalałem lampę, gdy zapukano we drzwi.

— Wejdźcie! — drżącym głosem ozwała się Sara.

Wszedł sierżant. Był zupełnie gotów do marszu, w kamaszach, w szarym płaszczu, z karabinem na ramieniu, szablą przy boku i ładownicą za plecami.

— Ojcie Mojżeszu— rzekł,— wracajcie spokojnie do łóżka; to batalion zwolują do koszar; do was się te sprawy nie ściągają.

Zrozumieliśmy zaraz, że miał słuszność, bo w istocie dobosze nie chodzili bębniąc po ulicach, jak to robiono przy zwoływaniu gwardyi narodowej.

— Dziękuję, sierżancie!—rzekłem.

— Smacznego snu!—odpowiedział zbiegając ze schodów.

Drzwi zewnętrzne otwały się i znowu na klucz zamknęły, a tymczasem dzieci zbudzone płakać poczęły. Zeffen z Esdraszkiem na rękę weszła niezmiernie blada, wołając:

— Mój Boże! co się to stało?

— Nic, Zeffen—odrzekłem,—nie moje dziecko: biją apel na żołnierzy.

W tejże chwili batalion wtoczył się na Wielką ulicę. Widzieliśmy go, jak defilował aż na Plac broni, a nawet dalej, bo aż do bramy Niemieckiej.

Okna się znowu pozamykały, Zeffen wróciła do swojej izby i ja poszedłem się położyć.

Ale jak tu spać po podobnem wstrząśnieniu? Tysiączne myśli przechodziły mi przez głowę. Wyobrażałem sobie, jak nieprzyjaciele tłumami suną się pod miasto, jak nasi idą na ich spotkanie, jak obsadzają wały i strzelnice. Wszystkie blindaje, blokhauzy, baterye osłonięte ba-

styonami, stanęły mi przed oczyma; a gdym pomyślał, że wszystkie te potężne roboty wykonano przeciwko bombom i granatom, nie mogłem nie zawołać w duchu:

— Nim wróg podruzgocze te wszystkie roboty, tymczasem domy nasze pójdą w perzynę, a my poginiemy co do jednego!

Około godziny pół do drugiej, kiedy myśląc o tych wszystkich zagrażających nam nieszczęściach, byłem znękany do ostateczności, nagle po za miastem od strony Quatre-Vents rozległ się powtarzany głuchy, to wzmagający się, to słabnący gruchot, podobny do szumu wezbranej wody. Wsparty na łokciach zacząłem się przysłuchiwać, i wkrótce rozpoznałem bitwę, nieporównanie straszniejszą niżeli pod Mittelbronem, gdyż łoskot wcale nie ustawał, a nawet zdawał się wzrastać.

— Jak się biją, Saro! jak się biją!—zawołałem, wystawiając sobie w myśli wściekłość tych ludzi, wytępiających się wśród nocy, chociaż nawet rozpoznać jedni drugich nie mogą. — Słuchaj tylko, słuchaj, Saro!... czy podobna, żeby dreszcz nie przeniknął człowieka?...

— Tak—odrzekła mi żona.—Byle tylko sierżant nie był raniony! byle się szczęśliwie wywinął!

— Oby Przewieczny czuwał nad nim!—odrzekłem, wstając z łóżka i zapalając świecę.

Nie mogłem dłużej nad sobą panować; zacząłem na gwałt się ubierać, jak gdybym się gotował do ucieczki. Potem znowu przerywałem i przysłuchiwałem się strasznej wrzawie, która za każdym powiewem wiatru to się zdawała przybliżać, to oddalać od miasta.

Gdy się nareszcie ubrałem, otwarłem okno, usiłując dojrzeć cośkolwiek. Na ulicy było zupełnie ciemno; ale około wałów, powyżej ponurej linii bastionu przy arsenale, błyszczała ogromna czerwona pręga.

Ogień naboju wylatującego z karabina jest czerwony, sam z siebie już krwawy. Powiedziałbyś, patrząc na kanonadę, że masz przed sobą wielki pożar... Wszystkie okna w ulicy były otwarte, ale nikogo nie można było rozpoznać. Słyszałem tylko, jak sąsiad nasz puszczałkarz rzekł do żony:

— To mi to prażą się ludziska! Lecz to jeszcze tylko początek tańca, Aneto; braknie wielkiego tołumbasa. Wkrótce i ten zaryczy!

Żona jego nie odrzekła, a ja pomyślałem:

— Czy jest sens wysmiewać się z podobnych rzeczy? Trzeba chyba nie być człowiekiem!

Zimno było tak potężne, że nie wytrzymałem i musiałem zamknąć okno. Sara wstała i zaczęła rozniecać ogień na kominie.

Całe miasto było w ruchu; ludzie krzyczeli, psy szczekały. Safel, którego rozbudził ten hałas, wbiegł i zaczął się ubierać przed ogniem. Patrzałem z rozrzewnieniem na biednego chłopca, którego oczęta kleiły się jeszcze do snu, a spać biedactwo nie mogło. A gdy zacząłem rozmyślać, że wkrótce i do nas będą strzelali, że przyjdzie się ukrywać po piwnicach, że wszyscy jesteśmy narażeni na śmierć nagłą i niespodziewaną, — ledwo mogłem pohamować oburzenie. Ale co mnie do ostatka złamało, to szloch i narzekania Zeffen, że lepiejby było dla niej i dla dzieci pozostać z Baruchem w Sarnie i zginąć wszystkim razem...

Starałem się umocnić serce, przysłuchując się ogromnemu zgłębkiemu tłumowi, który przestraszony wypadkiem biegał w popłochu, usiłując nie wiedzieć gdzie ratować mienie i życie.

Około godziny siódmej obwieszczono przy biciu w bęben, że kazamaty otwarto dla mieszkańców, że każdy może tam przenieść swoją pościel, że w każdym domu powinny być przy-

gotowane kadzie z wodą, a dostęp do studni otwarty na przypadek pożaru.

Zgadniesz, mój Frycu, co człowiek musiał pomyśleć słuchając podobnego obwieszczenia. Mnóstwo sąsiadek: Elżbieta Dubourg, Bewela Ruppert, córki Camusa i inne, przybiegły do nas z krzykiem:

— Poginęliśmy! poginęli!

Mężczyźni rozbiegli się w różne strony, ażeby coś zobaczyć z po za węgla, a kobiety rzucały się na szyję Sary i Zeffen, powtarzając:

— Ach mój Boże! mój Boże! co za okropne nieszczęście!

Byłbym je posłał do stu szatanów za tę robotę, gdyż zamiast nas pocieszać, jeszcze bardziej przestraszały; ale w podobnych razach kobiety zbiegają się i wrzeszczą wszystkie razem: wmówić w nie coś rozsądnego naprózno byś się kusił, bo smakują w tych wielkich krzykach i jękach.

O godzinie ósmej puzkarz Bailly przyszedł do nas, szukając żony; powracał z wałów, widział co się dzieje, i rzekł do mnie:

— Austriacy w ogromnej liczbie przyszli od Quatre-Vents i zaleli całą równinę: Niemców, Chorwatów, jak maku! Niech mi powie-

dzą, dla czego nie strzelają z wałów? Gubernator zdradza!

Oto co mi powiedział Bailly, a ja zapytałem:

— Gdzie są nasi żołnierze?

— W odwrocie!—zawołał.—Ranni wracają od dwóch godzin, a my tutaj ze złożonymi rękami czekamy nie wiadomo czego!

Koścista twarz jego drgała z wielkiego gniewu. Porwał żonę za rękę i wyprowadził do domu. Potem inni jeszcze przychodzili, wołając:

— Nieprzyjacieli posuwa się aż pod ogrody! aż na stoki!

To mię wprawiło w podziwienie.

Gdy kobiety powychodziły, aby sobie lamentować gdzieindziej, posłyszałem zaraz potem wielki łoskot wozu zbliżającego się od strony wałów. Wyjrzałem przez okno i postrzegłem toczący się od arsenału furgon. Kanonierowie z mieszczaństwa: stary Gulden, Holender, Jakób Cloutier, Barrière, galopowali w około wozu; kapitan Jovis leciał na koniu przodem. Przed naszą bramą cała ta gromada stanęła, a kapitan wykrzyknął:

— Zawiadomić handlującego żelazem... niech wyjdzie!

Piekarz Chanoine, teraz wachmistrz drugiej baterji, szedł już na górę; ja uchyliłem drzwi i zapytałem ze schodów:

— Czego tam chcą odemnie?

— Zejdź, Mojżesz! — odrzekł mi Chanoine.

Więc trzeba było zejść na dół.

Kapitan Jovis, słusznego wzrostu i chudy jak trzaska, ocierając pot, który mu pomimo zimna wystąpił na czoło, zapytał:

— Wy jesteście Mojżesz handlujący żelazem?

— Tak, panie.

— Otwórzcie swój skład. Żelazo wasze odano przez rekwizycję na potrzeby fortęcy.

Trzeba więc było prowadzić tych ludzi na podwórze pod szopę. Kapitan, obejrzawszy się dookoła, postrzegł kupę krat z lanego żelaza, których pod owe czasy używano do urządzania ognisk w kominach. Każda z tych krat ważyła najmniej trzydzieści, a czasem aż do czterdziestu funtów, i dużo ich kupowano u mnie do okolicznych wiosek i folwarków. Prócz tego były pod szopą mnóstwo starych gwoździ, zardzewiałych nitabel, słowem wszelkiego żelazstwa do wyboru.

— Wyśmienicie! — rzekł kapitan: — potłuc zaraz te wszystkie kraty i zabierać żelazstwo; tylko żwawo!

Na to hasło jedni rzucili się do moich wielkich młotów i poczęli wszystko kruszyć; inni zbierali połamane żelazo w kosze i unosili do furgonu. Kapitan spoglądał na zegarek i wykrzykiwał co chwila kilka:

— Prędeży! prędeży! Mamy jak raz dziesięć minut czasu.

A ja myślałem:

— Jacy porządni! nie potrzebują wcale kredytu; zabierają co im się podoba; to daleko wygodniej!

Wszystkie moje kraty i inne żelazstwo potłuczono w kawałki. Było tego z pewnością więcej niż tysiąc pięćset funtów.

Kiedy cała gromada poczęła nareszcie wychodzić, ażeby z powrotem pędzić na wały, Chanoine rzekł śmiejąc się do mnie:

— Niezrównane będą kartacze, Mojżesz! — Możesz zawczasu przygotować swoje grube mieczyki; przyjdziemy po nie jutro.

Furgon tymczasem już wybiegł z tłumu, który począł pędzić za nim; ja także pobiegłem z innymi.

Im bliżej posuwaliśmy się ku wałom, tem ogień stawał się większy i rześsisty. Na rogu probostwa dwa sztyldwachy zatrzymały biegną-

cych; mnie jednak puszczone przez wzgląd, że wkrótce strzelać będą mojem zelaztwem.

Nigdy sobie nie zdołasz wystawić podobnego mrowienia się ludzi, podobnego zgielku naokoło bastyonu, takiego ognia wylatującego jak z pod ziemi, takiej potęgi komendy oficerów piechoty wybiegających z oddziałami na stoki, takiego uwijania się kanonierów z zapalonymi lontami, wśród jaszczków i stosów kul armatnich! Przez lat trzydzieści nie mogłem zapomnieć tych ludzi z ogromnemi drągami, któremi odwracali działa, by je napełniać nabojem aż po paszczę, tego szeregowego ognia z po za wałów, tego latania i gwizdania kul w powietrzu, tych wykrzyków komenderujących bateriami:

— Nabij!... Wytrzej!... Podesyp!...

A co za ogromne potwory leżały na tych lawetach wysokich na stóp siedem, tak, że kanonierowie musieli wspinać się na palcach i wyciągać ręce, żeby przyłożyć ogień! A co za straszliwe wystrzały!

Stałem w kącie na lewo od bastyonu, po za kolegium, przy wejściu do podziemnej galeryi, między trzema czy czterema koszami z łoży, napełnionemi gliną a wysokimi jak kominy. Mógłbym tam zostać najspokojniej, wypatrując

dogodnej chwili odejścia; lecz ciekawość mię wzięła zobaczyć, co się też dzieje po za wałami? Korzystając więc z czasu, kiedy nabijano armaty, wdrapałem się aż równo z poziomem stoku, i położyłem się na brzuchu między dwoma ogromnemi koszami, dokąd kula już chyba jakimś nadzwyczajnym przypadkiem dostać się tylko mogła.

Gdyby tak samo zrobili byli inni, którzy secinami poginęli w bastyonach, iluż to jeszcze żyłoby dotąd na świecie i zostało zacnymi ojcami rodziny w swoich wiejskich zaciszach!

Owóż z tego bezpiecznego ukrycia, gdy podniosłem nieco głowę, roztoczyła się przedemną cała pokryta śniegiem płaszczyna. Widziałem poniżej siebie linię naszej piechoty ciągnącą się wzdłuż wału, a z drugiej strony fosi linię naszych tyralierów stojących za palankami. Ci ostatni bez przerwy nic innego nie robili, tylko odgryzali ładunki, podsypywali na panewkę, nabijali i strzelali. Dopiero to patrząc na nich, można było ocenić całą piękność wojskowych ćwiczeń: było ich zaledwo dwie kompanie, a ogień szeregowy tak sypał się gęsto, że podobny był do nieskończonego turkotu seciny wozów.

Dalej ciągnęła się prosto jak z bicza droga ku Quatre-Vents. Na prawo był folwark Ozillo, cmentarz, stacya pocztowa i folwark Jerzego Moutona, na lewo oberża pod „Ruletą“ i wielka ulica wysadzana topolami. Całą tę przestrzeń napelniali Chorwaci; w pędzie co koń wyskoczy podbiegali aż pod ogrody, widocznie dla rozpoznania okolic fortecy. Nie wiem, czy na prawdę dla tego podjeżdżali i wracali, ale tak mi się zdaje; gdyż hasać bez powodu, narażając się na złowienie kuli w łeb lub pod żebro, byłoby istną niedorzecznością.

Nieprzyjaciele na małych konikach, w szerokich płaszczach z samodziąłu, z lancami ostrzem wysuniętymi ku przodowi i wielkimi pistoletami w olstrach, kręcili się, wpadali, odskakiwali i znowu wpadali pod ogrody jak rozproszone stado ptactwa. Nie strzelano jeszcze do nich z armat, gdyż trzymali się ciągle w rozsypcy, więcby szkoda było naboju. Ale wkrótce trąbki ich dały hasło gdzieś od strony oberży pod „Ruletą“, i jazda nieprzyjacielska poczęła się skupiać po za budynkami oberży.

Ze trzydziestu naszych weteranów, którzy zapędziwszy się w ulicę wiodącą na cmentarz, spóźnili się z odwrotem, cofało się powoli ku

miastu. Robili po kilka kroków w tył, śpiesząc z nabijaniem karabinów; potem nagle się odwracali, mierzyli i dawali ognia; potem znowu teje chwili rozpoczynali odwrót pomiędzy płoty i krzaki, których nie miano już czasu uprzętnąć z tej strony.

Nasz sierżant był w liczbie składających tę waleczną garstkę; poznałem go natychmiast i zdrąłem o jego życie.

Po każdym wystrzale weteranów, Chorwaci po pięciu lub sześciu pędzili jak wiatr za nimi z gotowemi do ugodzenia lancami; ale starzy nie dawali się tem zastraszyć, opierali się o drzewa i składali bagnetem. Tymczasem nadbiegali inni weterani, a gdy byli już w znacznej liczbie, wnet jedni odbijali ciosy, drudzy się brali do nabijania karabinów. Skoro ci chwyтали za ładunki, Chorwaci rozbiegali się w prawo i lewo z lancami podskakującemi w powietrzu. Niektórzy z nich odwracali się na chwilę i strzelali do naszych ze swoich wielkich pistoletów. Nasi, jak wprzód, znowu się odstrzeliwali i zdążali ku miastu.

Widok tych starych żołnierzy, w potężnych kaszkietach naciśniętych na czoło, w długich płaszczach spadających aż do kostek, z szablą

i ładownicą przez plecy, wśród szalonego wiru nieprzyjaciół, nabijających karabiny, zasłaniających się i nacierających bagnietem z twarzą tak spokojną i ręką tak pewną, jak gdyby w kordegardzie palili sobie fajeczki, — ten widok miał coś w sobie godnego uwielbienia. I rzecz dziwna! widząc, jak raz i drugi i trzeci cało wychodzili z wiru potyczki, zdawało się nareszcie, że to dość łatwa robota.

Nasz sierżant dowodził tym szczupłym oddziałem. Wówczas to nareszcie pojąłem, dla czego tak lubili go starsi oficerowie i w zatargach z mieszczaństwem zawsze przyznawali mu słuszność: podobnych Trubertowi nie wiele się znajdzie.

Chciało mi się z całego serca zawołać: „Spieszmy, sierżancie! spieszmy!“ Lecz ani sierżant, ani jego kamraci wcale się nie śpieszyli uciekać.

Gdy już byli pod samym stokiem fortecy, wnet potężna gromada Chorwatów, widząc, że nieprzyjacieli z rąk się wymyka, rzuciła się galopem za weteranami, rozdzielając się we dwa szeregi dla opasania i przecięcia odwrotu. Była to chwila wielkiego niebezpieczeństwa. Weterani uformowali się w czworobok.

Czułem, że jakieś straszne zimno przeniknęło mię aż do szpiku, jak gdybym sam był pomiędzy walczącymi. Tyralierowie stojący za palankami zaprzestali strzelania, gdyż bez wątpienia obawiali się skaleczyć lub zabić swoich. Kanonierowie na bastyonie wspinali się na palcach, ażeby lepiej widzieć co się dzieje. Chorwaci tymczasem rozciągali coraz dłuższą linię i opasywali studnię, przy której oparli się nasi.

Było tego może siedemset lub osiemset ludzi. Wielu oficerów w zielonych płaszczach i małych kapelusikach galopowało koło szeregów, i wywijali dobytymi szablami. Uważałem naszego biednego sierżanta i jego trzydziestu ludzi za straconych; nie mogłem wytrzymać i jęknąłem:

— Och! co za smutek będzie dla Safelka i Sary!

Lecz skoro Chorwaci rozwijać się zaczęli w półkole na lewo odwachu, komenderujący naszą baterią wykrzyknął:

— Ognia!

Zwróciłem głowę: stary Gulden spuścił lont gorejący na panewkę, i w tejże chwili cały bastyon z ogromnemi kosztami napełnionemi gliną, zachwiał się aż do skalistej podstawy wałów.

Spojrzałem ku drodze: nic nie było widać prócz ludzi i koni wyciągniętych ku ziemi. Ledwo upłynęła sekunda, dano drugi raz ognia, i mogę zaręczyć, że widziałem na własne oczy, jak kartacze niby kosa po trawie przeleciały przez zbitą masę jazdy: wszystko się przewracało i kładło pomostem. Tych, co jeszcze przed sekundą pełni byli życia i zdrowia, już darmo byś szukał między żywymi. Widać było jak niektórzy usiłowali się podnieść; reszta pierzchnęła w strasznym nieładzie.

Ogień szeregowy rozpoczął się znowu. Nasi kanonierowie tak żwawo się uwijali z nabijaniem, że nim się dym rozproszył po pierwszych wystrzałach, wypalili jeszcze z dwóch dział od razu.

Ogromna liczba starych gwoździ, nitabel, muretek i pokruszonego lanego żelaza, rozpraszając się o trzysta metrów koło niewielkiego mostku na drodze, takie sprawiła zniszczenie, że kiedy w kilka dni później Austriacy żądali wstrzymania kroków nieprzyjacielskich dla pogrzebania poległych, znaleziono 400 ludzi zwalonych w rowach po obu stronach drogi.

Owóż com widział własnymi oczyma. A jeżeli chcesz wiedzieć, gdzie pogrzebano tych na-

pastników, pójdz tylko drogą wiodącą do ementarza, a zobaczysz. Na prawo z drugiej strony ementarza, w ogrodzie pana Adama Ottendorffa, zobaczysz krzyż kamienny po za płotem. Tam zasypano ich razem z końmi w jednej ogromnej jamie...

Łatwo można sobie wyobrazić radość naszych kanonierów, gdy po rozproszeniu się dymu dostrzegli te przerażające skutki zniszczenia. Podnieśli w górę wyciory i z całych sił krzyczeli:

— Niech żyje cesarz!

Żołnierze w ukrytych przejściach wtórowali im ochoczo; powszechny okrzyk wzbił się aż pod niebiosa.

Gdy nieprzyjaciół pierzchnął, sierżant i jego trzydziestu podkomendnych, z karabinami na ramieniu, weszli spokojnie na stoki. Pośpieszono otworzyć dla nich rogatki; potem dwie kompanie zeszyły razem do fosy i wkrótce wysunęły się z galeryi.

Czekałem ich z niecierpliwością na górze.

Gdy sierżant się ukazał przedemną, pochwyliłem go za rękę wołając:

— Ach sierżanciel! jakże jestem szczęśliwy, że widzę cię wolnym od niebezpieczeństwa!

Radbym był go ucałować, gdyby nie regulamin. Sierżant uśmiechając się, ścisnął mię za rękę.

— Więc widzieliście potyczkę, ojcie Mojżesz?— rzekł złośliwie mrugając oczyma.— Pokażaliśmy im, co to mieć do czynienia z piątą kompanią!

— Och! tak!... tak!... Drżałem o was nie żartem.

— Ba! — rzekł — zobaczycie jeszcze coś lepszego; to było tylko na początek.

Dwie kompanie walecznych przeszły tymczasem zakręt koło muru i ukazały się w ulicy.

Całe miasto zabrzmiało okrzykiem:

— Niech żyje cesarz!

Idąc przez ulicę Remparts, szeregi przedierać się musiały środkiem tłumu. Ja szedłem obok sierżanta.

W chwili, gdy oddział wysunął się na rynek, Sara, Zeffen i Safel, którzy wyglądali przez okna, poczęli krzyżeć:

— Niech żyją weterani! niech żyje piąta kompania!

Sierżant nieznacznie kiwnął głową, a ja zawracając do domu, rzekłem do niego:

— Sierżancie, nie zapomnijcie o swoim kieliszku kirszu.

— Bądźcie spokojni, ojcie Mojżesz!— rzekł posuwając się dalej.

Oddział pociągnął na plac Broni, aby tam wedle zwyczaju zwinąć szeregi, ja zaś przyspieszonym krokiem podążyłem do domu. Ledwo wszedłem do izby na górę, Zeffen, Sara i Safel poczęli mię uściskać, jak gdybym powracał z bitwy; mały Dawidek ulokował się na moich kolanach, a wszyscy wypytywali o szczególne potyczki.

Potrzeba tedy było opisywać atak, kartacze, odwrót Chorwatów i inne rzeczy. Lecz tymczasem nakryto do stołu, a ja dotąd byłem na czczo, więc rzekłem:

— Siadajmy do stołu. Wkrótce dowiecie się wszystkiego. Pózwólcie mi odetchnąć.

W tejże chwili wszedł sierżant, rozpromieniony jak nigdy, i zaczął od postawienia swego karabina przy ścianie. Pobiegliśmy na jego spotkanie, gdy ku wielkiemu naszemu przerażeniu postrzegliśmy kłak rudych włosów na jego bagnecie.

— Ach! mój Boże! — zawołała kryjąc twarz w dłonie Zeffen: — co to jest?

Sierżant nic o tem nie wiedział, i począł się przyglądać zdziwiony.

— To...—rzekł:—to nic szczególnego... kosmyk faworytów jakiegoś Chorwaty, którego mimochodem głośnałem tam pod drzewami... jedno nic, doprawdy...

I zaraz wyszedł, unosząc strzelbę do swojej izby; ale myśmy drżeli wszyscy, a Zeffen nie mogła przyjść do siebie. Gdy sierżant powrócił, zastał ją jeszcze siedzącą w krześle z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Ach, pani Zeffen!—rzekł z wyrazem szczerego zafrasowania—będziecie teraz mieli wstręt do mnie.

Ja również jak on sądziłem, że odtąd Zeffen będzie się lękała sierżanta. Ale wszystkie kobiety lubią ludzi, którzy na oślep narażają życie. Po sto razy uważałem to na innych, i właśnie Zeffen odrzekła z uśmiechem Trubertowi:

— Nie, sierżanciel wierzcie mi, że nie... Ci Chorwaci są sprawcami naszego nieszczęścia!... Wy nas broniciel!... my wszyscy was miłujemy...

Rzeczy tak się pokierowały, że zaprosiłem starego, żeby z nami siadł do stołu. Weteran tedy otworzył okno i krzyknął do przechodzących żołnierzy, ażeby uprzedzili w kantynie, że sierżant Trubert tego dnia nie przyjdzie na śniadanie.

Następnie kiedy wszyscy się uspokoili, zasiadliśmy do stołu. Sara poszła do piwnicy i przyniosła butelkę ucziwego wina. Po tyłu nieludzkich przejściach, jadło się i piło z przyzwyczajonym apetytem.

Sporządzono nam także kawę, i Zeffen sama własnymi rękoma wzięła się do nalania sierżantowi filiżanki. Stary był wielce uradowany i rzekł:

— Pani Zeffen! doprawdy przelejecie przez wierzch!

Zeffen się śmiała. Wszyscyśmy byli niezmiernie kontenci.

Gdy z kolei przyszło do kirszu, sierżant począł opisywać nocną wyprawę: jak Wirtemberczycy usadowili się w oberży pod „Ruletą“, jak ich ztamtąd parowano wylamawszy drzwi zajazdu, jak o świcie nadbiegli Chorwaci, jak rozsykali się w tyralierkę i chcieli otoczyć dwie nasze kompanie...

Opowiadał to wszystko tak dokładnie, iż zdawało się, że widzimy przed sobą całe szaleństwo walki. Lecz kiedy około godziny jedenastej wzięłem butelkę do ręki, żeby jeszcze nappełnić sierżantowi kieliszek, stary otarł wąsy i rzekł podnosząc się z siedzenia:

— Nie, ojcze Mojżeszu, dosyć już tego. Nie ma czasu wylegać się po prałacku; dziś jutro zawitają do nas granaty; pora wziąć się do blindowania budynku.

Na te słowa wszystkich nas znowu ogarnęła zaduma.

— Uważajcie, ojcze Mojżeszu—mówił dalej:— widziałem u was na podwórzu stos nie popiłowanego jeszcze drzewa, a przy ścianie ze trzy czy cztery grube belki. Czy nie uda się nam tylko przenieść ich we dwóch? Spróbujmy!

I zaraz zaczął się zabierać do wciągnięcia na siebie swojego żołnierskiego płaszcza. Ale ponieważ belki były piekielnie ciężkie, poprosiłem go, żeby zaczekał, a sam pobiegłem do dwóch braci Carabin'ów: Mikołaja, którego nazywano chartem, i Mateusza, który był traczem. Ci zaraz przyszli, a ponieważ byli to ludzie nawykli do ciężkiej pracy, drzewo słuchało ich aż miło. Przynieśli też z sobą siekiery i piły. Sierżant kazał im porozpiłowywać belki, dla zrobienia z tego przykrycia w kształcie budki na samym wierzchołku dachu. Sam też Trubert pracował z nimi jakby prawdziwy cieśla z rzemiosła. Sara, Zeffen i ja przypatrywaliśmy się robocie; a ponieważ przeciągało się to długo,

więc żona moja i córka odeszły, żeby się zająć przygotowaniem wieczery. Ja sam tylko jeden dotrzymałem placu; nareszcie musiałem także odejść, żeby poszukać latarni i poświecić pracującym.

Wracałem najspokojniej w świecie, nie myśląc zgoła o niczem, gdy w jednej chwili tuż koło domu rozległ się straszliwy łoskot, jakiś rodzaj przeraźliwego chrapania. Wzdrygnąłem się, aż latarnia o mało mi z rąk nie wypadła.

Carabin'owie, bladzi jak śmierć, spoglądali na siebie w milczeniu, a sierżant rzekł:

— To kula działała!

W tejże chwili odgłos armatniego wystrzału rozległ się w oddaleniu wśród nocnej ciszy. Wszystkie wnętrzości zatrzęsły się we mnie, gđym to posłyszał, i pomyślałem:

— Jeżeli jedna kula przeszła tędy, to może przelecieć tędy druga, trzecia, czwarta!...

Siły mię całkiem odbiegły.

Carabin'om zapewne to samo co i mnie przyszło do głowy, bo natychmiast narzucili zwierzchnią odzież, którą byli zdjęli z siebie i zawieszili na szczycie dachu, i poczęli zabierać się do odejścia.

— Poczekajcie! — zawołał sierżant — głupstwo! czego tam się lękać!... Róbmy dalej... Wszystko idzie wybornie... za godzinę skończymy...

Ale starszy Carabin wykrzyknął:

— Róbcie sobie co wola!... Ja nie chcę być tu dłużej... Mam przeciw dzieci!

A gdy to mówił, druga kula działowa, jeszcze straszniejsza od pierwszej, zawarczała nad dachem, a w pięć lub sześć sekund później rozległ się huk wystrzału.

Rzecz zadziwiająca! nieprzyjaciel strzelał ze wzgórza pod Bois-de Chênes, o dobre pół godziny drogi od nas, a czerwone światełko wpadało aż na nasze poddasze przez okienka i szpary między dachówkami.

Sierżant usiłował jeszcze zachęcić nas do roboty, powiadając:

— Nigdy druga kula armatnia nie przechodzi tamtędy, kędy przeszła już pierwsza. Ponieważ jedna otarła się już koło dachu, więc jesteśmy tutaj w bezpiecznym miejscu... Nuż! do roboty! szkoda czasu!...

To już było nad nasze siły!

Postawiłem latarnię na pomoście i powlekłem się na dół do mieszkania. Krzyż i nogi

miałem jak podcięte; na każdym stopniu schodów brała mnie chętką usiąść i odpoczywać.

Na mieście słychać było krzyki i płacze tak samo jak rano, a nawet daleko większe. Kominny padały w gruzy; mnóstwo kobiet biegło szukać ukrycia w kazamatach. Lecz z powodu przestרחu, który mną całym owładnął, nie zwracałem na nie uwagi.

Carabin'owie odeszli bladzi jak płótno.

Przez całą noc byłem chory; Sara i Zeffen również nie miały pokoju. Sierżant sam jeden układał i przymocowywał bierwiona. Około północy zszedł z dachu i rzekł do mnie:

— Ojcie Mojżesz, blindaż gotów zupełnie; ale wasi robotnicy są tchórze, zostawili mię samego przy pracy.

Podziękowałem mu czule, powiadając, że wszyscy jesteśmy chorzy, i że co do mnie, nie podobnego w życiu nie doświadczałem. Sierżant się zaśmiał.

— Wiem, wiem co to takiego! — rzekł; — rekruci zawsze przez to przechodzą, gdy pierwszy raz posłyszają warczenie kuli działowej! Ale to prędko przechodzi... trzeba tylko troszeczkę nawyknięcia.

To powiedziawszy, udał się na spoczynek; wszyscy w domu spali, ja tylko jeden zasnąć nie mogłem.

Tej nocy Austriacy zaprzestali strzelania o godzinie dziesiątej. Spróbowali tylko pukać z jednej czy dwóch lekkich armatek polowych, ażeby nas uprzedzić, czego mamy się po nich spodziewać w dalszym ciągu.

Wszystko to, Frycu, było tylko początkiem oblężenia. Zaraz obaczysz, przez jakie okropności musieliśmy przechodzić w ciągu trzech całych miesięcy.

XIII.

Nazajutrz, pomimo nocnej strzelaniny, radość panowała na mieście. Mnóstwo ludzi powracających z wałów około godziny siódmej, ciągnęło przez naszą ulicę, wykrzykując:

— Odeszli! odeszli! Żadnego Chorwaty nie widać ani na drodze z Quatre-Vents, ani po za barakami du Bois-de-Chênes. Niech żyje cesarz!

Kto żyw leciał natychmiast na bastiony, żeby naocznie o tem się przekonać. Ja otwarłem okno i wysunąłem głowę tak jak byłem w szaf-

micy. Na dworze nastąpiła zupełna odwilż, śnieg osuwał się z dachów, a na ulicy zamieniał się w błoto. Sara, która była już wstała i porządkowała pościel, krzyknęła na mnie:

— Zamknij też okno, Mojżesz! Można jeszcze zachorować od przeciągu powietrza!

Ale ja nie słucałem jej krzyku, i uśmiechałem się do siebie.

Byłbym rad został w oknie aż do wieczora, i słucał a słucał, jak sąsiedzi gawędzili o porażce Austryaków, a wracający z wałów wykrzykiwali, że ani jednego wroga nie widać w całej okolicy. Wielu wprawdzie mówiło, że nieprzyjaciel może powrócić, ale ja temu nie wierzyłem, bo taki krok, choćby nawet ze strony Chorwatów, wydawał mi się niedorzecznością. Rzecz zresztą była jasna, że Austriacy nie opuszczą tak prędko okolicy, i długo jeszcze będą plondrowali po wioskach i hulali po szynkowniach.

Nareszcie kiedy Zeffen weszła do izby i zechciała ubierać dzieci, musiałem zamknąć okno. Śliczny ogień buchał na kominie. Sara krzątała się około śniadania. Zeffen kąpała małego Ezdraszka i mówiła:

— Ach gdyby teraz jeszcze wiadomość od Barucha, wszystko byłoby dobrze!

Dawidek na posadzce bawił się z Safelkiem, a ja rozczulony tym widokiem, wystawiałem imię Najwyższego, że nas uwolnił od napaści.

Podczas śniadania rzekłem do żony:

— Wszystko dobrze się stało! Będziemy przez czas jakiś zamknięci, aż póki cesarz nie odniesie zwycięstwa; ale strzelać już do nas nie będą, poprzestaną na przerywaniu nam komunikacji. Chleb, wino, mięso, gorzałka musi znacznie podrożeć. To właśnie chwila najdogodniejsza dla sprzedaży naszego towaru, bo inaczej mogłoby się przytrafić, co już raz było z Samarytanami, kiedy Ben-Haddad oblegał ich miasto. Głód wielki panował w mieście; za głowę osła płacono aż po osiemdziesiąt sztuk srebra, a za ćwierć kadu gołębiego pomiotu po pięć sztuk srebra. Cena była niezrównana, ale kupcy wyczekiwali jeszcze lepszej. Aż oto wielki gruchot wozów, broni i wojska spadłego z nieba zmusza Syryjczyków i ich Ben-Haddada do ucieczki; lud zrabował ich obóz, i tejże chwili wór najlepszej mąki zaczęto sprzedawać po nędznym sykle, a dwa worki jęczmienia także za sykl oddawano. Nie trzeba więc marudzić ze sprzedażą, póki ceny są przyzwoite; potrzeba do tego wziąć się bez odwłoki.

Sara przyznała, że mam najzupełniejszą słuszość. Zaraz tedy po śniadaniu wyszedłem do piwnicy, żeby pilnie się zająć dalszem rozwodnieniem spirytusu.

Na wieść o cofnięciu się nieprzyjaciół z pod Falcburga, ludzie znowu ochoczo brać się począli do opuszczonej pracy. Młot Klipfela hucznie ozwał się w kuźni; Chanoine układał bułeczki chleba na kratowaniu w oknach swojej piekarni; aptekarz Hospes wystawiał wielkie butle z czerwoną i błękitną wodą.

Ufność wstępowała w serce każdego. Kano nierowie z mieszczaństwa pozruczali uniformy; stolarze też przyszedli do nas, aby dokończyć urządzenia szynkowni; odgłos zgrzytania piły i hebla napełnił dom cały.

Każdy był kontent, że może powrócić do swoich interesów, gdyż wojna nic innego nie przynosi prócz pocisków, a im prędzej się skończy, tem lepiej.

Co do mnie, nosząc się z konwiami po piwnicy od jednej beczki do drugiej, widziałem, jak przechodzący zatrzymywali się przed naszym starym sklepem, i słyszałem jak między sobą mówili:

— Będzie się Mojżesz delectował rozkosznym handelkiem wódką! Ci Żydziska zawsze umieją wywietrzyć gratkę. Kiedyśmy wszystko na gwałt sprzedawali przed miesiącem, on tymczasem kupował. Teraz kiedy miasto zamknięte jak tabakierka, będzie sprzedawał, jak mu się żywnie podoba!

Zgadniesz, mój Frycu, czy takie gadanie radowało mię czy smuciło? Największe szczęście dla człowieka, jeżeli handel idzie gładko; każdy musi o nim powiedzieć:

— „Ten człowiek ma tylko własny swój rozum jak inni; jeżeli mu się powodzi, sam sobie wszystko winien, nie zaś odwadze innych.“

Pracowałem tedy zawzięcie, i byłbym pracował aż do nocy, gdyby Safelek nie przyszedł zawołać mię na obiad. Jeś mi się zaraz porządnie zachciało, i szedłem po schodach zadowolony myślą, że zasiądę przy stole pośród dzieci,—gdy oto na placu Broni przed ratuszem ni ztąd ni zowąd poczęto bić w bęben na apel. Podczas oblężenia rada wojenna ciągle zasiada w merowstwie, żeby sądzić natychmiast nie stawających do apelu. Wielu moich sąsiadów już wychodziło z domów z karabinami na ramieniu. Potrzeba było pędem spożyć choć odro-

binę zupy, kawaleczek mięsa i wypić szklanek wina.

Wpadłem do mieszkania okropnie błady. Sara, Zeffen i dzieci spoglądały na mnie w milczeniu. Werbel tymczasem nie ustawał; dobośle przeciągnęli Wielką ulicą i zatrzymali się przed naszym domem na targewicy. Nie było co robić; pobiegłem włożyć na siebie ładownicę i zabrać karabin.

— Ach!—rzekła Sara—sądziliśmy że już zostawia nas w pokoju, aż oto wszystko rozpoczyna się na nowo!

Zeffen zupełnie przygnębiona nic wymówić nie mogła, tylko zalewała się łzami.

Wtem stary rebbe Jakób Hirsch, w kuniej czapce nasuniętej aż po oczy, wszedł do pokoju, mówiąc:

— Na miłość bożką! niech kobiety i dzieci uciekają do kazamat. Przeprowadzono do gubernatora parlamentarza, który grozi spalaniem miasta, jeżeli bram natychmiast nie otworzymy. Ratujcie się Saro!... Zeffen! ratujcie się co prędzej!

Wyobraź sobie krzyki kobiet, gdy posłyszały takie rzeczy. Mnie samemu nawet włosy powstały na głowie i bluznąłem:

— Chyba już wstydu nie mają te przybłądy! Czy podobna nie mieć litości nad niewiastami i dziećmi! Bodaj ich kara bozka nie minęła!

Ale to na nic się nie zdało. Zeffen rzuciła się w moje ramiona, i ja sam nie wiedziałem co począć.

Stary rebbe rzekł jeszcze:

— Ci ludzie robią to samo u nas, co nasi u nich robili! A tak spełniają się słowa Przedwiecznego: „Będzie ci czyniono, jakieś czynił bratu twójemu!” Ale trzeba śpiesznie się ukrywać...

Na ulicy bębny zamilkły; nogi drżały podemną. Sara, której przytomność nigdy nie opuszczała, rzekła do mnie:

— Biegnij na plac, Mojżeszu! śpiesz się, bo mogą cię wsadzić do więzienia!

Kobieta moja miała niepospolity rozsądek: ujawszy mię za barki, wypchnęła prawie do sieni, i pomimo szlochania Zeffen, począłem schodzić na dół wołając:

— Rebbe! w was cała moja nadzieja! Ratujcie moją żonę i dzieci!

W oczach mi się ćmiło, brnąłem przez kupy śniegu, nic nie widząc przed sobą, a biedz mu-

siałem i biegłem aż pod ratusz, gdzie mieszcza-
nie już stali zebrani. Przybyłem jak raz w porę,
żeby odpowiedzieć na apel, a każdy może so-
bie wyobrazić stan mojej duszy, gdy się dowie,
że Zeffen, Sara, Safel i wnuczęta, opuszczone,
zagrożone niebezpieczeństwem, ciągle mi stały
przed oczyma. Co mi mógł znaczyć Falcburg?
Gdyby odemnie zależało, byłbym natychmiast
otworzył wszystkie bramy, byle uzyskać pokój
i pozbyć się bombardowania.

Inni też z moich towarzyszy, jak to uważa-
łem z ich miny, nie bardzo byli zadowoleni.
Każdy myślał o domu i rodzinie.

Tylko nasz gubernator Moulin, podpułkownik
Brancion, kapitanowie Renvoyé, Vigneron, Gri-
billiet, w ogromnych kapeluszach na bakier,
najmniejszego nie doświadczały niepokoju. Byli
to tacy ludzie, że wszystko gotowiby dać porą-
bać i spopielić na cześć chorągwi i na skinie-
nie cesarza. A gubernator nawet śmiejąc się
powiedział, że wtenczas dopiero podda fortecę,
kiedy mu granat zapali chustkę w kieszeni.
Bierz z tego miarę o zdrowym rozsądku po-
dobnych ludzi!

Nareszcie odbywano przegląd gwardyi naro-
dowej, a tymczasem starcy, chorzy, kobiety

i dzieci gromadnie ciągnęli przez plac ku kazamatom.

W liczbie innych postrzegłem nasz mały wózek ręczny, naładowany materacami i kołdrami. Stary rebbe ciągnął za dyszel, a Safel popychał z tyłu; Sara niosła na ręku Dawidka, a Zeffen z Edraszka. Brnęły biedaczki po błocie, z włosami rozczochranymi, jak gdyby uciekały z pożaru. Nie oglądały się po za siebie, nie mówiły ani słowa, sunęły się na poły umarłe wśród powszechnego smutku i przerażenia.

Byłbym gotów oddać życie, byle pośpieszyć im z pomocą, a trzeba było stać w szeregu! Ach! równiennicy moi napatrzyli się okropnych rzeczy! Ileż to razy pomyśleć im przyszło: „Szczęśliwi, którzy są sami jedni na tym świecie! Boleją przynajmniej własną, tylko boleścią, nie widzą płaczu, nie słyszą jęków osób najdroższych sercu, nie mogąc im przynieść pomocy!“

Wnet po skończeniu przeglądu, wywołano kanonierów z mieszczaństwa i posłano do prochowni przygotowywać do armat naboje; pompierzy wysłano na starą targowicę do obsługiwania przyrządów do gaszenia ognia; nas pozostałych z pół batalionem lekkiego pułku Nr.

6, wyprawiono do kordegardy fortecznej dla formowania straży po odwachach i patrolów mających przebiegać miasto.

Pułki liniowe były już rozesłane na fopoczy do Trois-Maisons, do Fontaine-du-Château, do blokhauzów, lunet, do fermy Ozillo i Maisons-Rouges po za miastem.

Nas trzydziestu dwóch ludzi postawiono na warcie w merowstwie: szesnastu żołnierzy liniowych pod komendą porucznika Schindreta stanęło na dole, szesnastu zaś z gwardyi narodowej pod komendą Jakóba Desplaces'a na górze. Na kordegardę dla nas oddano część mieszkania Barrhusa. Była to potężna sala, której pułap zrobiony był z sześciocalowych dębowych dylów, a belki miał takie, że w terażniejszych lasach nie znalazłbyś równie grubego drzewa. Przysadzisty okrągły piec z lanego żelaza, oparty na kamiennej płycie sześciu stóp kwadratowych obszaru, stał w kącie na lewo od wejścia. Żelazne rury, połamane w gzygzaki, prowadziły dym do komina na prawo. Kupy drew leżały w głębi.

Zdaje się, jak gdybym dzisiaj był jeszcze w tej posępnej sali. Woda z topniejącego śniegu, który otrząsaliśmy z siebie przy wejściu,

rozpływała się po podłodze. W życiu mojem dnia posepniejszego nie widziałem, a to nietylko dla tego, że bomby i kule mogły posypać się gradem lada chwila i wszystko jednym ogarnąć pożarem, ale także z powodu śniegu padającego ogromnemi płachtami, z powodu błota i wilgoci, co nas przenikała aż do szpiku, nareszcie z łaski rozkazów sierżanta Monborna, który krzyczał a krzyczał bez końca:

— Ten a ten w drogę!

— Ten a ten naprzód! twoja kolej! — i tak dalej.

A dodaj jeszcze do tego psoty i drwiny tej zgrai łacaczy dachów, łacaczy obuwia, rozrabiaczy wapna, w dziurawych bluzach, w powykrzywianych trzewikach, w resztkach kaszkieców bez daszków, w łachmanach opiętych jak nieszczęście, — co siedzą sobie w krąg koło pieca i traktują ciebie „tykaniem“, jak gdybyś był takuteńką jak oni hołotę!

— Mojżesz, przynieś mi dzbanek!

— Mojżesz, podaj mi ognia!

— Ach! przekłeci Żydziska! Że tam nadstawał grzbietu dla ocalenia własnego dobra, to jeszcze gotów zadziierać nosa!

— Ach! próżniaki, darmozjady!

Takie to mówili rzeczy, i mrugali jeden na drugiego, i tręcali się łokciami, i wykrzywiali się jakby z czego dobrego. A było nawet wielu takich, co chcieliby wyprawić mię do kramiku po tytoń dla nich za moje własne pieniądze!...

Słowem wszelkich obelg i zniewag, jakie tylko motłoch wymyślić może na uczciwego człowieka, nic nie brakło. Zaprawdę! dziś jeszcze, kiedy o tem pomyślę, wzdrygam się z obrzydzenia...

W piecu kordegardy całe niezgorsze kłody drzewa paliły się jak słoma; stare owe przemokłe łachmany około pieca buchały parą, roznosząc arcy niemiły zapach po całej sali. Musiałem co chwila wychodzić na wąską galerijkę koło ściany, żeby swobodniej odetchnąć, lecz zimna woda, którą wiatr z rynien pędził na mnie, zmuszała natychmiast do powrotu.

Kiedy później zastanawiałem się nad tem wszystkim, przyszedłem do przekonania, że gdyby nie te udręczenia, to myśl o Sarze, Zeffen, Safelku i wnuczętach zamkniętych w jakiejś ciasnej piwnicy, strzaskałaby mi serce i przypawiła o szaleństwo.

Tak przemęczyłem się aż do wieczora. Nic innego nie robiono, tylko ustawicznie wchodzono, wychodzono, siadano, kurzono fajeczki, potem znowu wychodzono tłuc się po bruku na deszczu, albo stać całymi godzinami na warcie przy wejściach do podziemnych galeryj.

Około godziny ósmej, gdy ciemność zupełna już się rozparła na dworze, gdy słychać było tylko odgłos ciężkiego stąpania patrolów po bruku, przeciągłe wykrzyki warty na wałach: „Szydłwach! baczność!“ tudzież hałaśliwe echo bieganiny żołnierzy po wielkich drewnianych schodach merowstwa,—nagle przyszła mi myśl, że Austriacy grozili nam tylko dla napędzenia strachu, ale że zresztą nic ta cała robota nie znaczy i noc upłynie bez granatów.

Żeby przyjść do jakiego takiego porozumienia z wylachmanionymi kamratami, poprosiłem Monborna, by mi pozwolił pójść przynieść dzbanek wódki, i teje chwili dał mi żądane pozwolenie. Skorzystałem z tej sposobności, pobiegłem do domu, przegryzłem trochę chleba i wypiliśmy porządną szklenicę wina. Następnie powróciłem do kordegardy, a wszyscy z warty przyjęli mię z wypogodzoną twarzą. Dzban zaczął chodzić z rąk do rąk, a każdy powiadał,

że gorzałkę mam wyborną; niektórzy zaś dodawali, że sierżant powinienby zawsze udzielać mi pozwolenia, ilekroć trzeba będzie pomyśleć o napełnieniu dzbana. Monborne na to odpowiedział:

— Nikomu innemu nie pozwolę, ale Mojżesz to co innego, jemu dam pozwolenie...

W końcu końców dobre porozumienie nastąpiło, i nikomu ani na myśl nie przychodziło bombardowanie. Wtem światelko czerwone jak błyskawica mignęło w wysokich oknach sali; wszyscy się odwrócili od pieca, a w kilka sekund później ryk móżdżerza rozległ się gdzieś w okolicy Bigelberga. Jednocześnie drugie i trzecie błysnięcie mignęło przez okna po ścianach ponurej sali, i oświeciło przed nami szereg przeciwnych domów.

Nie potrafisz sobie, mój Frycu, ani wyobrazić, co to takiego owe błyski w pośród ciemności nocy! Kapral Winter, który niegdyś był w żołnierce i widział podobne rzeczy, a którego potem Tribou najmował do tarcia tabaki, usiadł spokojnie i rzekł zapalając fajeczkę:

— No! mamyż tedy początek tańca.

I prawie w teje chwili posłyszeliśmy wybuch granata z prawej strony w koszarach piechoty,

drugi pękł zaraz z lewej strony koło placu w domu Piplingera, inny bliźutko od nas w domu Hemmerlego.

Kiedy o tem człowiek pomyśli, chociaż od owej pory już lat trzydzieści minęło, dreszcz choćby nie wiem jak się krzepił, przeniknąć go musi.

Wszystkie kobiety były już w kazamatach; zostały tylko po domach stare służące, którym ciężko było rozstać się z kuchnią, a które teraz krzyczały przeciągłym głosem:

— Goreł goreł Ratujciel

Każdy natenczas widział już jak na dłoni, że jesteście bez ratunku zgubieni; sami tylko dawni żołnierze, siedząc zgarbiwszy się na ławkach koło pieca i kurząc fajeczki, wyglądali obojętnie jak ludzie, którzy nic nie mają do stracenia.

Ale co gorsza nad wszystko, właśnie w chwili kiedy działa arsenału i prochowni poczęły odpowiadać Austryakom, kiedy wszystkie szyby w oknach starego budynku merowstwa dzwonić zaczęły, sierżant Monborne zawołał:

— Somme, Chevreux, Mojżesz, Dubourg, w drogę!

Pomyśl tylko, co to za rozum, wysłać ojców rodziny, żeby włóczyli się po mieście wśród błota, kiedy co krok zagraża niebezpieczeństwo natknięcia się na pękający granat, zranienia od spadłej na głowę dachówki albo i całego komina! Jest w tem doprawdy coś nieludzkiego! Dość było posłyszeć ten rozkaz, żeby niewypowiedziane oburzenie przeniknęło człowieka!

Somme i otyły oberżysta Chevreux odwrócić się również z wyrazem wielkiego oburzenia; chcieli niezawodnie wykrzyknąć:

— To nikiżemność!

Ale ten nędznik Monborne był sierżantem; nikt nie śmiał mu odpowiedzieć, ani nawet spojrzeć nań krzywo. Skoro więc kapral Winter, mający prowadzić patrol, ujął karabin w ręce i dał nam znak wyjścia na ulicę, każdy wziął broń i poszedł za nim.

Zaczęliśmy zstępować po ślizkich schodach. Wtedy to potrzeba było widzieć czerwone światło wciskające się raz po raz we wszystkie zakamarki, zaglądale pod schody i wlatujące na spróchniałe krokwie dachu; wtedy to należało słyszeć huk naszych 24-funtowych potworów! Stare domisko trzęsło się całe jak w febrze; zdawało się, że lada chwila całkiem zapadnie. A na

dole, gdyśmy wyszli pod sklepienia od placu Broni, potrzeba było widzieć, jak światło rozbiegało się na wszystkie strony, odbijało od kup śniegu i od najwyższych dachów, od kamieni brukowych i wody w kałużach, od kominów i okienek w dachu! Dalej zaś w głębi, jak oko dosięgnąć może, błyszczały koszary jazdy i widać było szyldwachę stojącego w budce przed wielką bramą. Co za widok! Wtedy to człowiek musiał pomyśleć:

— Wszystko skończyło się dla nas... wszystko zginęło!...

Dwa granaty w tejże chwili wyleciały nad miasto; były to pierwsze tego rodzaju pociski, które widziałem własnymi oczyma. Sunęły się tak powoli w powietrzu, że można je było śledzić okiem na zachmurzonym niebie; oba wpadły do fosy za szpitalem. Na szczęście nasze, nie wymiarkowano naboju i za dużo dano prochu.

Idąc ciągle milczałem, inni również nic nie mówili, każdy zagłębiał się w rozmyślanie. Powtarzające się raz po raz na bastyonach w okolicy warowni wykrzyki szyldwachów: „Baczność!” ostrzegały nas o strasznym niebezpieczeństwie, za którym goniliśmy po ulicy.

Kapral Winter, w starej wypłowiałej bluzie, w brudnej szlafmicy, że strzelbą na ramieniu, z fajeczką w zębach i zanieczyszczoną łojem latarnią w rękę, szedł przodem i od czasu do czasu wykrzykiwał w takim naprzykład rodzaju:

— Baczność od granatów!... Padać twarzą do ziemi... Czy rozumiecie?

Zawsze mi się zdawało, że ten kawałek weterana nie cierpiał mieszczaństwa, i że mówił takie rzeczy dla zwiększenia naszego strachu.

Gdyśmy już byli w pewnej odległości, u wejścia do ślepej uliczki, przy której mieszkał Cloutier, kapral kazał nam stanąć.

— Naprzód! — wykrzyknął głosem komendy — bo idziemy w szeregu jeden nie widząc drugiego!

A gdyśmy koło niego przechodzili, rzekł:

— Aha! wy tam postarajcie się przecię krok w krok iść jeden za drugim! Nasz patrol powinien czemśkolwiek odznaczyć się w uprzedzeniu pożarów: jak tylko da się widzieć w powietrzu granat, Mojżesz zaraz poskoczy i wyrwie z niego lont!

To mówiąc takim wybuchnął śmiechem, że nie mogłem pohamować wściekłości.

— Nie po to jestem tutaj—rzekłem do Wintera,—ażeby się ze mnie natrzęsano! Jeżeli mam być traktowany jak głupiec, to rzucę karabin i ładownicę, i pójdę stąd do kazamat.

Natenczas kapral jeszcze większym wybuchnął śmiechem i zawołał:

— Mojżesz! pamiętaj o uszanowaniu dla starszych, bo zobaczymy się z radą wojenną!

Inni także zabierali się do śmiechu; ale błyski wystrzałów znowu się rozpoczęły. Światło padało tym razem od ulicy Remparts, i powietrze ciągnąć poczęło w tamtą stronę, jak gdyby nagle wiatr zmienił kierunek: zaczęto palić z dział na bastyonie przed arsenałem. Jednocześnie spadł granat w ulicy Kapucynów i pękł natychmiast: komin i połowa dachu runęły na ulicę ze straszliwym łoskotem.

— Nuże! naprzód!—zawołał Winter.

Wszystkich twarze zasepiły się znowu. Szliśmy krok w krok za latarnią aż do bramy Francuzkiej. Po za nami na ulicy Kapucynów, pies jakiś wył a wył bez przerwy. Od czasu do czasu Winter stawał, natężyliśmy uszy i oczy, lecz nic się nie poruszało, nic nie było słychać, prócz wycia psa i przeciągłych wykrzyków:

„Szydłwach! baczność!“ Całe miasto wyglądało jak umarłe.

Podług wszelkiej słuszności należało powrócić do kordegardy, bo nic dojrzeć było niepodobna; lecz latarka sunęła się koło galerii i chybotwała się po nad rowem. Ten Winter za dużo pociągnął gorzałki!

Chevreux rzekł:

— Myśmy tu całkiem niepotrzebni w tej ulicy; wszak nie potrafimy zatrzymać kuli w powietrzu!

Ale Winter ciągle powtarzał:

— Czy lezicie tam przecię?

Więc musieliśmy być posłuszni.

Naprzeciw stajen Genodeta, od których ciągnąć się zaczynały stare stodoły na skład siana dla koni żandarmeryi, skręcała na lewo uliczka przechodząca około szpitala. Pełno było na niej gnoju i jam niezgłębionych; krótko mówiąc, była po prostu kanałem. Owóż ten nędznik Winter, widać umyślnie, żeby nam dogryźć, zawrócił i pociągnął w tę uliczkę, ponieważ zaś bez latarni byłoby ciemno choć wykół oko, więc musieliśmy iść za nim. Sunęliśmy się po omacku koło ściany, mając nad sobą wysunięte dachy stodoł, które całkiem tłumiły znikomą poświatę

nocy; zdawało się, że nigdy nie wydobędziemy się z tej nory. Lecz kiedyśmy się zbliżyli ku szpitalowi i wdarli pomiędzy ogromne kupy gnoju, który wedle zwyczaju zwalano koło kratowanego otworu kanału, ujrzelismy znowu coś podobnego do światła.

Noc wydała nam się mniej natenczas ponurą; szczyty bramy Francuskiej i budowle fortyfikacyjne rysowały się czarno na płowem tle nieba. Prawie jednocześnie z tem wszystkiem postrzegłem ni ztąd ni z owąd, że jakiś człowiek przekrada się między drzewami po grzbiecie wału. Był to żołnierz posuwający się chyłkiem, tak, że rękami niemal dotykał ziemi. Strzelaniny w tej stronie nie było; błyski wystrzałów z drugiej strony migwały po nad dachami, ale nie przenikały do głębi ulic.

Trąciłem Wintera i pokazałem mu dostrzeżonego człowieka, który nie wiem dla czego wydał mi się niebezpiecznym. Kapral natychmiast ukrył latarnię pod bluzą. Żołnierz, który był odwrócony do nas plecyma, wyprostował się i widocznie rozglądał i nasłuchiwał, co trwało ze trzy minuty czasu. Następnie w rogu bastyonu przesadził ostrokół i posłyszeliśmy jakieś zgrzytanie po murze wałowym.

Wnet Winter rzucił się co miał siły w nogach ku niemu, wołając:

— Dezerter!... dezerter!... Do galeryi!...

Mówiono już wtedy o zbiegach z armii, którzy za pomocą bagnetu spuszczały się z murów do fosy. Pobiegliśmy wszyscy w przegony. Szyldwach krzyknął:

— Kto idzie?

Winter odrzekł:

— Patrol mieszczański!

Podszedł ku szyldwachowi, z cicha wymówił hasło, i jak szaleni zbiegliśmy po schodach galeryi.

Na dole, u stóp wzniesionych na skale bastyonów, niceśmy nie widzieli prócz śniegu, wielkich czarniawych kamieni i krzaków potrząśniętych szronem. Dość było zbiegowi przypnąć i dech przyczaić pod krzakiem, a mybyśmy ze swoją latarką, przy której o stóp piętnaście lub dwadzieścia nie rozpatrzeć nie było możliwości, przechadzali się po fosie aż do rana, i nicbyśmy nie znaleźli, a nawet może nabrali przekonania, że goniony potrafił się uratować. Nieszczęściem dla niego strach pędził go do uciezki, i wnet postrzegliśmy z daleka, jak biegł ku schodom prowadzącym na osłonią

drogę. Leciał jak wiatr; Winter krzyczał na niego: „Stój! bo zastrzele!” ale uciekający bynajmniej się nie zatrzymał. Wszyscyśmy biegli za nim tuż w tropy, wołając:

— Łapaj!... Trzymaj!...

Winter oddał mi latarnię, ażeby przyspieszyć kroku, a ja biegnąc z tyłu, myślałem:

— Aj Mojżeszul jeżeli pochwyć tego człowieka, ty będziesz przyczyną jego śmierci.

Chętka mię brała zadmuchać ogień w latarni, ale gdyby Winter to postrzegł, byłby mi może roztrzaskał głowę kolbą: taki był majster do podobnych rzeczy! Oddawna już miał nadzieję dosłużyć się krzyżyka, a zawsze marzył o tem, że może go otrzyma razem z pensją.

Zbieg tedy pędził ku schodom. W jednej chwili postrzega, że ruchoma drabina, po której możnaby z głębi fosi dostać się na te schody, odjęta! Nieszczęśliwy stanął jak skamieniały!... Myśmy się zbliżali... On zrozumiał co się święci, i pędem rzucił się na prawo ku lunecie. Nieborak skacząc po kupach śniegu, niejednokrotnie upadał. Winter za każdym razem mierzył do niego z karabina i wykrzykiwał:

— Stój! Poddaj się!

Ale ten się zrywał z ziemi i znowu pędził bez wytchnienia.

Po za odwachem, pod mostem zwodzonym, jużemy sądzili, że nam się wymknął. Ale kapral wrzasnął na mnie:

— Zbliźże się do tysiąca piorunów!

A gdy się zbliżyłem z latarnią, postrzegliśmy zbiega przytulonego do muru i bladego jak płótno. Winter porwał go za kołnierz i rzekł:

— Mam go przecię!

Potem oderwał mu szlifę, burcząc zajadle:

— Nie jesteś godzien tego nosić!... Nuże! naprzód!

Wyciągnął go z kąta i podniósł ku jego twarzy latarnię. Wtedyśmy postrzegli przed sobą pięknego chłopca lat osiemnastu lub dziewiętnastu, słusznego wzrostu, szczupłej budowy ciała, z malutkimi światłymi wąsikami i błękitnymi oczyma.

Widząc go tak bladym, widząc szeroką łapę Wintera przyłożoną do jego gardła, wnet przyszli mi na myśl nieszczęśliwi rodzice młodzieńca. Serce mi się ścisnęło; nie mogłem przewieść na sobie, żeby nie powiedzieć:

— Dajcie pokój, Winterze, wszak to dziecko... prawdziwe dziecko... już tego więcej nie zrobi!...

Ale Winter, któremu się zdawało, że już krzyżyk trzyma w ręku, odwrócił się ze wściekłością i krzyknął piorunującym głosem:

— Stul gębę Żydzie! bo ci bebechy wypuszczę bagnietem!

A ja pomyślałem:

— Podłty!... Czegóż to nie zrobi taki łachmaniarz, byle sobie do końca życia zarobić na kieliszeczek codzien!

Ten człowiek przerażał mię swoim widokiem: zaprawdę, są dzikie zwierzęta wśród rodzaju ludzkiego!

Chevreux, Somme i Dubourg milczeli.

Winter puścił się z powrotem do fortecy, zawsze trzymając za kołnierz zbiega.

— Jeżeli będzie się ociagał — krzyknął do nas, — walcie go kolbą w plecy! Ach łotr! uciekać kiedy nieprzyjaciel tuż pod nosem!... Rozumiem co za koncept śnił się waszeci: dzień jutrzejszy przespaliśmy pod gazonem lunety, a potem... Będzieszże mi szedł nareszcie!... Walcie go kolbami, leniwcy!

Ale co mi największe sprawiało katusze, to ciężkie westchnienia nieszczęśliwego; przerażony schwytniem i myślą blizkiego rozstrzelania, wzdychał tak ciężko, że o piętnaście kroków

posłyszeć było można. Zimny pot wystąpił mi na czoło. A do tego jeszcze biedaczysko kiedy niekiedy spoglądał na mnie szeroko otwartymi dużymi oczyma; spoglądał tak, że nigdy nie zapomnę tego wzroku; zdawało mi się, że mówił do mnie:

— Ocal mię!

Gdybym był sam na sam z Dubourgiem i Chevreux, bylibyśmy puścili chłopca na wolność; ale Winter prędzejby się zgodził rozśiekać go w kawałki.

Tak przyszliśmy do otworu podziemnej galeryi. Kazano zbiegowi iść przodem. Na górze czekał już nas sierżant i czterej inni z najbliższej placówki.

— Co to? — zapytał sierżant.

— Dezerter — odrzekł Winter.

Starszy sierżant popatrzał na jeńca i rzekł:

— Zostawcie go tu przy warcie.

— Nie — odrzekł Winter; — pójdzie z nami na odwach główny.

— Dam wam w pomoc dwóch ludzi — rzekł jeszcze sierżant.

— Niepotrzeba — odparł opryskliwie Winter: — ujęliśmy go sami, i sami własnymi siłami potrafimy zaprowadzić.

Natenczas sierżant postrzegł, że chwala w zupełności spaść musi na nas jednych, więc zamilkł i nie dokuczał więcej.

Wracaliśmy z bronią na rękę; więzień cały podrapany, z obnażoną głową, szedł w środku między nami.

Weszliśmy wkrótce na mały rynek; zostawiało tylko przejść starą szopę targową, ażeby stanąć w kordegardzie. Armaty koło arsenału ryczały bez ustanku. Gdyśmy wychodzili z pod szopy, błysk wystrzału oświecił ciągnące się przed nami podsienia. Jeniec dostrzegł na lewo potężnymi zamkami obwarowane drzwi więzienia; na ten widok straszna wstąpiła weń siła: odebrał kołnierz swego munduru, zostawiając go w rękę sierżanta, i skoczył ku nam z wyciągniętymi naprzód rękami.

Winter o mało się nie wyrzucił, ale wprędce odzyskawszy równowagę, rzucił się na zbiega z krzykiem:

— Ach, złoczyńco! myślisz jeszcze uciekać!

Dalej nicemy widzieć już nie mogli: latarnia potoczyła się na ziemię i zgasła. Chevreux zaczął wołać:

— Warta!... Warta!...

Wszystko to nie trwało dłużej nad minutę czasu. Połowa oddziału piechoty stojącego na warcie w merowstwie, nadbiegła z bronią w rękę. Wtedy znowu postrzeżliśmy więźnia: siedział na podstawie poręczy między dwoma słupkami; krew mu się z ust dobywała; miał na sobie tylko połowę sukni; zgięty drżał całym ciałem.

Winter go trzymał za kark i rzekł do porucznika Schnidreta, przyglądającego się jeńcowi:

— Dezertter, poruczniku; dwa razy chciał umknąć, ale był tam na podoręczu Winter.

— Dobrze — odrzekł porucznik; — zawołać dozorcę więzienia.

Dwaj żołnierze odeszli. Niektórzy kamraci nasi z gwardyi narodowej wyszli także przez ciekawość z kordegardy. Nikt nie wymówił ani słowa. Pomimo całej nieczułości ludzkiej, kiedy się spojrzy na nieszczęśliwego w tak optykanem położeniu, kiedy się pomyśli: „Jutro będzie rozstrzelany!“ każdy musi zamknąć usta, a nawet niejeden byłby gotów ocalić go, gdyby zdołał.

Po krótkiej chwili przyszedł dozorca Harmantier, w kurtce dzianej na prątkach i z pięciem kluczków w rękę.

Porucznik rzekł do niego:

— Zamknąć tego człowieka!... Nużę, powstań i idź! — rzekł do zbiega surowo, ale takim głosem, w którym brzmiała jakaś odrobina liłości.

Więzień podniósł się i powłókł za Harman-tierem, otoczony całą gromadą zebranych.

Dozorca odemknął ciężkie podwoje więzienia; jeniec wsunął się bez oporu do wnętrza; potem drzwi się i wielkie zamki a grube rygle zawarły ze zgrzytem.

Porucznik rzekł wtedy do nas:

— Wracajcie na swoje stanowiska!

I myśmy się posunęli na górę po szerokich schodach merowstwa.

Ten wypadek tak mię wstrząsnął i zranił, że zapomniałem być zupełnie o żonie i dzieciach. Ale gdy dostałem się do wielkiej sali, dusznej, pełnej dymu i wilgotnych wyziewów, gdy się znalazłem wśród gawiedzi, co z chichotem prze-chwalała się jakby jakim zwycięstwem, że uję-to bezbronnego zbiega, gdy pomyślałem, że to ja właśnie byłem sprawcą tego nieszczęścia: rozpacz ogarnęła moją duszę. Padłem na przy-czę i biłem się z myślami o wszystkich nieszczę-śliwościach tego świata, o Zeffen, o Safelku,

wszystkich moich dziatkach, które mogłyby być równie ścigane i pochwycone, ponieważ nie lu-biły wojny. I przychodziły mi na pamięć roz-liczne słowa Pisma, straszne ludziom dla grze-chów ich, i nie mogłem się utulić...

Byłem złamany, sam niepodobny do siebie. Jedyną pociechę znajdowałem tylko w myśli, że synowie moi Icek i Fromel są w Ameryce. Postanowiłem, skoro czas nadejdzie stosowny, wysłać tam również Safelka, Dawidka i Ez-draszka.

Tak biłem się z myślami aż do świtu, nie zwracając uwagi na głośnie śmiechy i drwiny siedzącej koło ognia czeredy. Od czasu do czasu ten lub ów podchodził ku mnie, trącał i powiadał:

— Mojżesz, pójdz przynieś dzbanek wódki, sierżant pozwoli ci odejść.

Ale ja nie chciałem tego słyszeć.

Około godziny czwartej rano, nasze działa z bastyonu pod arsenałem zdemontowały au-stryackie moździerzce na wzgórzu pod Quatre-Vents. Patrole przestały chodzić po mieście.

Punkt o siódmej nas zluzowano. Wyszliśmy jeden za drugim z bronią na ramieniu. Stanę-

liśmy w szeregu przed merowstwem; kapitan Vigneron zakomenderował:

— Broń do ręki! Prezentuj broń! Broń na ramię! Zwinąć szeregi!

I każdy z nas pociągnął w swoją stronę, zadowolony, że się pozbył widoków zyskania sławy.

Postanowiłem, rzuciwszy karabin w domu, biedz natychmiast do kazamat, dla zobaczenia się z Sarą, Zeffen i dziećmi; ale jakaż była moja radość, gdy postrzegłem Safelka już przed domem! Zaledwo mię zoczył wychodzącego z za węgła, rzucił się ku mnie, wołając:

— Wszyscyśmy powrócili... czekamy ciebie!

Pochyliłem się, żeby go ucałować. Tymczasem Zeffen otwarła okno i podniosła małego Ezdraszka; Sara uśmiechała się po za nią w głębi. Począłem biedz na górę, a biegnąc błogosławiłem Najwyższego, że nas uchował od nieszczęścia. Wołałem w duchu:

— Przedwieczny jest litościwy i miłosierny, nie kwapiący się w gniewie, szczerobliwy w dobrodziejstwach! Niech imię Przedwiecznego sły nie po wszystkie wieki! Niech Przedwieczny uwielbion będzie w dziełach swoich!

XIV.

Ten powrót do domu, Frycu, był jeszcze chwilą szczęśliwą mojego życia. Skoro wszedłem na górę, Zeffen i Sara rzuciły się w moje objęcia; małych pochwyliłem na ręce i tuliłem do siebie; Safel trzymał się mojej poły. Nie mogłem wymówić słowa z radości, a oczy moje napełniły się łzami.

Ach! gdyby jeszcze był z nami Baruch, szczęście nasze nie miałooby sobie równego!

Nareszcie zrzuciłem ładownicę i razem z karabinem odniosłem na właściwe miejsce w sypialni, bo w żołnierce porządek przedewszystkiem, mój Frycu! Dzieci się głośno śmiały, starszym uśmiech igrał na ustach; radość raz jeszcze napełniła dom cały. Gdy powróciłem do jadalni w obszernej kuczabajowej kapocie i przestronnych a ciepłych pończochach wełnianych; kiedy usiadłem w starym fotelu przy stole zastawionym talerzami, do których Zeffen nalewała już zupę; gdy się ujrzałem w gronie osób jaśniejących zadowoleniem, z oczami wytrzeszczonemi i wyciągniętymi rączkami: chciało mi się zaśpiewać jak stara zięba siedząca na gałęzi

nad gniazdkiem, w którym jej dziatwa otwiera dziobki i uderza skrzydełkami.

Błogosławiłem ich w duchu po sto i po tysiąc razy. Sara, która czytała w moich oczach wszystkie myśli fruwające po mej głowie, rzekła do mnie:

— Widzisz Mojżeszu, jeszcze wszyscy są razem z nami, jak wczora; Najwyższy zachował ich od zguby.

— Tak — odrzekłem: — niech imię Najwyższego będzie błogosławione odtąd i aż na wieki!

Podczas śniadania, Zeffen opowiedziała mi szczegółowo, jak wczoraj przybyli do wielkiej kazamaty w koszarach. Ogromne sklepisko pełne było ludzi leżących na siennikach na prawo i na lewo. Jedni krzyczeli w niebogłoso, inni dotknięci osłupieniem ani słowa z ust nie wypuszczali; przerażenie malowało się na wszystkich twarzach. Dodaj do tego udręczenie od plugawego robactwa, wodę gęstymi kroplami spadającą ze sklepienia, mnóstwo dzieci, których usnąć było niepodobna, a które płakały i płakały bez końca. Kilku starców raz po raz rozpoczynało narzekania i przestraszało innych.

— Ach mój Boże! — wołali: — przyszła już nasza ostatnia godzina!... Ach! jak tu zimno!...

Ach! już my ztąd żywi nie wyjdziemy!... Ach! przyszedł już na nas koniec!...

Potem, gdy około godziny dziesiątej ryknął pierwszy wystrzał z działa, a za nim drugi, trzeci, czwarty, wszystko natychmiast umilkło. Z początku wystrzały następowały po sobie w pewnych przestankach; potem tak gęsto szły jeden po drugim, że strzelanina złała się w jakiś grzmot rozhukanej burzy bez końca i miary. Błyski ognia przekradały się przez szpary blindażów nad bramą i oświecały wnętrza kazamaty. W niemem milczeniu i z przerażeniem przysłuchano się tym błyskom i przysłuchywano hukowi wystrzałów. Tylko stara Krystyna Ewig odmawiała Godzinki czy Koronkę głosem podniesionym jakby szła za procesyą, a inne niektóre kobiety od czasu do czasu odpowiadały jej: „Amen,“ albo coś podobnego.

Zeffen, opowiadając mi to wszystko, tuliła małego Ezdraszka coraz mocniej do siebie, a ja objąłem także Dawidka, który siedział na moich kolanach, i pomyślałem: „Tak, moje biedne dzieci! dużoście wycierpiały!“

Pomimo radości, jaką czułem, widząc, że wszyscy moi żywi i zdrowi, myśl moja często zwracała się do zbiega zamkniętego w ciemnicy

w starym ratuszu: on biedny miał także rodziców! Kiedy człowiek pomyśli o wszystkich troskach i kłopotach, jakie ojciec i matka ponosić muszą dla wychowania dziecka, o nocach bezsenne spędzanych nad jego utuleniem w płaczu lub doglądaniem w chorobie, o nadziejach, któremi się karmią widząc, że ich dziecko podраста; a potem gdy w myśli stanie przed sobą kilku weteranów siedzących około stołu, sądzących winę jego nierozwagi, spokojnie skazujących go na wyprowadzenie i rozstrzelanie za bastyonem na stoku fortecy: dreszcz musi przeniknąć każdego. Cóż dopiero, jeżeli człowiek musi sam do siebie powiedzieć:

— Gdyby nie ja, ten chłopiec byłby się dostał po za miasto, poleciałby do rodzinnej wioski, jutroby może już stanął podedrzwiami chałupy swoich staruszków i wołał do nich: „Otwórzcie... to ja!...”

Od takich myśli doprawdy może człowiekowi przewrócić się w głowie. Nie mogłem zdobyć się na odwagę, żeby powiedzieć żonie i dzieciom o uwięzieniu biednego chłopca. Byłem zafrasowany i zamyślony.

Tymczasem przez ulicę ciągnęły mierzonym krokiem oddziały wysłane poprzedzającego dnia

do Roulette, de Trois-Maisons i Fontaine-du-Chateau. Gromady dzieci z hałasem biegały po mieście, szukając czerepów granatów. Sąsiedzi zbierali się w kupki i gwarzyli o wypadkach zeszłej nocy: o pozrywanych dachach, pobalanych kominach, o trwodze, która przejmowała wszystkich jakby jakie zaraźliwe powietrze. Słyszał było, jak głos to podnosili, to zniżali, a potem wybuchali śmiechem. Zauważyłem później, że to samo powtarzało się po każdym następnym bombardowaniu. Skoro minęła ulewa kłęski, przestawano o niej myśleć i wykrzykiwano wesoło:

— Pocieszymy się nareszcie!... Nieprzyjacieli w odwrocie!...

Gdyśmy siedzieli głęboko zamyśleni, ktoś wszedł na schody. Poczuliśmy się przysłuchiwać, a wtem drzwi się otwały i stanął przed nami nasz sierżant, z karabinem na ramieniu i cały zabłocony.

— To co innego, ojcze Mojżesz! — zawołał: — odznaczyliście się słysząc tej nocy... to co innego!

— A! mój Boże! cóż to było, sierżancie? — spytała zadziwiona Sara.

— Jakto, pani Sarol jeszcze wam nie opisał swojego świetnego czynu? Jeszcze nie powiedział, że gwardzista narodowy Mojżesz, o godzinie jedenastej w nocy, wysłany jako patrol kn bastyonowi za szpitalem, dostrzegł a później i złapał dezertera na gorącym uczynku winy? Tak stoi w protokóle spisany przez porucznika Schindreta.

— Ależ ja nie sam jeden tam byłem! — zawołałem złamanym głosem:—było nas czterech.

— Ba! aleś sam, ojcze Mojżeszu, wytropił zwierzyngę, schodziłeś do fosy, trzymałeś latarnię. Nieroztropnie jest, ojcze Mojżeszu, same-mu sobie uszczuplać zasługi. Pewien jestem, że wkrótce wniosą do władzy raport, aby was awansowano na kaprała. Jutro o godzinie dziewiętej zbierze się rada wojenna. Już bądźcie spokojni, nie zapomną rozporządzić się waszą zdobyczą.

Wystaw sobie, jak musiałem wtedy wyglądać! Sara, Zeffen, dzieci patrzyły mi w oczy, a ja nie wiedziałem co powiedzieć.

— No! trzeba pójść zmienić ubranie — rzekł znowu sierżant, ściskając mię za rękę. — Pogadamy jeszcze o tem później, ojcze Mojżeszu!

Zawsze wam powiadam, że wyjdziecie na tego zucha!

Mówiąc to, uśmiechał się z pod wąsa jak zwykle, i szyderczo przymrużał oczy; potem zawrócił się na korytarz i wszedł do swojej izdebki. Żona moja była śmiertelnie blada.

— Czy tylko to prawda, Mojżeszu?—rzekła po chwili.

— Hm... ja nie wiedziałem, że on chciał uciekać, Saro—odrzekłem zakłopotany.—A zresztą ten chłopiec powinien był zawczasu obejrzeć się na wszystkie strony; powinien był wyjść na plac przed szpitalem, rozpatrzeć wszystkie kupy śmieci, a nawet wejść w uliczkę i zobaczyć, czy kto tamtędy nie idzie. Jego własna nierozwaga była przyczyną nieszczęścia... Ja nic nie wiedziałem... ja...

Ale Sara nie dała mi skończyć.

— Mojżeszu! — zawołała: — bież co prędzej do Burgueta! Jeżeli tego człowieka rozstrzelają, krew jego spadnie na nasze dzieci. Spiesz się, nie trać ani chwili czasu!

Wzniosła ręce ku niebu, a ja pomieszany niezmiernie, wybiegłem na miasto.

Niepokoilią mię nadewszystko myśli, że mogę Burgueta nie zastać w domu. Szczęściem, gdy

otworzyłem drzwi do jego mieszkania na pierwszym piętrze w starym domu Cauchois, postrzegłem, że sążnisty Vézenaire golił go wśród stołów starych książek i szpargałów, zawałających cały pokój. Burguet siedział z serwetą założoną pod brodę.

— Ach! to wy, Mojżeszul—zawołał uradowany;—cóż to za traf szczęśliwy sprowadza mi pożądane wasze odwiedziny?

— Przychodzę prosić was o pomoc, Burguet.

— Jeżeli chodzi o pomoc pieniężną—rzekł,—to będziemy podobno w kłopotcie.

Profesor się zaśmiał, a jego służąca Marysia Lorient, która słyszała naszą rozmowę z kuchni, przemknęła drzwi, i wysunąwszy starą rudą perukę ku nam, zawołała:

— Z pewnością będziemy w kłopotcie! Vézenairowi za golenie brody nie płacono już od trzech miesięcy; czyż nie prawda Vézenaire?

Mówiła to bardzo poważnie, a Burguet zamiast ją ofuknąć jak należało, śmiał się z całego serca. Zawsze mi się zdawało, że człowiek tak rozumny jak Burguet, czuł niejako potrzebę patrzenia na wcieloną głupotę jak ta jego kucharka, żeby naśmiać się z niej wedle woli i poprawić sobie zły humor. Nigdy też nie chciał

wyprawić do Licha tej cudaczki Lorient, która takie gadała niedorzeczności.

Nareszcie, gdy Vézenaire ciągnął dalej golenie, ja tymczasem opowiedziałem Burguetowi, jakżeśmy byli wyszli na czaty po mieście i jak złowiono zbiega, i prosiłem go, żeby wziął na siebie obronę tego nieszczęśliwego. Powiedziałem mu, że sam on jeden tylko może uratować biedaka i wrócić straconą spokojność nietylko mnie, ale i Sarze i Zeffen i całemu mojemu domowi, bośmy wszyscy niezmiernie strapieni i w jego rozumie całą pokładamy ufność.

— Ach! zażyliście mię ze słabej strony, Mojżeszul—zawołał:—jeżeli tylko ja sam jeden mogę ocalić tego człowieka, to musimy spróbować. Ale trudno będzie czegoś dokazać!... Od dwóch tygodni już się daje postrzegać zbiegowstwo... Rada wojenna chce dać przykład surowości... Ciężka sprawa! — Macie tam przy sobie pieniądze, Mojżeszul?—dajcie cztery sous Vézenairowi niech sobie łyknie kropelkę.

Dałem tedy cztery sous Vézenairowi, który też zaraz wyszedł z niskimi ukłony. Następnie, Burguet, gdy skończył ubieranie się, wziął mię za rękę i rzekł:

— Pójdźmy więc, trzeba zobaczyć!

I wyszliśmy razem, zmierzając do merowstwa.

Dużo już lat upłynęło od tej daty, a jednak zdaje się, jakbym dzisiaj wchodził w podsienia ratusza i słyszał wołanie Burgueta:

— Hola! sierżancie, powiedzcie tam odźwierzemu, że przyszedł obrońca więźnia.

Harmantier nie kazał długo na siebie czekać, powitał grzecznie jak umiał Burgueta i odemknął drzwi więzienia. Weszliśmy do smrodliwej ciemnicy, i postrześliśmy w kącie na prawo postać ludzką skuloną na słomie.

— Wstańcie!—rzekł Harmantier:—przyszedł wasz obrońca.

Nieszczęśliwy poruszył się i zaczął wstawać powoli w ciemności. Burguet nachylił się ku niemu i rzekł:

— Zobaczmy... Odwagi!... Przychodzę porozumieć się z wami co do obrony.

Chłopiec w głos począł szlochać.

Skoro człowiek jest zgnębiony, oszarpany, zbity tak, że na nogach utrzymać się nie może, skoro wie, że prawo i ludzie przeciw niemu powstają, że musi umrzeć nie widząc tych, których kochał i szanował, staje się słabym jak dziecko. Ludzie, jak Winter, którzy okrutnie obchodzą się z ujętymi, są ehyba wielcy nędznicy.

— Usiądźcie tutaj na pryczy—rzekł znowu Burguet.—Jak wam na imię? zkąd jesteście rodem?—Harmantier, dajcie też nieco wody temu człowiekowi, niech się orzeźwi i umyje.

— On ma wodę, panie Burguet, ma tam w kącie.

— A! to dobrze.... Uspokójcie się, mój chłopcze.

Im z większą Burguet mówił do niego słodyczą, tem bardziej nieszczęśliwy zanosił się od płaczu. Nareszcie jednak powiedział, że rodzina jego mieszka w okolicy Gêrarmuru w Wogezach, że ojciec jego zowie się Maciej Belin, że on sam był rybakiem w Retournermerze.

Burguet z usilnością musiał zeń wyciągać każde słowo; chciał szczegółowo wiedzieć o wszystkim, o ojcu i matce, o braciach i siostrach więźnia.

Przypominam sobie z urywanego opowiadania więźnia, że ojciec jego służył wojskowo za Rzeczypospolitej, a nawet odniósł ranę pod Fleurs; że starszy brat obwinionego był także w zaciągu i zginął w wyprawie do Rosyi; że sam oskarżony był drugim z kolei rekrutem

z tej samej rodziny, i że zostały w domu trzy siostry młodsze od niego.

Całe to opowiadanie szło biedakowi z wielką trudnością; zbity niemiłosiernie przez Wintera, tak był osłabiony, że nie mógł chodzić i chwiał się jak ciało bez duszy.

Zgadniesz, Frycu, że ten chłopak miał nam coś jeszcze do powiedzenia — był przecież młodzieńcem! — coś takiego, co mi przypomniało dawne czasy, kiedy w skok przebiegałem dwie godziny drogi z Falcburga do Mormontieru, żeby zobaczyć się z Sarą... Ach nieszczęśliwy! kiedy szlochając, z twarzą ukrytą w dłoniach, opowiadał nam swoje dzieje, czułem, że mi serce rozrywało się w piersiach.

Burguet był mocno wzruszony. Kiedyśmy po całogodzinnem badaniu mieli opuścić więzienie, rzekł do obwinionego:

— Ha!... miejmy nadzieję... Będziecie sądzeni jutro... Pamiętajcie nie tracić odwagi. — Harmantier, trzeba żebyście dali płaszcz temu człowiekowi; zimno tutaj okrutnie, a zwłaszcza w nocy. — Wasza sprawa, mój chłopcze, bardzo trudna, ale jeszcze nie stracona... jest nadzieja. Postarajcie się o ile można przyzwolicie stanąć przed sądem; rada ma zawsze względy dla ob-

żałowanego w chędogiem ubraniu i trzymającego się jak należy.

A gdyśmy wychodzili z więzienia, rzekł do mnie:

— Mojżeszu, posłajcie temu człowiekowi czystą koszulę. Jego odzież cała poszarpana; nie zapomnijcie kazać mu sporządzić zaraz kompletne ubranie. Żołnierze zawsze przedewszystkiem po sukni sądzą o człowieku.

— Bądźcie spokojni o to, — odrzekłem.

Gdy drzwi więzienia się zawarły i myśmy weszli pod szopę targową, Burguet jeszcze powiedział do mnie:

— Teraz ja powrócę do domu. Trzeba się zastanowić nad tą rzeczą. Dobrze się stało, że brat zginął w Rosyi i że ojciec służył wojskowo; to niezły środek ratunku.

Na rogu ulicy Remparts rozstaliśmy się z Burguetem. On poszedł do siebie, a ja zawróciłem do domu, jeszcze bardziej niż przedtem zęknany.

Nie potrafisz sobie, kochany Frycu, ani wyobrazić mojego zmartwienia. Okropna rzecz dla człowieka, który zawsze miał spokojne sumienie, na raz posłyszeć jego wyrzuty i ciągle sobie powtarzać:

— Jeżeli tego człowieka rozstrzelają, jeżeli ojciec, matka, siostry i ktoś jeszcze co go czeka, będą nawiedzeni strapieniem, twoja to robota, Mojżesz!

Szczęściem w domu było pracy po uszy. Sara otworzyła wyporzadzony stary nasz kramik i zaczęła szynkować gorzałkę; ludzi zaraz co nie-miara schodzić się do nas poczęło. Przed tygodniem szynkarze, kawiarki, oberżyści wycędzili już ostatki z beczek, i za głowę się brali, że znikąd nie można dostać gorzałki. Przyszło do tego, że musiano z płaczem i krzykiem zamykać próżne szynkownie i bufety. Bierz z tego miarę, co za natłok być musiał koło naszego domu! Wszyscy ci różnych imion szynkarze ciągnęli do nas sznurem jak żurawie, z konwiami, baryłkami, dzbankami, butlami. Nałogowi też pijacy, rozpychając tłum łokciami, przeciskali się także na wyscigi do szynkwasu. Sara, Zeffen i Safel nie mogli nastarczyć żądanom.

Sierżant utrzymywał, że należałoby postawić przed bramą wartę dla pilnowania porządku i niedopuszczania zwady, gdyż wielu nie mogąc się docisnąć, krzyczało, że dawno już czekają i że ich pieniądze tak dobre jak innych.

Ale Sara nie chciała warty, bo uważała, że ludzie mogliby lękać się żołnierzy.

Dużo wody upłynie, mój Frycu, nim ktoś zobaczy podobny ścisk przed jakimkolwiek kramem w Falcburgu.

Ledwo miałem tyle czasu, żeby powiedzieć żonie, iż Burguet podjął się obrony zbiega, i zaraz pójść musiałem do piwnicy nalewać wódkę do dwóch szynkowych antałów, które już były wysuszone co do kropli.

We dwa tygodnie później Sara we dwójnasób podniosła cenę, dwa pierwsze oksefty były już rozprzedane, i pomimo nadzwyczajnej drożyzny towaru, ścisk się bynajmniej nie zmniejszał.

Już to wiadomo, że ludzie zawsze na gorzałkę i tytoń znaleźć umieją pieniądze, nawet wtenczas kiedy nie mają za co kupić chleba.

Widziałem to własnymi oczyma, widziałem to niepojęte szaleństwo ludzkie, i zawsze ile razy o tem pomyślę, nie mogę się wydziwić, jak takie rzeczy dzieją się na świecie!

Koniec końców, bieranina około gorzałki trwała tego dnia bez wytchnienia aż do godziny siódmej wieczorem; a gdyby nie capstrzyk,

który wszystkich rozpedził do domu, pewnoby się przeciągnęła do północy.

Radość z pięknego zarobku czystego grosza zatarła była zupełnie w mej pamięci nieszczęśliwe położenie zbiega; dopiero po wieczery, gdy cisza nocna wróciła, przyszła z nią na powrót myśl o tym człowieku. Nie powiedziałem jednak ani słowa nikomu w tej mierze; byliśmy tak znużeni i tak zadowoleni obrotem interesów, że nie chcieliśmy siebie zasmucać podobnemi myślami. Dopiero gdy Zeffen z dziećmi wyszła do swego pokoju, opowiedziałem Sarze szczegóły naszych odwiedzin więźnia. Powiedziałem jej także, iż Burguet nie traci nadziei ocalenia, co biedaczkę bardzo uradowało.

Około godziny dziewiątej wszyscyśmy z łaski Pana Boga spokojnie usnęli.

XV.

Możesz mi wierzyć, Frycu, że tej nocy, pomimo niemałego znużenia, spałem niewiele. Myśl o zbiegu nie dawała mi pokoju. Wiedziałem, że jeżeli go rozstrzelają, Zeffen i Sara nie dadzą się pocieszyć; wiedziałem również i o tem, że po trzech i czterech latach niegodziwi lu-

dzie będą mię jeszcze wytykali palcami, powiadając:

— Spójrzycie na tego Mojżesza, w szerokiej ciemnej oponczy, w czapce nasuniętej na uszy, z miną pocziwego człowieka! Ten pocziwina w czasie obłączenia dokazał sztuki, że aresztowano i rozstrzelano biednego dezertera. Spuśćże się teraz na to, co Żydowinowi patrzy z oczul

Oto coby z pewnością mówiono i przeżuwano; bo jedyną pociechą nędzników jest wmawianie w drugich, że cały świat równie pełen niegodziwości jak oni.

A zresztą, ja sam czyżbym ustawicznie nie wyrzucał sobie śmierci tego człowieka? Podczas każdego nieszczęścia w życiu, przez całą starość, kiedy sen coraz bardziej ucieka od człowieka, ten straszny wypadek byłby mi zawsze stawał przed oczyma! Ileż to razy musiałbym sobie powiedzieć, że złe spadające na mnie jest karą z ręki Przedwiecznego, że zbieg zamordowany z mojej przyczyny mści się na demną!

Pragnąłem tedy natychmiast i najlepiej o ile można urządzić całą sprawę. O godzinie szóstej rano, nim dzień zabłysnął, już z latarnią byłem w swoim starym kramiku pod szpą tar-

gową i wybierałem dla młodego żołnierza szlify, oraz inne najlepsze jakie miałem sztuki uni-formu. Zawinałem wszystko w serwetę, i le-dwo szarżec zaczęło na dworze, poniosłem do Harmantiera.

Specjalna rada wojenna, którą nie wiem dla czego nazywano radą de Ventôse, miała się zebrać o godzinie dziesiątej; składała się zaś z otyłego majora jako prezydującego, z dwóch kapitanów i dwóch poruczników. Kapitan z le-gionu zagranicznego Monbrun miał być spra-wozdawcą, brygadyer zaś Duphot sekretarzem.

Ale rzecz podziwienia godna, że całe miasto zawczasu wiedziało o wszystkim, i o godzinie szóstej już czeready Nicaisów, Pigotów, Vinatie-rów i innych im podobnych, wylały ze swoich na pół zrujnowanych lepianek i napełniły wszyst-kie zakątki merowstwa, podsienia, schody, sień i wielką salę na górze. Wszystko to śmiało się, gwizdało, tupało, jakby przed rozpoczęciem tra-wienia niedźwiedzi u Kleina pod „Wołem.“

Dzisiaj Bogu dzięki nic podobnego już nie ma, ludzie stali się łagodniejsi, litościwsi, przyzwoi-tsi; ale wtenczas, po wszystkich owych wielkich wojnach, zbieg nie obudzał nawet tyle polito-

wania, co lis wpadły do żelaza, albo wilk pro-wadzony na kagańcu.

Widząc to wszystko, męztwo mię opuściło; pomimo całego uwielbienia dla talentu Bur-gueta, nie mogłem nie pomyśleć:

— Biedny człowiek zgubiony bez ratunku!... Kto potrafi go uratować, jeżeli ciżba tłoczy się jak na widowisko, żeby się przypatrywać, jak go potępią i poprowadzą na stoki bastyonu?

Byłem na polu umarły!

Drżący jak listek, wszedłem do izdebki Har-mantiera i rzekłem do niego:

— Przyniosłem to dla dezertera. Oddajcie mu to odemnie. Powiedzcie mu, że wszystko co mogłem zrobiłem dla jego ocalenia.

— Dobrze,— odrzekł dozorca.

Zagadnałem go, czy wierzy w powodzenie obrony przedsięwziętej przez Burgueta?

Wzruszył ramionami i odrzekł:

— Potrzeba przykładu surowości!

Tymczasem po innych zakątkach starego ratu-sza głośne rozmowy i pogwizdywania nie usta-wały, a gdy wyszedłem od Harmantiera, pisz-czałki na raz wrzasnęły z galerii, z podsieni, zewsząd, mieszając się z krzykami:

— Mojżesz!... Hej Mojżesz!... tędy!...

Ala ja nie odwracałem głowy i wróciłem do domu pogrążony w głębokim smutku.

Sara oddała mi zaraz przyniesione przez żandarma polecenie na piśmie, abym się stawiał przed radą wojenną jako świadek o godzinie dziesiątej. Przesiedziałem więc aż do godziny dziewiątej przed kominem, pogrążony w myślach nad wynalezieniem środków usprawiedliwienia więźnia.

Safel bawił się z dziećmi; Zeffen i Sara zeszły na dół, aby dalej sprzedawać gorzałkę.

Na kilkanaście minut przed dziesiątą powlokłem się do ratusza. Tam już był taki natłok, że gdyby nie warta przy bramie i nie żandarmi rozstawieni wewnątrz gmachu, trudnoby było świadkom przedrzeć się na wskazane miejsce.

Kiedy wchodziłem na górę, kapitan Monbrun właśnie zaczynał czytać raport. Burguet siedział naprzeciw niego z głową wspartą na ręku.

Kazano mi wejść do bocznego pokoju, gdzie już znalazłem Wintera, Chevreux, Dubourga, a przy nich żandarma Figela. W ten sposób, aż póki nas nie zawołają, nie mogliśmy nic słyszeć z procesu.

Na ścianie na prawo uderzał w oczy napis wielkimi literami tej treści: że każdy świadek,

k który nie wyzna całej prawdy, pociągnięty będzie przed radę wojenną i odniesie tę samą karę, jakiej podlegnie główny obwiniony. To musiało człowiekowi dać do myślenia: postanowiłem natychmiast nie nie ukrywać, jak chciała słuszność i rozsądek. Żandarm też nas uprzedził, że zabroniono nam z sobą rozmowy.

Po kwadransie przywołano Wintera; potem co każde dziesięć minut zzywano po kolei Dubourga, Chevreux i mnie.

Wszedłszy do sali sądowej, postrzegłem, że wszyscy sędziowie siedzieli na swych miejscach w paradnych mundurach. Podpułkownik zastępujący komendanta w radzie wojennej, siedział z odkrytą głową, a kapelusz jego leżał przed nim na stole; sekretarz temperował pióro. Burguet popatrzał na mnie spokojnym wzrokiem. Za drzwiami śmiano się, tupano, gwizdano, aż prezydujący rzekł do oficera żandarmeryi:

— Ostrzeż pan publiczność, że jeżeli te hałasy nie ustaną, każe wszystkich wyrzucić z merowstwa.

Oficer wyszedł natychmiast, a prezes zwracając się ku mnie, powiedział:

— Gwardzisto narodowy, Mojżeszu, złóżcie zeznanie. Co wam wiadomo o wypadku?

Opowiedziałem po prostu, jak zaszły rzeczy. Obwiniony siedział po lewej mojej ręce między dwoma żandarmami, i podobniejszy był raczej do umarłego niż do żywego. Radbym był z całej duszy zrzucić z niego cały ciężar winy; ale gdy strach przejmuje człowieka o siebie samego, gdy starzy oficerowie w paradnych mundurach, ze zmarszczonymi brwiami, przenikają cię aż do głębi duszy spojrzzeniami, to najprostszy i najlepszy sposób jest nie kłamać. Ojciec rodziny powinien przedewszystkiem myśleć o własnych dzieciach! Zresztą, opowiedziałem ani mniej ani więcej tylko to, co widziałem.

Gdy skończyłem, prezydujący rzekł:

— To i dosyć! Możecie odejść.

Ale widząc, że inni moi kamraci z patrolu, Winter, Chevreux, Dubourg, usiedli na ławce na lewo, zrobiłem toż samo co oni.

Prawie w tejże chwili kilku hultajów poczęło gwizdać i mruzczyć: „Rozstrzelać!... rozstrzelać!... Prezydujący w radzie kazał oficerowi żandarmów pochwycić tych wyrzutek; jakoż pomimo oporu z ich strony, odprowadzono jak niepysznych do kozy. W sali sądowej nastąpiło milczenie, ale po za drzwiami przeraźliwe wrzaski piszczałek nie ustawały.

— Sprawozdawco, masz pan głos — rzekł podpułkownik do Menbruna.

Oskarżyciel, którego jakbym widział i słyszał w tej chwili, był człowiek lat pięćdziesięciu.

Ten tedy człowiek zaczął mówić, a mówiąc, w pewnych odstępach czasu podnosił rękę w górę, jak czynią adwokaci dla odrzucenia w tył szerokich rękawów. Był w paradnym uniformie, a mówił straszliwie dobrze, głosem czystym, dźwięcznym i przenikliwym aż zgroza. Niekiedy się zatrzymywał i spoglądał na otaczających dla przekonania się, czy dzielają jego zdanie; a skoro tylko postrzegał najmniejszą oznakę nieufności, natychmiast zaczynał swoje na inny sposób, i zmuszał cię pod pewnym względem mimo twej woli do zrozumienia powodów ciężkiej winy zbiega.

Co do mnie, słysząc, jak sprawozdawca wytaczał i przeżuwał powoli szczegół po szczegół, jak o niczem nie zapominał i każdą rzecz objaśniał w taki sposób, aby zwiększała winę oskarżonego; widząc, że okazuje jak na dłoni, iż złapaliśmy zbiega na gorącym uczynku przestępstwa, iż nie tylko miał zamiar zbiegowstwa, ale nawet już był po za murami fortecy, iż przeto był równie winnym, jak gdybyśmy go

pojмали stojącego w szeregach nieprzyjacielskich: słysząc to wszystko, oburzałem się niepomału, bo miał słuszność skarżący. Mówiłem w duchu:

— Cóż teraz można będzie odpowiedzieć na takie straszliwe zarzuty?

A później, gdy oskarżyciel idąc dalej, począł dowodzić, że zbiegowstwo z pod chorągwi jest największą ze wszystkich zbrodni, bo zdradzający chorągiew zdradza zarazem kraj, rodzinę i wszystkich, którym winien jest życie, więc staje się tego życia niegodnym; gdy powiedział, że rada wojenna pójdzie za głosem sumienia wszystkich ludzi prawych i dbałych o honor Francji, jeżeli da nowy przykład surowości dla ocalenia ojczyzny i chwały cesarza, jeżeli da przykład innym rekrutom, że tylko na ścisłe pełnienie obowiązku i uległość dyscyplinie woj-skowej liczyć mogą; gdy mówił to wszystko z energią i przerażającą jasnością, a po za nami raz po raz rozlegał się w tłumie szmer zadowolenia i uwielbienia dla mówcy: natenczas, Frycu, musiałem przyjść do przekonania, że sam chyba Przedwieczny zdoła ocalić nieszczęśliwego, ale nikt z ludzi tego nie dopnie.

Zbieg siedział nieporuszony, z rękami skrzyżowanymi na kratkach dzielących go od sędziów, i patrzył nieruchomym wzrokiem na sprawozdawcę, jak patrzy skamieniała przerażeniem ptaszyna na rozwartą paszczękę węża. Jeżeli mógł coś myśleć w tej chwili, myślał pewno to samo co ja myślałem, co myślała cała sala i sama rada wojenna: nie ma dla ciebie ratunku!... Osiwiali w wyprawach członkowie rady zdawali się być zadowoleni, że sprawozdawca bardzo dobrze wyraził to wszystko, o czym byli od dawna przekonani; ukontentowanie malowało się na ich surowych obliczach.

Trwało to chyba całą godzinę.

Kapitan kiedy niekiedy zatrzymywał się na chwilę, aby słuchającym dać czas do rozważenia tego co powiedział; a po każdym takim przestanku jedno mi ciągle przychodziło na myśl, że ten człowiek musi być prokuratorem cesarskim, albo nawet czemś niebezpieczniejszem dla zbiegów.

Przypominam sobie jak zakończył swą długą mowę słowami:

— „Sędziowie! musicie dać przykład surowości! będziecie zgodni z sobą samymi! Musiecie pamiętać, że w obecnej chwili surowość ze

strony rady wojennej jest potrzebniejszą niż kiedykolwiek dla ocalenia ojczyzny!“

Ledwo skończył i usiadł, wielki szmer zadowolenia napełnił salę, i tejże chwili przeleciał po schodach aż do podsieni i na podwórze. Piorunujący okrzyk: „Niech żyje cesarz!“ zagrział wszystkimi ustami zgromadzonych.

Prezydujący i inni członkowie rady poczęli zwracać się jeden ku drugiemu z uśmiechem na ustach, jak gdyby chcieli powiedzieć:

— Rzec skończona; reszta zrobi się tylko dla formy!

Tymczasem po za drzwiami okrzyki nie ustawały, a trwało to najmniej dziesięć minut. Narzeczcie zniecierpliwiony podpułkownik zawołał do oficera żandarmów:

— Jeżeli zgiełk nie ustanie, każ pan zaraz powypędzać wszystkich z ratusza. Zaczniecie od usunięcia zebranych w sali.

Natychmiast wszystko umilkło, jak gdyby pozaszywano usta: każdemu się chciało posłuchać, co też może powiedzieć Burguet? Rzecz to mogła być istotnie ciekawa, lecz po mowie sprawozdawcy nie dałbym już ani złamanego szeląga za życie zbiega.

— Obrońco, masz pan głos,—ozwał się podpułkownik.

Burguet powstał i zwrócił się do sędziów.

Ach, Frycu! czyż potrafię dać ci przynajmniej ciebie wyobrażenia o tem, co mówił Burguet przez całą godzinę dla ocalenia życia jakiegoś biednego rekruta? Czyż potrafię ci odmalować wyraz jego twarzy, dźwięk jego głosu, to słodki jakby gruchanie gołębic, to rozdzierający i nawskroś przenikający człowieka? Czyż zdołam dać wyobrażenie jego milczenia z oczami wlepionymi w sędziów, jego natarczywości, z którą zdawał się wydzierać ofiarę z rąk oprawców? Gdybym się mógł zdobyć tylko na odwagę powtórzenia tego wszystkiego, byłbym już dumny z siebie i pełen chępliwości!

Nigdy przynigdy nie równie pięknego nie słyszano. To nie człowiek postronny mówił, ażeby mówić pięknie; to był głos matki usiłującej wyrwać swe dziecko od zguby. Ach! jakże wzniosłą jest rzeczą talent wzruszania i pobudzania do łez słuchaczy! Ale nie o talencie—o sercu mówić tu należy...

— „Któż z ludzi nie dopuścił się błędu? Kto kiedy z ludzi nie potrzebował politowania?“ Oto co mówił Burguet, pytając sędziów, czy

znajdzie się choć jeden człowiek pod słońcem, coby nie sobie nie miał do wyrzucenia? czy kiedykolwiek zła myśl nie przychodziła do głowy najdzielniejszych ludzi? Czy sami sędziowie mogą powiedzieć, że przynajmniej przez dzień jeden, przez jedną chwilę, nie panowała nad nimi myśl ucieczki do swojej wioszczyny, gdy jeszcze byli młodzi, gdy mieli lat osiemnaście, gdy ojciec, matka, przyjaciele młodości byli wszystkim dla nich, a o niczem innem nie wiedzieli na świecie? Biedny chłopiec, niewykształcony, nieposiadający znajomości życia, włożył z dnia na dzień swe istnienie; czyż podobna rzeczy wznioślejszych po nim wymagać? czy podobna nie przebaczyć mu błędu? Czyliż on wiedział, co jest honor chorągwi, co chwala? czyż można utrzymywać, że te wzniosłe wyobrażenia zostałyby dla niego na zawsze niedostępne?

A potem pytał tych starych żołnierzy, czy oni nie mają dzieci? czy mogą zaręczyć, że nawet w tej samej chwili syn ich nie dopuścił się błędu?... Mówił do nich:

— „Bronście swojego nieszczęsnego dziecka!“
Cóż powiecie?... Każdy z was powie: — Jestem starym żołnierzem, przez lat trzydzieści przelewał krew za Francję, osiawiałem na polach

bitwy, okryty jestem ranami, ostrzem miecza zdobyłem każdy stopień, każde odznaczenie... Ach! weźcież moje szlify, weźcie moje ordery, tylko oddajcie mi syna! Niechaj krew moja będzie zapłatą jego błędul... On nie rozumiał wielkości swojej zbrodni, on ledwo wychodzi z lat pacholących, jest rekrutem. On nas miłował, chciał nas ucałować, a potem znowu powrócił... on kochał dziewczynę... Ach! wyście także byli młodzi! Przebaczcie mu! Nie znieważajcie starego żołnierza w jego potomstwie!“

Cisza, nieprzerywana najmniejszym szelestem, najmniejszym poruszeniem obecnych, panowała w sali sądowej. Burguet mówił dalej.

— „Możebyście jeszcze powiedzieli: Miałem prócz obwinionego innych synów... ci polegli za Francję... Policzcie ich krew za niego, i oddajcie mi go żywym... To już ostatni, co mi jeszcze pozostał...“

„Oto cobyście byli powiedzieli, i bez porównania lepiej odemnie, bo mówilibyście jako ojcowie, jako żołnierze, którzy mają co mówić o swoich zasługach!... Owóż ojciec tego młodzieńca byłby powiedział to samo co wy... Jest on starym żołnierzem Rzeczypospolitej... Wystał w pole może nawet razem z wami, gdy

Prusacy najechali Szampanię... pod Fleurs odniósł ranę... Jest to wasz stary towarzysz broń... Starszy syn jego poległ!...“

To mówiąc Burguet pobydniał; zdawało się, że boleść złamała jego siły i że nie utrzyma się na nogach. Milczenie tak wielkie panowało, że słycać było szmer oddechu po sali. Zbieg zanosił się od płaczu. Każdy pomyślał:

— Już się skończyło, Burguet nie może dalej mówić, wkrótce potrzeba będzie go wynieść!

Ale wnet mówca począł zachodzić z innej strony, daleko prostszej, lecz nie mniej wzruszającej. Mówił z wolna, płynnie, łagodnie o życiu biednego włościanina i jego żony, których jedyną pociechą, jedyną nadzieją na ziemi jest ich dziecko.

Sluchając go, widziałeś tych dwoje starszków, słyszałeś ich między sobą rozmowę, widziałeś w ich otoczeniu pamiątki z czasów służby wojskowej starego żołnierza. A kiedy myśl całkowicie ku tym sielskim obrazom się zwróciła, nagle Burguet wystawił starca i jego żonę w chwili odebrania wiadomości, że syn ich zabity, a zabity nie przez Austryaków lub Bawarów, ale przez Francuzów... Potrzeba było słycać rozdzierający krzyk tego starca!...

Wierz mi, Frycu, było coś strasznego w tych słowach i głosie! O mało nie uciekłem z sali, takie mną owładnęło przerażenie.

Członkowie rady, między którymi większą część była żonatych, patrzali przed siebie nieruchomemi oczyma; powoli, ale z całej siły gnietli złożone swe ręce; siwe ich wąsy trzęsły się mimo wiedzy. Podpułkownik ze dwa czy ze trzy razy podnosił rękę, jakby pragnął dać znak, że już dosyć powiedziano; ale Burguet miał zawsze jeszcze do przytoczenia coś daleko silniejszego, coś bardziej przekonującego, coś większego niż to, co był wprzód już powiedział.

Mowa obrońcy trwała prawie do godziny dwunastej. Skończywszy ją usiadł, a najmniejszego szmeru nie było słycać ani w salach me-rowstwa, ani za drzwiami. Wnet sprawozdawca znowu otrzymał głos i dowodził, że wszystko co powiedziano, nic nie znaczy. Utrzymywał, że każdy jest przywiązany do dzieci, lecz że obowiązkiem rodziców jest nauczać swych synów, aby w obec nieprzyjaciela nie myśleli o zbiegowstwie; że uwzględniając takie pobudki, jak przytoczone przez obrońcę, byłoby niepodobieństwem kogokolwiek rozstrzelać, a tak dyscyplina wojskowa do szczytuby poszła w ni-

wecz; że w takich warunkach nie byłoby sposobu mieć armii, a przecież armia stanowi siłę i chlubę kraju.

Gdy skończył, Burguet natychmiast odpowiedział na zarzuty. Nie pamiętam już co mówił; tyle rzeczy nie mogło mi się na raz pomieścić w głowie. Ale czego nigdy nie zapomnę, to tego, że około godziny pierwszej, gdy sędziowie mieli przystąpić do narady, kazano nam opuścić salę, a zbiega odprowadzono do więzienia; gdy zaś po kilku minutach znowu nam wejść pozwolono, sam podpułkownik, z podniesienia gdzie stawiano do miary popisowych, obwieścił, że obżałowany Jan Belin uznany został za niewinnego, i że wydany będzie rozkaz, aby natychmiast wypuszczono go na wolność.

Od wypuszczenia jeńców hiszpańskich przed oblężeniem Falcburga, było to pierwsze uniewinnienie stawionego przed sądem wojennym. Nędznicy, którzy się zbiegli tłumem, aby usłyszeć potępienie i widzieć śmierć haniebną człowieka, nie mogli uwierzyć własnym uszom. Wielu nawet wołało na dole:

— Zdrada!

Ale podpułkownik polecił oficerowi żandar-mów zanotować imiona krzykaczy, i zapowie-

dział, że zarządzi u nich rewizję. Wnet cała ciżba na złamanie karku potoczyła się ze schodów, a w pięć minut nikogo już nie było w merowstwie, i myśmy z kolei mogli swobodnie wyjść do domu.

Pochwyciłem Burgueta za rękę, a lzy mi kręciły się w oczach.

— Cóż? kontenci jesteście, Mojżeszu? — zapytał uspokojony już i wesoły po dawnemu.

— Ach, Burguet! — zawołałem: — sam Aaron, rodzony brat Mojżesza, największy mówca w Izraelu, nie mógłby lepiej przemówić! Toć rzecz podziwu i uwielbienia godna! Wam jestem winien spokojność duszy. Wszystko, czego odemnie zażądacie za tak wielką usługę, gotów jestem uczynić dla was wedle mojej możności.

Zeszliśmy na dół. Członkowie rady wojennej szli za nami po jednym, zamyśleni głęboko. Burguet uśmiechał się nieznacznie.

— Więc wszystko zrobicie czego zechcę, Mojżeszu? — zagadnął stając pod filarami.

— Tak — odrzekłem: — oto na dowód moja ręka.

— No! — zawołał, — w takim razie żądam od was dobrego obiadu w restauracji pod „Miastem Metz.“

— Ach! z całego serca.

Niektórzy z obywateli miejskich, między innymi stary Parmentier, poborca podatków Cochois, jego pomocnik Müller, oczekiwali Burgueta przy schodach merowstwa, ażeby mu powinszować powodzenia. Gdy go otoczono i ścisłano za ręce, nadbiegł Safel i rzucił mi się na szyję; Zeffen wysłała go, żeby się dowiedział o obrocie sprawy. Uściskałem go i rzekłem rozpromieniony:

— Bieź co prędzej do matki i powiedz, żeśmy wygrali! Siadajcie wszyscy do stołu i nie czekajcie na mnie. Ja będę obiadował z Burguetem pod „Miastem Metz.“ Śpiesz, moje dziecko!

Chłopiec poskoczył jak fryga.

— Pan zechcesz pójść do mnie na obiad, panie Burguet?—rzekł stary Parmentier.

— Dziękuję, panie merze; dziś obiadam z Mojżeszem; niech to na inny raz będzie.

I weszliśmy pod rękę do wielkiej sieni w restauracji matki Barrière, gdzie pomimo obłężenia rozchodził się jeszcze zapach pieczonego mięsiwa.

— Uważajcie, Burguet—rzekłem:—będziemy jedli na osobności, a wy sami wybierzecie wino

i piecyste, jakie wam się podoba; znacie się na tem lepiej ode mnie.

Postrzegłem, że oczy się jego zaiskrzyły.

— Dobrze, dobrze—rzekł;—to się rozumie.

W wielkiej sali komisarz wojskowy i dwaj oficerowie jedli razem przy jednym stole. Odwrócili się gdyśmy weszli, i pozdrowiliśmy ich skinnieniem głowy.

Kazałem wezwać panią Barrière, która też natychmiast nadeszła z tabliczką w ręku, tłusciuchna i uśmiechnięta jak zawsze. Burguet coś szepnął jej do ucha, i gospodyni tejsze chwili otwarła przed nami drzwi na prawo, mówiąc:

— Proszę, panowie, proszę!... Zaraz się uwinęmy.

Weszliśmy tedy do kwadratowej, wysokiej izby, o dwóch potężnych oknach wychodzących na plac przed ratuszem. Okna były dobrze zamknięte, okitowane i zawieszzone muslinowemi firankami, a piec porcelanowy należycie ogrzany, jak tego potrzeba w zimie.

Weszła służąca i poczęła nakrywać do stołu; myśmy tymczasem grzeli ręce około pieca. Burguet śmiejąc się zawołał:

— Mam niezrównany apetyt, Mojżeszu! Moja obrona będzie was drogo kosztowała.

— Tem-ci lepiej! Nigdy nie będzie tak drogo mię kosztowała, żeby mogła przewyższyć moją wdzięczność dla was, Burguet.

— No, no! — przerwał kładąc mi rękę na ramieniu; — nie myślę wcale was rujnować, ale zjemy uczciwy obiadek.

Skoro stół nakryto, zasiedliśmy jeden naprzeciw drugiego w wygodnych miękkich fotelach, i Burguet, zapiąwszy wedle swego zwyczaju serwetę na piersiach, wziął w ręce kartę obiadową. Rozmyślał nad nią długo, długo... boś wiedzieć powinien, Frycu, że słowiki, co tak pięknie śpiewać umieją, mają też gąbkę najsubtelniejszą ze wszystkich stworzeń. Burguet był podobny do słowika. Patrząc na jego poważną zadumę nad spisem potraw, byłem co się zowie uradowany.

Nareszcie przemówił powoli a dobitnie do służącej:

— To a to Magdaleno, sporządzone w taki a taki sposób... Takie wino na początek, takie a takie na koniec obiadu...

— Bardzo dobrze, panie Burguet, — odrzekła wychodząc Magdalena.

We dwie minuty przyniosła nam śliczny rosół. Podczas obłężenia był to największy przy-

smak, jakiego tylko pożądać można. We trzy tygodnie później byłby człowiek jak w niebie, gdyby z czemś podobnem spotkać mu się udało.

Potem służąca wniosła butelkę Bordeaux zawiniętą w ciepłą serwetę... Ale nie będę ci, mój Frycu, opisywał po szczególe całego obiadu, chociaż dziś jeszcze, gdy o nim wspominam, sprawia mi to niemałą przyjemność. Wierz mi, że niczego nie brakło do ładnej uczy: ani wółowiny, ani świeżych legumin, ani buchającej parą szynki, co wszystko od zamknięcia miasta było już niezmierną osobliwością. Mielśmy nawet sałatę! Pani Barrière przechowywała ją w ziemi inspektowej w piwnicy; Burguet sam ją przyprawił oliwą i różnemi ingrediencyami, jako prawdziwy znawca tej trudnej sztuki. Podano także kilka soczystych gruszek: były to już ostatki owoców; po nas w pamiętnej zimie 1814 r. nikt tego nie widział w Falcburgu.

Burguet nie ukrywał zadowolenia; szczególnie kiedy przyniesiono butelkę starego Lironcourtu i kiedyśmy się trącili kieliszkami, wyglądał na prawdę uszczęśliwiony.

— Mojżesz — rzekł czule patrząc mi w oczy, — gdyby tak zawsze płacono mi za obrony w sądach, jakeście wy zapłacili, byłbym się wyrzekł

posady w kolegium; ale cóż? to ledwo pierwsze moje adwokackie honorarium!

— A ja wam powiem, Burguet—odrzekłem:— gdybym był czem wy jesteście, wyrzekłbym się tego Falcburga i pojechał do jakiego wielkiego miasta. Tam dobrych obiadów, porządnych hotelów, słowem wszystkiego nie zabrakłoby dla was przez całe życie.

— Ha! — rzekł powstając od stołu: — przed dwudziestu laty podobna rada pewno by się przydała, lecz teraz przychodzi za późno. Pójdźmy na kawę, Mojżesz!

Tak to nieraz i nie sto razy ludzie z potężnym talentem zagrzebują się w jakimś ustronnym kąciuku, gdzie nikomu ani w myśli nie po stanie czego są warci. Nałóg pomalutku weźmie nad nimi górę, i znikną dla świata, a nikt nie będzie umiał dobrego słowa o nich powiedzieć.

Burguet około godziny piątej zawsze pamiętał iść na kawę i grać tam w karty ze starym Żydem Salomonem, który tym jedynym sposobem zarabiał na życie. Burguet i kilku innych Falcburczyków wypasali go swoim kosztem; dwa razy na dzień ten jegomość popijał piwko

i kawę za ich pieniądze, a w dodatku pakował do kieszeni talarki na utrzymanie domu.

Takie postępowanie ze strony innych oszwalbanych przez Salomona, nie dziwiło mię wcale: były to pospolite bydłeta! Ale w głowie mi się mąciło, ile razy pomyślałem, że tak rozumny człowiek, jak Burguet, robi to samo! Na dwadzieścia partyj pikiety Salomon pozwalał im wygrywać jedną lub dwie najwięcej, i to jedynie z obawy, żeby nie stracić pięknego obłowu, zniechęcając gracza przez odebranie mu wszelkiej nadziei powodzenia.

Tłómaczyłem to Burguetowi może pięćdziesiąt razy; przyznawał mi, że mam słusność, i zaraz potem szedł znowu za staremi przyzwyczajeniem.

Kiedyśmy weszli do kawiarni, Salomon już tam w kącie siedział na lewo przy oknie, w załuszczonej czapce nasuniętej na oczy i w starym wyszmelcowanym żupanie, spadającym ze stołka aż na ziemię. Bawił się sam z sobą w karty, i spojrzał z pod oka na Burgueta, jak jastrząb na skowronka. Zdawało się, że mówił:

— Przychodził... Jestem tutaj!... Czekam na ciebie!...

Ale Burguet wstydził się przy mnie iść za rozkazem tego starego nędznika; oburzał się na swoją słabość i starał się ją zwalczyć. Przywitał szachraja ledwo lekkim skinieniem głowy i usiadł naprzeciw przy stoliku, na którym postawiono dla nas kawę.

Inni gracze wkrótce nadeszli: Salomon też zaraz wziął się do skubania ptaszków. Burguet odwrócił się do nich plecami; uważałem jednak, że był roztargniony, że duszą był przy kartach, przysłuchiwał się szelestowi każdej bitki i machinalnie ścisnął palce, jak gdyby cośkolwiek w nich trzymał.

Około godziny siódmej, kiedy kawiarnia pełna już była fajczanego dymu, a kule z łoskotem hasały po bilardach, wszedł jakiś młody żołnierz i począł się rozglądać na wszystkie strony.

Był to ów zbieg.

Młody żołnierz postrzegł nas wreszcie, i z czapką w ręku zbliżył się do stołu. Burguet podniosłszy oczy, poznał swojego protegowanego; zauważyłem wtedy, że się zarumienił. Zbieg przeciwnie był bardzo blady; chciał coś powiedzieć, ale nie mógł.

— Cóż, przyjacielu! — rzekł do niego Burguet, — jesteście tedy wypuszczeni!

— Tak, panie! — odpowiedział rekrut, — i przychodzę tu podziękować panu za siebie, za mego ojca, za matkę!...

— Ach! — przerwał Burguet, pokaszłując: — dobrze! dobrze!...

Potem z rozczuleniem zaczął przypatrywać się młodzieńcowi, i zapytał go pieszczotliwie:

— Jesteście radzi z życia?

— Ach! tak, panie! — odrzekł rekrut: — bardzo się chce jeszcze żyć na świecie!...

— W istocie — szepnął jakby sam do siebie Burguet, spojrzawszy na zegar u ściany: — od pięciu godzin jużby było po wszystkim!... Biedne dziecko!

A potem nagle przybierając ton poufaly, rzekł:

— Ty nie masz grosza, żeby choć wypić za moje zdrowie, a u mnie także nie ma ani grosza... Mojżeszu, dajcie mu sto sous.

Dałem więc chłopcowi dziesięć franków. Rekrut chciał podziękować, ale Burguet nie pozwolił mu przyjść do słowa.

— Dobrze, dobrze! — rzekł wstając od stołu: — idź i wypijcie po kieliszku z kamratami!... Uspokój się... a pamiętaj nie myśleć więcej o ucieczce!

Odwrócił się, i zaczął niby z uwagą przypatrywać się grającym w karty. Lecz kiedy zbieg ozwał się jeszcze: „Dziękuję panu także w imieniu tej, która czeka mojego powrotu!“ Burguet spojrział nieznacznie na mnie, a z zafrasowanej jego twarzy widziałem, że sam nie wiedział co odrzec, tak był wzruszony. Natenczas rzekłem do rekruta:

— Jesteśmy szczerze uszczęśliwieni, żeśmy sprawili wam przysługę. Idźcie napijcie się za zdrowie swojego obrońcy i prowadźcie się jak należy.

Chłopiec patrzył jeszcze na nas, jak gdyby coś go trzymało i nie dawało mu odejść; w jego postawie i twarzy po tysiąc razy lepiej niż w podziękowaniach, których wysłowić nie mógł, malowało się przepelnienie wzruszonego serca. Nareszcie wyszedł powoli, kłaniając się i czapkę spuszczać ku ziemi. Wtedy Burguet powrócił do swojej filizanki.

Przemarzyliśmy jeszcze kilka minut o świeżo zaszłych wypadkach, a wkrótce potem przysłała mi myśl powrotu do domu i zobaczenia się ze swoimi.

Burguet był jak na mękach: wstawał co chwila i z założonemi w tył rękoma zaglądał w karty

to tego to owego z grających; potem znów siadał i pograżał się w zadumę. Przykro mi było trzymać go dłużej w takim zakłopotaniu; skoro więc godzina ósma wybiła, złożyłem mu życzenie dobrej nocy, co jak się zdaje sprawiło mu przyjemność.

— Ha! dobrej nocy, Mojżesz!—rzekł odprawiając mnie do drzwi kawiarni.—Moje uszanowanie pani Sarze i pani Zeffen.

— Dziękuję... będę pamiętał...

Wyszedłem bardzo zadowolony, że nareszcie wracam do domu. W kilka minut już byłem u siebie. Sara postrzegła natychmiast, iż byłem w dobrem usposobieniu, gdyż spotkawszy ją we drzwiach kuchenki, uściskałem wesoło.

— Saro! wszystko dobrze! — zawołałem: — wszystko idzie jak najlepiej!

— Tak, tak!—odrzekła;—widzę, że wszystko dobrze idzie!

Mówiąc to śmiała się ochoczo, i tak weszliśmy do pokoju, w którym Zeffen zdejmowała z Dawidka sukienki. Biedny chłopczyk, w koszulce tylko, poskoczył mi na ręce i główkę przytulił do mojej twarzy. Ile razy obiadowałem w mieście, zawsze miałem ten zwyczaj, że przynosiłem mu coś z deseru. Chociaż więc

oczęta do snu się kleiły małemu, znalazł natchmiasz drogę do kieszeni mojej kapoty.

Prawdziwe uszczęśliwienie dziadków, mój Frycu, na tem właśnie polega, że mogą śledzić wzrastający dowcip i rozsądek we wnukach.

Nawet Ezdraszek, którego kołysała moja kobieta, rozumiał już po trosze, że coś nadzwyczajnego zajść musiało; wyciągnął ku mnie drobne rączęta, i zdawało się, że chciał powiedzieć:

— Ja także lubię biszkopty!

Byliśmy wszyscy w najlepszym humorze.

Nareszcie usiadłem i opowiedziałem domownikom całego dnia wypadki; słauiłem wymowę Burgueta, opisywałem radość biednego zbiega. Wszyscy mię słuchali z rozczuleniem. Kiedym opowiadał, Safel, który siedział na moich kolanach, szepnął mi do ucha:

— Sprzedaliśmy dziś wódki za 300 franków.

Ta wiadomość wielką mi sprawiła radość, bo skoro się wydatkuje, potrzeba też zarabiać.

Okolo godziny dziesiątej, gdy Zeffen wyszła do swego pokoiku, zamknąłem drzwi od korytarza i położyłem klucz na wiadomem sierżantowi miejscu, aby na przypadek powrotu w nocy, miał czem otworzyć wejście.

Podczas zabierania się do łóżka, Sara powtórzyła mi co już był powiedział Safel, dodając, że będziemy się dobrze mieli po zdjęciu obleżenia, i że Przedwieczny dopomaga nam w tych nieszczęśliwych i strasznych czasach.

Byliśmy zadowoleni i nie troskali się o przyszłość.

XVI.

Przez dni kilka nic nadzwyczajnego nie zaszło. Gubernator kazał powycinać drzewa i krzewy rosnące koło wałów, ażeby przeszkodzić zbiegowstwu żołnierzy; zabronił też oficerom zbyt porywczego obchodzenia się z szeregowymi, i to dobry sprawiło skutek.

Był to właśnie czas, kiedy seciny tysięcy Austryaków, Ruskich, Bawarów, Wirtemberczyków, szwadronami, pułkami, dywizjami, ciągnęły na Paryż koło Falcburga po za linią nasyżych armatnich wystrzałów. Staczano okropne bitwy w Szampanii, ale myśmy nic o tem nie wiedzieli. Dzień po dniu coraz inne mundury przesuwały się koło warowni, a nasi starzy żołnierze, przypatrując się tej powodzi wojska, rozpoznawali po owych mundurach wszystkie

narody, z którymi przez lat dwadzieścia walczyli.

Nasz sierżant punktualnie po każdym apelu brał mię z sobą i prowadził na bastyon pod arsenałem. Znajdowaliśmy tam zawsze wielu mieszczan, przypatrujących się i gawędzących między sobą o tem najściu nieprzyjaciół, któremu końca nie było.

Rzecz prawie nie do uwierzenia! Od strony Saint-Jean, brzegiem lasu Bonne-Fontaine, ciągnęła całemi godzinami jazda, piechota, za niemi jaszczyki z prochem lub kulami, za niemi działa, za działami znowu błyszczące rzędy bagnetów, szyszaki, płaszcze zielone, czerwone, niebieskie, lance, chłopskie wozy poprzykrywane płachtami: wszystko to płynęło a płynęło jak rzeka, zalewało całą śniegiem ubieloną płaszczynę i ginęło gdzieś aż w głębi wąwozów.

Niektórzy ułani lub dragoni wybiegali niekiedy z tej tłuszczy i posuwali się galopem aż pod stoki warowni, w dolinę Dames lub pod samotną kapliczkę. Natenczas którykolwiek ze starych artylerzystów marynki zwieszał siwe swe wąsy nad strzelbą wałową, która się nazywa śmigownicą, i celował powoli. Wszyscy obecni, nie lękając się bynajmniej kuli, cisnęli

się koło niego, nawet dzieci, które przesłizgiwały się między nogami starszych, byle znajdować się na przedzie... Pafi i kula poleciała szukając winnego...

Przez całe życie moje z pewnością nie widziałem takiej liczby ludzi, ilu ich widziałem przechodzących koło Faleburga w ciągu dwóch tylko miesięcy 1814 r., w styczniu i lutym: powiedziałbyś, że to chmary egipskiej szarańczy. Jak tyle istot mogło wyjść z ziemi? tego pewno nikt nie zrozumie.

Naturalnie, że ten widok niepomału mię dręczył; innym też mieszczanom był również nie do smaku, to rozumie się samo przez się. Ale nasz sierżant śmiał się i przymrużał oczy.

— Patrzcie, ojcze Mojżeszu — mówił wskazując ręką od Quatre-Vents do Bidelberga: — wszystko to... wszystko co idzie, co przeszło, co jeszcze przechodzić będzie... wszystko to pędzi, żeby utuczyć sobą pola Szampanii i Lotaryngii! Cesarz jest tam! czeka ich w dobrem miejscu, wpadnie jak piorun niespodzianie! Gro-my Austerlitz, Jena, Wagram już trzyma w pogotowiu... To się nie może dłużej odwlekać... Rzucą się do odwrotu z kąd przyszli; ale ktoś pójdzie za nimi z bagnetem w rękę, i my ztąd

wyjdziemy i staniemy w poprzek drogi. Ani jeden się nie wymknie. Rozrachunek z nimi już ułożony. Wtenczas to, ojcze Mojżesz, będziecie mieli obficie starej odzieży na sprzedaż! Cha, cha, cha! toż to się będziecie delectowali!

Już się radował stary zawczasu. Ale domyślisz się, Frycu, że bynajmniej nie wchodziło w moje rachuby handlowanie odzieżą ściąganą z pola bitew; wolałbym raczej, ażeby gdzieś była o tysiąc mil od nas.

Ucz się z tego brać wyobrażenie o ludziach: ta sama rzecz jednego raduje, drugiego zasmuca... Ufność sierżanta była tak wielka, że niekiedy i na mnie przechodziła, i tak samo jak on myślałem.

Z bastyonu zwykle powracaliśmy z sierżantem przez ulicę Remparts. Niekiedy rozstawiliśmy się na ulicy, bo sierżant udawał się prosto do kantyny, gdzie już poczynano rozdawać żywność obłąceni; niekiedy zaś szliśmy razem do domu i sierżant skierowywał się do mojej izby na kieliszek kirszu. Przy kieliszku tłomaczył mi pospolicie najpiękniejsze obroty wojenne cesarza od wyprawy włoskiej 1796 r. do naszych czasów. Nic z tego nie rozumiałem, lecz

udawałem że rozumiem, co zupełnie na jedno wychodziło.

Przybywali też do nas parlamentarze, już to drogą od Nancy, już od Metz lub Sawerny. Wywieszali z daleka niewielką białą chorągiew, podjeżdżał trębacz, i odgłosem swej trąbki zwróciwszy na tę chorągiew uwagę, oddalał się ku swoim. Natenczas oficer dowodzący naszą strażą na odwachu przy bramie, udawał się do parlamentarza, zawiązywał mu oczy, i tak prowadzono go pod eskortą przez miasto do kwatery gubernatora. Ale co tam ci ludzie mówili lub czego się domagali, wieść nawet nie przedarła się nigdy na miasto; sam tylko gubernator i jego rada o tem wiedzieli.

Żyliśmy opasani murami jakby na jakiej odludnej wyspie wśród morza. Nie uwierzysz, Frycu, jak z czasem to położenie staje się nieznośnem, jak smuci i gnębi człowieka myśl, że nie może wyjść chociażby na stoki za miasto! Starcy od lat dziesięciu do swego fotelu przykuci, którym nigdy ani do głowy nie przychodziło używać ruchu, byli jakby zabici myślą, że bramy fortecy ciągle stoją zamknięte. Dalej, chęćka zasięgnięcia posłuchu co się dzieje na świecie, zobaczenia obcych ludzi, pogawędzenia

o interesach kraju, wszystko to są rzeczy najpierwszej potrzeby w życiu, czego się może nikt ani domyśla, kto nie był w naszym położeniu. Lada chłopą, najbardziej ograniczonego Dagsberczyka, gdyby przypadkiem dostał się do nas, przyjmowanoby jak bóztwo. Miastoby całe się zbiegło, by go zobaczyć i wypytywać o wiadomości z Francji.

Co gorsza, że pod koniec stycznia niedostatek już zaczął się dawać we znaki. Nie można było powiedzieć, że pieniądze stały się rzadkie, bo przecież ani centyma nie wyszło z miasta, ale wszystko podrożało niezmiernie: co przedtem kosztowało dwa sous, we trzy tygodnie później płaciło się dwadzieścia! To mi częstokroć przywodziło na myśl, że rzadkość pieniędzy jest jedną z owych bredni, które oszuści wynajdują dla durzenia głupców. Co mię obchodzi, że pieniądze są rzadkie? Człowiek nie jest ubogim, jeżeli ma przy sobie nie więcej nad dwa sous, ale może mieć za nie dostatek chleba, wina, mięsa, odzieży i t. d.; lecz jeżeli na zaspokojenie tych wszystkich potrzeb musi człowiek mieć dwadzieścia razy więcej, wtedy nie tylko on jest ubogim, lecz cały kraj zostaje w ubóstwie. Nigdy nie brak pieniędzy kiedy

wszystko jest tanie; brak ich zawsze kiedy środki do życia są drogie.

Kiedy ludzie są zamknięci i otoczeni przez nieprzyjaciół, jak właśnie było z nami, największym wtedy jest szczęściem, jeżeli człowiek więcej może sprzedawać niż kupować. Sprzedawałem gorzałkę po 3 franki za litr, lecz jednocześnie sam potrzebowałem chleba, oliwy, kartofli, a wszystko to podrożało w tym samym stosunku.

Pewnego ranka postrzegłem w moim szynku starą matkę Quérin, która zalana łzami lamentowała przed Sarą. Biedna już od dwóch dni nie jadła; ale to rzecz najmniejsza, mówiła: najgorzej to, że nie miała za co wypić kieliszcza gorzałki. Dałem jej darmo; dziękowała mi po sto razy i wyszła uszczęśliwiona. Nie zbywało też innych podobnych, którzy nie mieli za co wychylić kieliszcza; widziałem także starców, których rozpacz szarpała, że nie było czego zażyć: tabaka i tytoń stały się niemiłosiernie drogie. Przyszło do tego, że zażywano popiół. Wtenczas to ludzie wpadli na myśl palenia liści wielkiego orzecha włoskiego rosnącego pod arsenalem, i powiadano, że były bardzo dobre.

Na nieszczęście, wszystko to było ledwo początkiem niedostatku. Zobaczysz zaraz, że niedługo przyszło nam jeszcze dla chwały Francji nauczyć się suchego postu.

Pod koniec lutego mrozy uderzyły na nowo. Co wieczór z obozu oblegających wysyłano do nas po jakiej secinie granatów; ale człowiek łatwo przywyka do wszystkiego, więc i granaty zdawały nam się później rzeczą prawie naturalną. Jak tylko gdzieś pocisk pękał, każdy biegł w tamtą stronę dla stłumienia pożaru, co nie było rzeczą trudną, ponieważ w każdym domu stały na podóręczu kadzie napełnione wodą.

Artylerya nasza odpowiadała nieprzyjacielowi; ale ponieważ strzelano do nas w nocy po godzinie dziesiątej, z dział lekkich, które ciągle z miejsca na miejsce przerzucano, więc nawet po ogniu nie można było rozpoznać stanowiska nieprzyjacielskiej baterii i niełatwo jej było dosięgnąć.

Niekiedy nieprzyjaciel strzelał do nas palniami kulami. Były to kule o trzech otworach w trójkąt, napełnione jakąś materią, tak siarczyście się palącą, że nie sposób jej było zagasić inaczej niż rzucając do wody; tak też z niemi robiono.

Nie mieliśmy jeszcze ani jednego pożaru; ale nasze forpocztzy musiały być zwinięte, a nieprzyjaciel coraz bliżej podsuwał się i opasywał miasto. Zajęto folwark Ozillo, Tuilerie-de-Perrette i Trois-Maison, z których nasi ustąpić musieli. Urządzano się tam po swojemu, żeby wygodnie przesiedzieć całą zimę. Byli to Wirtemberczycy, Bawary, Badeńczycy i rozmaita inna landwera, która w Alzacji zastąpiła pułki liniowe wyprawione w głąb kraju.

Z miasta widziano jak na dłoni ich placówki, w długich jasno-niebieskich płaszczach, w niezłutkich kaszkietach, z karabinami na ramieniu, przechadzające się po wysadzonej topolami alei pod Tuilerie. Ztamtąd nieprzyjacielskie zastępy mogły lada chwila podczas głębokiej nocy dostać się do fos warowni, a nawet pokusić się o zawładnięcie którąkolwiek galeryą.

Nieprzyjaciel był liczny i nie odmawiał sobie niczego, mając trzy czy też cztery wioski dookoła, w których zaopatrywał się w żywność, tudzież wielkie a ciepłe piece w Tuilerie do wygrzewania się po warcie.

Zdarzało się, że niekiedy batalion wojska regularnego zluzował landwerę, lecz niedłuzej niż na dni parę, bo musiał dalek ruszać w drogę.

Uważano, że niektórzy żołnierze kąpali się czasami w niewielkiej sadzawce po za budowlami Tuilerie, co przy chłodach zimowych wydawało się dosyć dziwnem.

Wszyscy ci Wirtemberczycy, Badeńczycy, Austriacy strzelali nasze placówki jak ptaszki na gałęzi, i dziwiono się niepomału, że gubernator do tej pory nie pomyślał o rozbiciu ich w puch z naszych 24-funtowych potworów. Aż oto pewnego wieczora sierżant powrócił do domu w bardzo wesołym usposobieniu, i rzekł mi na ucho przymrużając oczy:

— Jutro ojcze Mojżeszu postarajcie się wstać wcześniej; nikomu nic nie mówcie i idźcie za mną. Zobaczycie takie rzeczy, że brać się będziecie za boki od śmiechu.

— Dobrze, sierżancie,— odrzekłem.

Stary poszedł się zaraz położyć. Ale wcześniej przed świtem, około godziny piątej, posłyszałem, że sierżant był już na nogach, co mię tem bardziej dziwiło, iż nie bito w bęben na apel.

Począłem wstawać jak najciszej; lecz na pół senna Sara posłyszała i zagadnęła:

— Co tam takiego, Mojżeszu?

— Spij spokojnie, — odrzekłem; — sierżant mię uprzedził, że chce pokazać coś nowego.

Nic na to nie odpowiedziała, a ja co prędzej narzuciłem na siebie ubranie.

Prawie tejże chwili sierżant zapukał we drzwi; zadmuchnąłem świecę i wyszliśmy na ulicę. Noc była ciemna choć wykół oko.

Słychać było cichy szmer na mieście koło kosszar. Sierżant skierował się w tamtą stronę, mówiąc do mnie:

— Ruszajcie na bastyon; zaraz będziemy atakowali Tuilerie.

Pobiegłem tedy klusem przez ulicę. Dostawszy się na wały, postrzegłem w cieniu bastyonu na prawo, że nasi kanonierowie już stali przy armatach. Stali nieporuszeni jak słupy, i wszystko dokoła milczało grobowem milczeniem; popalane lonty leżały na ziemi i błyszczały jak gwiazdy wśród ciemnej nocy.

Pięciu czy sześciu mieszczan, których kwaterujący żołnierze równie jak mnie uprzedzili o przygotowaniach, stało nierachomie u wejścia do galeryi. Zwykle wykrzyki: „Szydłwach, bacność!“ rozlegały się na murach koło miasta; po za miastem też w stronie nieprzyjaciela

wykrzykiwano: „Werda!“ i nic więcej nie było słychać.

Było porządnie zimno; pomimo mgły, suchy mróz przenikał aż do kości.

Wkrótce z placu przed merowstwem wtoczyło się w ulicę mnóstwo ludzi. Gdyby stąpali zwykłym mierzonym krokiem wedle musztry, nieprzyjaciel byłby ich niezawodnie posłyszał z daleka u stoków; ale szli gromadnie po cichu, i przesuając się koło nas, wstępowali do podziemnej galeryi. Trwało to najmniej z dziesięć minut. Łatwo zgadniesz, z jaką uwagą przyglądałem się tej robocie; nie dostrzegłem jednak naszego sierżanta, bo jeszcze było zupełnie ciemno.

Dwie kompanie lekkiego pułku Nr. 6 przesuwały się przez galeryę, stanęły w szyku w głębi fosy, i znowu nastąpiła zupełna cisza.

Ziąbłem tak, że nóg nie czułem pod sobą, ale ciekawość nie pozwalała mi odejść do domu.

Nareszcie po półgodzinnem może oczekiwaniu, blade światelko zorzy zaczęło się ukazywać po za Figuet nad lasem Bonne-Fontaine. Kapitan Rolfs, mieszczenie i ja, wsparci na poręczach galeryi, przyglądaliśmy się ubielonej śniegiem płaszczyźnie, po której suwało się kilka

niemieckich patrolów, a bliżej ku nam, pod samymi stokami, stał nieruchomie w topolowej alei wiodącej do wielkiej szopy Tuilerie, sztyldwach wirtemberski.

Na dworze było jeszcze szaro, rzeczy rysowały się niewyraźnie; ale słońce zimowe już zaczynało się wznosić nad posępny lasem jodłowym. Żołnierze nasi z bronią u nogi stali nieruchomie w ukrytych przesmykach. Nieprzyjacielskie: „Werda!“ szły swoją koleją. Jasność dzienna stawała się co chwila większą.

Niktby ani pomyślał, że bitwa była napięta. Aż oto na wieży merowstwa zegar wybił szóstą godzinę, i nasze dwie kompanie natychmiast bez komendy wysunęły się z ukrycia, i z bronią na ramieniu zeszyły w milczeniu ze stoków. Szły przynajmniej minutę drogą koło ogrodów, a potem zawróciły na lewo, zawsze trzymając się płotów.

Ani potrafisz sobie wyobrazić, jaki drzenie mię przenikało, widząc, że atak za chwilę się rozpocznie. Na dworze od mgły jeszcze było przyciemno; wszelako sztyldwach nieprzyjacielski postrzegł szereg bagnetów przesuujących się po za płotami i krzyknął przeraźliwie:

— Werda!

— Naprzód! — odpowiedział piorunującym głosem kapitan Vigneron; i grube podeszwy trzewików naszych żołnierzy zaturkotały po zmarzłej ziemi, jak gdyby lodozwał potoczył się z wysokości góry.

Szyldwach wystrzelił, i nie wiem co krzycząc, poskoczył aleją ku szopie. Wnet piętnastu mniej więcej landwerzystów, którzy składali forpoczę pod starą szopą do suszenia cegły, wybiegło ku niemu. Nie zdołali jeszcze rozejrzeć się co zaszło, a już wszyscy co do jednego byli wymordowani bez litości.

Z tak daleka niepodobieństwo było dobrze widzieć przez płoty i topole; ale po zniesieniu forpoczty, zaczął się tak rzęsisty ogień karabinowy i takie straszliwe krzyki powstały, że dolatywały aż do miasta.

Nieszczęśliwi landwerzyści, którzy stali w folwarku Pernette, a którzy po większej części, jako uczciwi ojcowie domu, porozbierali się byli, żeby wygodniej się przespać, wylatywali przez drzwi i okna w jednych koszulach z ładownicą na plecach, i szykowali się na obszernej łące Selter za Tuilerie. Oficerowie prowadzili ich naprzód, komenderując strasznym głosem wśród powszechnego zgiełku.

Było ich może sześćset lub siedemset człowieka. Brnęli na pół nadzy po śniegu, a jednak pomimo tego i pomimo nadzwyczajności podobnej niespodzianki, już zaczęli porządnie dawać ognia, gdy dwa nasze działa z bastyonu wmiszały się do roboty.

Wielki Boże! co za rzeź!

Trzeba się było znajdować tam na miejscu, na łące Selter, żeby widzieć, jak się kule armatnie wdzierały w środek szeregów, jak na szmaty potargane koszule wylatywały w powietrze! A co było rzeczą najgorszą dla nieszczęśliwych landwerzystów, to, że musieli ścisnąć szeregi, ponieważ nasi uwinąwszy się w Tuilerie, walili już ztamtąd na nich, żeby uderzyć na bagnety.

Trzykroć oplakane położenie! I któż jeszcze musiał to znosić, mój Frycu! Oto poczciwi sobie mieszczanie, kupcy, bankierowie, piwowarowie, oberżyści, ludzie, którzy wody nikomu zamąciłyby nie chcieli, którzy tylko do ciszy i pokoju wdychali.

Od tego wypadku nabrałem przekonania, że systemat landwery jest nie do rzeczy. Mojem zdaniem, daleko jest lepiej opłacać wyborną armię przywiązanych do kraju ochotników, co by wiedzieli, że żołd, pensye, rangi, honorowe oznaki

splywają na nich z zasobów kraju. Niechby to byli młodzi ludzie, tak dzielni i tak pełni poświęcenia, jak owe zastępy z 1792 r., co świat podziwem napełniły; niechby wiedzieli i byli pewni, że w miarę poświęcenia i zasługi, cześć i honory ich otoczą. Oto czego potrzeba dla armii, nie zaś ludzi, wiecznie marzących o żonie i dzieciach.

Nasze armatnie pociski kładły tych nieszczęśliwych ojców rodziny dziesiątkami a na dopełnienie obrzydliwości, dwie inne kompanie żołnierzy, które rada wojenna w największej tajemnicy wyprawiła przez galerie około piekarni wojskowej i około bramy Niemieckiej, a które posuwały się jedną drogą na Sawernę, druga na Petit Saint-Jean, zaczynały przecinać odwrót przeciwnikom i łączyły się po za nimi, strzelając z tyłu.

Potrzeba przyznać, że ci starzy żołnierze cesarstwa wprawni byli do prawdziwie szatańskich wybiegów! Czyżby komu innemu przyyszło do głowy coś podobnego, jak ten napad?

Postrzegłszy, że są z przodu i z tyłu ściskani ognistą obręczą, pozostali landwerzyści rzucili się w rozsypkę po równinie jak spłoszone stado wróbli. Kto nie miał czasu wzuć buty, sadził

bosy nie czując po kamieniach, po cierniach i głogach w głąb lasu Fiquet. Pędzili jak jelenie, a najotyłsi między nimi nie ustępowali innym w szybkości.

Nasi żołnierze puścili się za nimi w tyralierkę; w pędzie nabijali karabiny, a zatrzymywali się tylko na chwilę, żeby wycelować i dać ognia. Cała pochyłość przed nami, aż do starego buku rosnącego na łące miejskiej pod Quatre-Vents, była zasłana trupem. Pułkownik landwery, niezawodnie jakiś sławetny burmistrz miasteczkowy, pędził na koniu przed uciekającymi, a wiatr wydymał na nim koszulę!

Gdyby stojący we wsi Badeńczycy nie wybiegli na pomoc tym nieszczęśliwym, wytępiłoby ich wszystkich bez litości. Ale dwa bataliony Badeńczyków wyspały się na prawo Quatre-Vents; nasze trąby zagrały hasło zebrania się żołnierzy; cztery nasze kompanie połączyły się w środku alei ciągnącej ku Dames i tam czekały nieprzyjaciela.

Natenczas Badeńczycy stanęli w gotowości na miejscu, a ocaleni z pogromu Wirtembercy zaczęli zbierać się po za nimi, niezawodnie bardzo uszczęśliwieni, że się udało wyjść

na sucho ze strasznej młocki. Każdy z tych, co ocaleli, mógł później sumiennie powiedzieć:

— Znam co to wojna... Wiem czem to pachnie!..

Była już godzina siódma; całe miasto wysypało się na wały.

Wkrótce gęsty dym buchnął z Tuilerie i okolicznych budowli. Kilku saperów wyszło z fortecy z żagwiami i podłożyli ogień. Budynki płonęły jak świece, buchając rześnistymi iskrami. Niedługo potem widziałeś po za aleją tylko czarne wielkie plamy wśród śniegu, tudzież gruzny rozpadłych pieców.

Nasze cztery kompanie, widząc, że nieprzyjaciel nie ma zamiaru ich atakować, zawróciły spokojnie do fortecy poprzedzane odgłosem trąby.

Ledwo to postrzegł, natychmiast poskoczyłem na plac ku bramie Niemieckiej, ażeby być przytomnym wejściu do miasta naszego zwyciężkiego zastępu. Było to jeszcze jedno z owych uderzających widowisk, jakich się nigdy nie zapomina. Warta stoi pod bronią; weterani czepiają się łańcuchów zwodzonego mostu, który spuszcza się na przyjęcie ich towarzyszy; mężczyźni, kobiety, dzieci tłoczą się jakby na jar-

marku w ulicy. Dalej na wałach trąby grzmią przeraźliwie, a ich tryumfalne dźwięki powtarza echo bastyonów i lunet. Ranni, bladzi, oszarpani, zbryzgani krwią, idą w pierwszym szeregu, wspierając się na ramionach towarzyszy. Porucznika Schindreta niosą w krześle porwanem w Tuilerie; pot kroplisty wystąpił mu na czoło, a kula siedzi we wnętrzościach, jednakże wznosząc ręce, bełkoce grubym głosem: „Niech żyje cesarz!“ Żołnierze, zrzuciwszy jakiegos wirtemburskiego oficera z noszy, dźwigają na nich jednego ze swoich. Bębny w bramie wałą z całych sił marsz pochodu. Oddziały z bronią na rękę lub na ramieniu, jak czyją wola, z bułkami chleba, z najrozmaitszemi innemi artykułami żywności, pozatykanemi na bagnetach, idą zuchowato przez bramę. Oto co starzy jeszcze widzieli i czem się mogą pochwalić..

Ach, Frycu! powtarzam ci, że świat i ludzie zmienili się do niepoznania. Za moich czasów przeciwnik zawsze koszta wojenne ponosił; cesarz Napoleon wybornie znał się na tem: nie rujnował Francyi, lecz nieprzyjaciół kraju. Dziś my z własnej kieszeni płacimy za swoją chwałę! Owóż i z wyprawy na Tuilerie żołnierze nasi powracali objuczeni łupami: nieśli z sobą man-

telzaki, szlify, płaszcze, oficerskie pasy, zegarki i t. d., i t. d. Chowali dobrze w pamięci, co generał Bonaparte powiedział był do nich w r. 1796: „Nie macie sukni, nie macie trzewików; Rzeczpospolita wszystko wam winna, ale nie dać wam nie może. Ja zaprowadzę was do kraju najbogatszego w świecie; tam was czekają zaszczyty, chwała i bogactwa!... Koniec końców, jednym rzutem oka postrzegłem, że kieliszki w moim szynku będą się wypróżniały aż miło.

Spostrzegłszy przeciągającego koło nas Truberta, zawołałem do niego z daleka:

— Sierzancie!

Postrzegł mnie zaraz stojącego z wyciągniętymi ramionami, przybliżył się i ścisnął mię za rękę, wykrzykując:

— Idzie jak po maśle, ojcze Mojżesz... jak po maśle!

Wszyscy naokoło wybuchnęli śmiechem.

Nie czekając końca defilady oddziałów, postanowiłem biedz zaraz do szopy targowej i otworzyć kramik.

Safelek sam się już domyślił, że tego dnia rzeczy dla nas pójdą jak z płatka, bo przeci-

wnąwszy się w środek tłumu, począł mię ciągnąć za poję, mówiąc:

— Mam klucz od szopy... mam przy sobie... Spieszmy, żeby wyprzedzić Fricharda!...

Co to, proszę, naturalny dowcip dziecka! zaraz sam przez się na jaw wychodzi. Jest to prawdziwy dar Najwyższego, którego ani znaleźć, ani kupić.

Pobiegliśmy tedy do kramu. Otwarłem wystawkę, zostawiłem tam na kilka minut Safeleka, a sam poszedłem do domu trochę przekąsić czegośkolwiek i wziąć z sobą spory zapas drobnych pieniędzy na handel.

Sara i Zeffen były już w szynku i gęsto nalewały kieliszki; wszystko szło dobrze jak zwykle. Lecz w kwadrans później, gdy zwinęto szeregi na placu i broń złożono w koszarach, ścisk niemały powstał w moim kramie pod szopą. Przynoszono do mnie na sprzedaż suknie, mantelzaki, zegarki, pistolety, płaszcze, szlify i t. d., a tyle tego było, że gdyby Safelek nie pomagał, z pewnością nie dałbym sobie rady.

Wszystko mi oddawano prawie darmo. Ci ludzie nie troszczą się bynajmniej o jutro: jedyna ich myśl przeżyć dobrze z dnia na dzień, mieć tytuł, gorzałkę i inne przyjemności, któ-

rych nigdy nie braknie w mieście mającem stały garnizon; a zresztą wszystko im jedno: co być ma to i będzie.

W przeciągu sześciu godzin zaopatrzyłem tego dnia mój kramik w suknie, płaszcze, spodnie i mocne buty z prawdziwej skóry niemieckiej najlepszego gatunku. Nakupowałem prze-najrozmaitszych rzeczy, za które wyliczyłem blisko tysiąca pięciuset franków, a które później sprzedawałem po sześć i siedem razy drożej niż mię do kramu kosztowały. Wszyscy owi land-werzyści byli zamożni a nawet bogaci mieszczanie, i ubierali się jak przystało na porządnego człowieka.

Żołnierze sprzedali mi także niemałą liczbę zegarków, których stary zegarmistrz Gulden nie zechciał od nich kupić, ponieważ utrzymywał, że musiano je podejmnąć z umarłych.

Ale co mi największą, najrarityniejszą sprawiło radość, to, że Frichard, będąc od kilku dni chorym, nie mógł otworzyć swojego kramu. Teraz jeszcze kiedy o tem pomyślę, śmiech mię porywa. Nędznik dostał niepokonanej żółtaczki, która go przez resztę życia nie opuściła.

Około południa Safel pobiegł przynieść cośkolwiek w koszyku na obiad; jedliśmy pod szopą,

żeby nie przerywać targu, i aż do późnej nocy nie mogliśmy wyjść ani na chwilę z kramu. Ledwo jedna gromada wychodziła, już dwie i trzy inne na raz cisnęły się do nas. Upadałem ze znużenia, Safel również był okropnie zmordowany; jedynie miłość handlu podtrzymywała nasze siły.

Przypominam sobie jeszcze jedną tego samego dnia przyjemność. Kiedyśmy po capstrzyku w parę minut po siódmej wracali do domu, postrzegliśmy nieopodal inny kram jak nabity ludźmi. Żona moja i córka nie mogły wyniść z szynku; podniosły cenę gorzałki, lecz żołnierze wcale nie zwracali uwagi, znajdując to rzeczą zupełnie naturalną. W ten sposób nietylko francuzkie pieniądze, któremi tym ludziom płaciłem za towary w kramie starej odzieży, ale jeszcze i floreny wirtensberskie napływały do mojej kieszeni.

Rzecz to niezrównana, mój Frycu, jeżeli dwa rodzaje handlu wspierają się nawzajem; zastanów się nad tem głęboko, a zrozumiesz dla czego to mówię. Gdyby nie moja gorzałka, nie miałbym pieniędzy na zakupienie tyłu rzeczy, które do mnie przynoszono, a gdyby nie kram starej odzieży, w którym płaciłem gotówką za

łupy, żołnierzeby nie mieli za co pić mojej gorzałki.

Widać z tego jasno jak na dłoni, że Przedwieczny dopomaga ludziom miłującym porządek i pokój, byle tylko umieli korzystać z dobrej zręczności.

Nakoniec, chociaż sprawa była trudna, chociaż weterani sarkali, potrzeba jednak było zamknąć szynkownię i targ odłożyć na dzień następny.

Po wieczery, o godzinie dziewiątej, zasiedliśmy wszyscy około starej lampy i przystąpiliśmy do liczenia uzbieranych z całodziennej sprzedaży miedziaków. Zawijałem je w rulony po trzy franki i kładłem przy sobie na próżnem krześle; kupa z tego powstała tak wielka, że prawie równała się ze stołem. Safelek wybierał z miedziaków srebrniki i składał do miseczki. Radowaliśmy się szczerze tym widokiem, a Sara rzekła:

— Sprzedaliśmy dzisiaj dwa razy tyle co dni poprzedzających. Im wyżej podnosimy cenę, tem lepiej idzie handel.

Chciałem jej odrzec, iż należy jednak mieć umiarkowanie we wszystkim (gdyż kobiety nawet najlepsze nie rozumieją umiarkowania), ale

właśnie przeszkodził sierżant, który wedle zwyczaju przyszedł na kieliszek kirszu. Wszedł w swojej czapce żołnierskiej, a przy boku miał zawieszony przez plecy worek z czerwonej skóry, który mu spadał aż do bioder.

— He, he!—ozwał się spojrzawszy na rulony: — do licha!... do licha!... Ojcie Mojżesz, musicie być kontenci z dzisiejszego żniwa!

— A tak po trosze, sierżancie! — odrzekłem uradowany.

— Mnie się zdaje,—mówił dalej siadając i pijąc po odrobinie kirszu, którego Zeffen pośpieszyła mu nalać:—mnie się zdaje, ojcie Mojżesz, że po jednej lub dwóch do dzisiejszej podobnych wycieczkach, wykierujecie się na pułkownika w kramarskim korpusie. Tem-ci lepiej, rad jestem temu.

Potem chichocząc wykrzyknął:

— No! ojcie Mojżesz, zobaczcie też co mam tutaj. Ta niemiecka drużyna, jak widzę, niczego sobie nie żałuje!

To mówiąc, otworzył mantelzak i począł z niego wyciągać: najprzód parę ciepłych rękawic podbitych lisiem futerkiem, dalej grube wełniane skarpetki, jeszcze dalej wielki nóż składany, w okładzinach z jeleniego rogu, mający klingi

z przepysznej stali, co postrzegłem od pierwszego spojrzenia. Sierżant począł go otwierać i mówił:

— Wszystko tu jest czego tylko potrzeba: nożyk ogrodniczy, piłeczka, małe i duże zwycajne nożyki, korkociąg, krzesiwo, nawet pilniczek do wyglądania gwoździ...

— To do paznogci, sierżancie!—rzekłem.

— Al toby mię wcale nie dziwiło, — odparł spokojnie: — opasy landwerzysty wyglądał tak czysto, jak nowiutki talarek. Macie słuszność! teraz pewien już jestem, że pilniczkiem wyglądał sobie paznogie. Ale poczekajcie!

Sara i dzieci otoczyły nas w około i z podziwieniem przyglądały się zdobyczy sierżanta. On tymczasem zapuścił rękę w pewny rodzaj kieszonki przyszytej z boku w mantelzaku, i wyciągnął ztamtąd prześliczną miniaturę w złotej oprawie, mającej kształt zegarka, lecz znacznie większej.

— Patrzajcie... Ile to może być warte?

Obejrzałem miniaturę, potem obejrzała ją Sara, potem Zeffen i Safel. Podziwialiśmy wszyscy nadzwyczajną piękność roboty, a nawet byliśmy wzruszeni, gdyż miniatura wyobrażała

młodą jasnowłosą niewiastę i dwoje dzieciak świeżych jak pączki róży.

— No! cóż na to powiecie? — zapytał sierżant.

— To bardzo piękne,—odrzekła Sara.

— Dajmy na to; ale ile to warte?

Wziąłem tedy po raz drugi miniaturę, obejrzałem dokładnie, i rzekłem:

— Komu innemu, nie wam sierżancie, powiedziałbym, że to warte pięćdziesiąt franków; ale samo złoto warte więcej, cenię je na sto franków. Można przeważyc, to będziemy wiedzieli z pewnością.

— A portet, ojczu Mojżeszcu?

— Dla mnie portret nie ma żadnej wartości; ja go wam zwrócę. Takie rzeczy nie mają pokupu w tutejszej okolicy; dla rodziny to pewno coś warte, ale nie dla nas.

— Dobrze—odrzekł,—pogadamy o tem później.

Włożył miniaturę napowrót do mantelzaka i zapytał:

— A czy umiecie czytać po niemiecku?

— Umieć.

— Al to dobrze. Ciekawy jestem, co ten kajzerlik nagrezmolił. Patrzajcie... wszak to

będzie list! Cekał widać wagmajstra, żeby tę pisaninę wyprawić do Niemiec. Ale my przyszliliśmy trochę wcześniej od wagmajstra. Co też on tutaj prawi?

To mówiąc, podał mi list adresowany do pani Roedig w Stuttgartarcie, Bergstrasse Nr. 6. Ten list... poczekaj... otóż go masz. Sara go wtedy schowała, i został aż dotąd. On ci więcej powie o landwerze, niżbym ja potrafił wyrazić. Posłuchaj:

„Bibelberg, 25 lutego 1814.

„Luba Amelio,

„Twój miły liścik z d. 29 stycznia za późno przyszedł do Koblency; nasz pułk natenczas był już w drodze do Alzacyi.

„Wycierpieliśmy niemało nędzy... deszczów... śniegów i wszelkiej słoty. Pułk nasz przybył naprzód do Bitche, jednego z najgroźniejszych zamków, jakie tylko można widzieć na świecie, zbudowanego na skale sięgającej aż pod obłoki. Mieliśmy rozkaz wzmocnienia oblegających oddziałów, ale w skutek nowego rozkazu pociągnęliśmy dalej pod zamek Lutzelstein, wzniesiony na wysokiej górze. Tameśmy przebyli dwa dni, stojąc we wsi Pétersbach i wzywając załogę tej małej warowni do poddania się.

Garstka weteranów, która strzegła tego zameczku, odpowiedziała na nasze wezwanie ogniem działowym; ale pułkownik nie uważał za konieczne przypuszczać szturm, a tymczasem Bogu dzięki otrzymaliśmy rozkaz iść na oblężenie innej forteczki, otoczonej pięknymi wioskami, które dostarczają nam wszystkiego co potrzeba w obfitości. Forteczka nazywa się Falzburg, a leży o dwie mile od Zabernu. Zastąpiliśmy tu pułk austriacki Vogelgesanga, który się udał do Lotaryngii.

„Twój miły liścik gonił mię po wszystkich manowcach, aż teraz nareszcie uszczęśliwił wieścią od ciebie, moja luba. Uściskaj po sto razy odemnie Sabinę i drogiego Henryczka, i sama przyjmij moje uściśnienia, droga, uwielbiona Amelko!

„Ach! kiedyż nareszcie znowu się razem zbierzemy w naszej szczupłej apteczce? Kiedyż mię znowu otoczą schludnie malowane półki, zastawione fiaszeczkami i słoikami? Kiedyż zobaczę naderzwiami poważne gipsowe twarze Eskulapa i Hipokrata? Kiedyż nareszcie wrócę do swego tłuczka i do mieszania ziół i wywarów podług przepisu urzędowej Farmakopei? Kiedyż mię jeszcze spotka dawniejsza rozkosz, za-

siąść w wygodnym fotelu przed sutym ogniem w izdebce po za apteką, i słyszeć, co mię przedtem niecierpliwiło, jak drewniany konik Henryczka szurgocze po podłodze? I ty droga, uwielbiona małżonko, kiedyż nareszcie będziesz mogła zawołać: „To mój Henryk!“ gdy mię postrzeżesz wracającego, uwieńczonego wawrzynem zwycięstwa?“...

— Ci Niemcy — przerwał sierżant, — prawdziwie zabawni. No proszę! dadzą im wawrzyny zwycięstwa! Co za nedorzeczne piśmidłol

Ale Sara i Zeffen słuchały mię ze łzami w oczach; na ich ręku siedziały dziatki przytłone do piersi. Ja sam nawet, pomyślawszy, że nasz Baruch mógł się natknąć na takie same jak ten biedny człowiek przygody, byłem niezmiernie wzruszony.

Teraz, Frycu, posłuchaj końca listu:

„Stoimy tutaj w starej cegielni, na wystrzał armatni od forteczki. Z rozkazu jenerała dowodzącego oddziałem oblężniczym, nasi co wieczór rzucają na miasto po kilkanaście granatów, w tej nadziei, że się zniewoli nareszcie oblężonych otworzyć nam bramy. Ten stan rzeczy długo trwać nie może, bo w mieście brak wielki żywności. Wtenczas będziemy wygodne

mieli kwatery u mieszczan, i zostaniemy tam aż do końca tej sławnej wyprawy, co z pewnością niezadługo nastąpi. Wszystkie wojska liniowie wdarły się do głębi kraju, nie spotykając oporu, a teraz codzień przychodzą wiadomości o wielkich zwycięstwach naszych armij w Szampanii. Bonaparte ustępuje na wszystkich punktach; feldmarszałkowie Blücher i Schwarzenberg łączą się z sobą, i są już tylko o pięć lub sześć dni marszu od Paryża...“

— Co? co?!... Co on mówi? co on plecie?! — zabełkotał sierżant, niemal twarzą dotykając papieru i pożerając go oczyma. Powtórzcie mi to jeszcze!

Spojrzałem na niego: był przerażająco błądy; policzki jego trzęsły się od wściekłości.

— Utrzymuje — rzekłem, — że jenerałowice Blücher i Schwarzenberg posuwają się ku Paryżowi...

— Ku Paryżowi!... oni!... — zawołał prędkim, ledwo zrozumiałym głosem.

Potem nagle uśmiechnął się z pod wąsa i rzekł z gniewnym wyrazem twarzy:

— Al ty chciałeś wziąć Falcburg, ty!... Chciałeś wrócić uwieńczony wawrzynem zwycięstwa!...

Cha! cha! cha!... dałem ci je... dałem owe warzyny zwycięstwa!...

I zrobił poruszenie, jak gdyby nacierał i przebił bagnetem:

— Raz... dwa-a... hopt!

Widząc to, zadrżeliśmy wszyscy.

— Tak, ojczu Mojżesz, tak to było!—rzekł, małemi haustami wypróżniając kieliszek:—zakłółem tego aptekarczyka przy wrotach Tuilerie... Jego Amelka długo na niego poczeka... Ale co mi tam do nich!... Tylko ostrzegam was, pani Saro, że wszystko to kłamstwo; nie wiercie ani jednemu słowu z tej gadaniny. Cesarz pokaże im co umie, bądźcie pewni!

Nie miałem najmniejszej chęci czytać dalej; czułem jakiś chłód pod językiem i ledwo mogłem nim władać. Przez piąte dziesiąte przebiegłem resztę listu, w którym nic już nie było nowego, tylko grzeczności dla przyjaciół i znajomych.

Samego też sierżanta była już odpadła ciekawość; jakoż wkrótce wyszedł do siebie mówiąc:

— Dobranoc!... Rzućcie to w ogień!

Położyłem list na boku, i przez chwil kilka spoglądaliśmy na siebie w milczeniu. Potem

przemknąłem drzwi na korytarz... sierżant był już w swojej izdebce na drugim końcu... więc rzekłem po cichu:

— Co za okropne rzeczy!...

Treść tego listu naprowadziła nas na wiele smutnych i strasznych myśli. Pomimo pięknego w ów dzień zarobku, sen miałem niespokojny, budziłem się po wiele razy w nocy, i rozmyślałem o wszystkich okropnościach tej wojny, pytając siebie, co będzie z Francją, jeżeli Napoleon nie utrzyma się na tronie? Ale takie rzeczy przechodziły moje pojęcie, i nie wiedziałem co sobie odpowiedzieć.

XVII.

Od owej przygody z nieszczęśliwym landwyrzstą, widok sierżanta nas przerażał; nie mogliśmy sobie wyperswadować, że na wojnie wszyscy robią to samo. Sierżant atoli nie dostrzegał naszego ku niemu usposobienia, i zawsze punktualnie przychodził na kieliszek kirszu. Niekiedy wieczorem podnosił butelkę ku światłu, mierzył okiem i wykrzykiwał:

— Ubywa, ojczu Mojżesz! ubywa!... Niezadługo przyjdzie poprzestawać na pół-racy, a po-

tem na ćwierć-racy, i tak dalej... Mniejsza o to, byle tylko przez sześć miesięcy wystarczyło choć po kropelce, choć po odrobinie zapachu, a Trubert będzie zadowolony.

Stary śmiał się, a mnie porywało oburzenie, bo myślałem, spoglądając na niego ukradkiem:

— Ty możesz wygodnie poprzesztawać na kropelce! bo czegoż wam nie staje? czyż nie opływacie we wszystkim? Składy forteczne starranie od bomb zabezpieczone, wielkie piece w piekarni garnizonowej codzien dla was pracują, szlachtuz codzien każdemu żołnierzowi dostarcza po kawałku świeżego mięsa; a tymczasem zacny mieszczanin musi mieć się za szczęśliwego, jeżeli może jeszcze postawić na stole trochę kartofli i solonego mięsa.

Oto co pod wpływem złego usposobienia chodziło mi po głowie, kiedy tymczasem z obawy narażenia sobie strasznego sierżanta, musiałem przed nim nadrabiać pogodną twarz.

Ale wszystko, co mówiłem w głębi ducha, mój Frycu, było najszczerzą prawdą. Nie tylko my, lecz nawet dziatki nasze nie miały innego pokarmu, prócz polewki z kartofli i solonej wołowiny, z kąd wyradzało się mnóstwo niebezpiecznych słabości.

Garnizonowi nie schodziło na niczem. Pomi-mo tego, gubernator fortecy rozkazywał raz po raz ogłaszać, że musi zarządzić powszechną rewizyę w mieście, i że każdy, u kogo nie znajdują podostatkim żywności, będzie sądzony podług całej surowości praw wojennych.

Szczęśliwy, najszczęśliwszy był wtedy, kto jeszcze w kątku piwnicy mógł trzymać krówkę, a miał dla niej trochę siana i słomy: mleka i masła nie można się było dokupić. Szczęśliwy, kto kilka kur przechowywał jeszcze pod piecem: w końcu lutego za świeże jaje płacono po piętnaście sous, a jednak nie można było dostać. Cena świeżego mięsa wzrastała rzec można co godzina, i nie pytano już wcale jakie to było mięso, czy wołowe czy końskie.

Rada wojenna przed oblężeniem fortecy wypędziła z miasta żebraków i ubogich mieszkańców, ale niemało jeszcze pozostało niedostatnich. Wielka liczba tych biedaków przeciskała się w nocy przez galerye do fos; rozkopywali śnieg i dobywali z ziemi korzonki roślin, ści-nali na bastyonach suchą pokrzywę i przyrzędzali opłakaną zieleninę. Szydłwachy niekiedy strzelały do nich z góry, nie wiedząc kto się tam uwija po nocy; ale na cóż się człowiek nie

narazi, kiedy go głód przyciska? Lepiej od razu zginąć od kuli, niż powoli umierać a nie móżdż umrzeć z głodu.

Dość było spojrzeć na te ponure postacie, na niewiasty suwające się koło murów, na dzieci wychudłe jak szczapy, żeby uczuć straszną obecność głodu. Słowa same cisnęły się na usta:

— Jeżeli cesarz nie przybędzie nas wyzwolić, to za miesiąc będziemy tak samo wyglądali jak ci nieszczęśliwi! Co nam pomogą pieniądze, jeżeli za jedną rzodkiewkę przyjdzie płacić sto franków?

Natenczas, Frycu, już się człowiek nie uśmiechał, widząc, jak biedna jego dziatwa żwawo się uwija koło talerzy. Starsi spoglądali tylko na siebie wzrokiem przenikającym aż do głębi duszy, a tego jednego spojrzenia było dosyć dla zrozumienia wspólnego niepokoju.

W takich to okolicznościach rozsądek i zacne serce mężnej niewiasty okazuje się w całej świetności. Nigdy Sara nie wspominała przedemną o naszych zasobach żywności; znałem z doświadczenia jej przeczność i domyślałem się, że prawdopodobnie musimy coś mieć w ukryciu, ale nie byłem zupełnie tego pewien. Gdyśmy tedy według zwyczaju zasiadali do chudej wie-

czy, obawa, że biednej dziatwie zabraknie niezbędnego pożywienia, zmuszała mię niekiedy do odezwania się:

— Jedzcie!... uczujcie!... ja coś nie czuję się głodnym. Dla mnie potrzebaby jajecznicy albo pulardy; kartofle mi nie smakują!

Uśmiechałem się, mówiąc te słowa; lecz Sara biegle umiała odgadywać moje myśli, więc rzekła mi pewnego razu:

— Jedz śmiało, Mojżeszu, jedz! Nie tak źle jeszcze z nami, jak sądzisz; a nawet gdyby coś podobnego się przytrafiło, bądź spokojny o dzieci: znajdziemy sposób wywiniecia się z kłopotu. Póty przynajmniej, dopóki inni będą mieli środki do życia, my także nie poginiemy z głodu.

Te wyrazy podniosły mię z upadku na duchu, i jadłem ze spokojnem sumieniem, bo ufałem rozsądkowi mojej kobiety.

Tegoż samego wieczoru, skoro Zeffen i dzieci udały się na spoczynek, Sara wzięła lampę w rękę i poprowadziła mię do znanej sobie kryjówki.

Mieliśmy pod domem trzy niewielkie, ale bardzo głębokie piwniczki, przedzielone od siebie deskami. Przed ostatniem przepierzeniem moja żona nawaliła wiązek słomy aż do samego skle-

pienia; lecz po odrzuceniu słomy otworzyło się przed nami wejście, i postrzegłem w głębi dwa wory kartofli, wór mąki, baryłeczkę oliwy, a na niej porządną kawał solonego mięsa.

Spędziliśmy tam więcej może niż godzinę na oglądaniu, obliczaniu i rozmyślaniu. Tej żywności w sklepiku mogło nam wystarczyć na miesiąc, a pod ulicą w wielkiej piwnicy, którąśmy pokazali komisarzom wojskowym, było jeszcze na parę tygodni zapasu. Po takim obrachunku Sara rzekła do mnie, wychodząc z piwniczki:

— Widzisz więc, że przy oszczędności wystarczy nam tego na sześć tygodni. Już teraz nie żartem wielki głód się rozpoczyna; jeżeli w ciągu sześciu tygodni cesarz nie nadciągnie z pomocą, miasto musi się poddać. Nim jedno czy drugie nastąpi, trzeba tymczasem przystawać na kartoflach i solonej wołowinie.

Sara miała zupełną słusność, ale codzień widziałem, jak to pożywienie szkodliwe skutki wywierało na dzieci: chudły niebożęta w oczach naszych, szczególnie mały Dawidek. Widząc jego błyszczące oczęta, jego zapadłe policzki, jego posępną twarzączkę, serce mi się krajało ze smutku.

Brałem go na ręce, osypywałem pieścotami, szeptałem do uszka, że na wiosnę pojedziemy do Sawerny, że ojciec jego będzie go woził na przejażdżkę za miasto. Dziecię spoglądało na mnie z roztargnieniem, potem zwieszało główkę na moje ramię, obejmowało mię drobnymi rączkami za szyję i nic nie odpowiadało... W końcu nie chciało już przyjmować pokarmu.

Biedną Zeffen dzień po dniu coraz bardziej opuszczało wytrwanie. Nieraz szlochając brała odemnie dziecko i mówiła, że chce odjechać, że chce oglądać Barucha...

Ty, mój Frycu, nie rozumiesz tych udręczeń, okropniejszych nad wszystko udręczeń ojca nad cierpieniem swych dzieci! Nigdy dziecko nie potrafi ani wyobrazić, ile go miłują rodzice, i jak niewymowne znoszą boleści, kiedy je widzą w nieszczęściu!

Ale co miałem robić w pośród owych wielkich nieszczęśliwości? Mnóstwo innych rodzin we Francji było jeszcze w oplakańszem niż my położeniu.

Tymczasem gdy to się dzieje w domu, po za domem ustawiczne patrole, co wieczór granaty, codzień rekwizycje i ogłaszanie rozporządzeń, ciągly a ciągly apel to w koszarach, to na placu

merowstwa, wśród nocy krzyki: „Gore!“ turkot pomp i beczek z wodą, wprowadzanie parlamentarzystów, pogłoski szerzące się po mieście, że nasze armie w odwrocie, że nasze miasto lada chwila będzie zamienione w kupę gruzów i popiołów!

Im mniej ludzie o czem wiedzą, tem zawzięciej wymyślają niestworzone rzeczy. Lepiej było, gdyby szczerze a po prostu mówiono całą prawdę. Natenczas każdy byłby się zbroił w męstwo, bo zawsze to uważałem, że prawda, nawet w pośród największych nieszczęśliwości, nigdy nie jest tak sztrazną jak wymyśli...

Koniec końców, niepogody, zimno, niedostatek, pogłoski wszelkiego rodzaju zwiększały naszą nędzę. Ludzie najbardziej niezachwianego umysłu, jak naprzykład Burguet, coraz posępniej zwieszali głowy; wszystko, co mogłeś od nich posłyszeć, było tylko:

— Zobaczmy... Trzeba czekać!...

Zbiegowstwo z szeregów znou się rozpoczęło, i dosyć często często rozstrzelowano schwytych nauczynku!

Nasz handel gorzałką szedł wybornie jak przedtem. Rozmieszałem już wodą siedem oksef-tów spirytusu. Wszystkie się moje wydatki zwró-

cily, a miałem pod szopą targową pełniuteńki sklep towaru, w piwnicy zaś wartość osiemna-stu tysięcy franków. Lecz co mi po pienią-dzach, gdy człowiek drzeć musi o życie najuko-chańszych osób?

Dnia 6 marca, około godziny dziewiętej wie-czorem, zasiedliśmy jak zwykle do stołu, a sier-żant z fajeczką w zębach, z założonemi nogami, siedział przy oknie i nic tym razem nie mówił.

Była to właśnie chwila, kiedy się miało we-dle zwyczaju rozpocząć bombardowanie. Jakoż posłyszeliśmy zaraz piewsze wystrzały od strony Fiquet, a wnet potem działo nasze z odwachu ozwało się z odpowiedzią. To nas po trosze obudziło z zamyslenia, w którym wszyscyśmy byli pogrążeni.

— Ojczy Mojżeszu,—rzekł sierżant:—dzieci poblady!

— Widzę, sierżancie,—odrzekłem z wielką boleścią.

Sierżant nic więcej nie powiedział; lecz kiedy Zeffen nie mogła leż powstrzymać i wyszła, żeby się wypłakać na osobności, wziął Dawidka na ręce i długo mu się przypatrywał z uwagą. Sara trzymała na ręku śpiącego Ezdraszka, a Safel

zdejnował ze stołu obrusek i składał serwety, żeby schować wszystko do szafy.

— Tak, ojcie Mojżeszu, — rzekł znowu sierżant: — potrzeba się mieć na ostrożności; pogadamy o tem później.

Spojrzałem na niego zdziwiony i przestraszony. On powoli wytrząsł popiół z fajeczki nad kominkiem i wyszedł, dając mi znak, abym za nim się udał. Zeffen wróciła do izby; ja wziąłem od niej świecę i poszedłem za sierżantem do jego izdebki w samym końcu korytarza. Gdyśmy weszli, sierżant mocno przytknął drzwi, usiadł przy łóżku i rzekł do mnie:

— Ojcie Mojżeszu, nie trzeba się lękać... ale tyfus właśnie wybuchnął na nowo w mieście. Dziś rano przywieziono do szpitala pięciu żołnierzy; gubernator fortecy, Moulin, zachorował... mówią także o jednej kobiecie i troju dzieci...

Mówiąc to patrzył mi w oczy, a mnie zimno przechodziło po ciele.

— Tak, — rzekł: — ta choroba... znam ją od dawna... spotykaliśmy się z nią na wyprawach... pochodzi nadewszystko ze złego pożywienia...

Nie mogłem się powstrzymać i w głos poczęłem szlochać.

— Al mój Boże! — zawołałem: — cóż chcecie, żebym robił?... Gdybym mógł życiem swoim okupić życie moich dzieci, wszystko byłoby dobre. Ale cóż ja nieszczęśliwy mam począć?

— Jutro, ojcie Mojżeszu — odrzekł sierżant, — przyniosę wam swój bon na mięso, żebyście zgotowali świeżego rosółu dla dzieci. Pani Sara będzie mogła wymienić w szlachtuzie kwitek na mięso, albo jeżeli chcecie, ja sam to zrobię. Przyjmiecie odemnie, ojcie Mojżeszu, wszystkie bony na świeże mięso aż do końca obłężenia.

Tak mi swoją szlachetną przystupę w prostych wyrazach ofiarował nasz sierżant; a ja go słuchając, do tyła byłem wzruszony, że pochwyciłem go za rękę, wołając:

— Zaczny z was człowiek, sierżancie! Przebaczcie mi, że niedobrze o was myślałem!

— Cóż tam myśleliście o mnie? — rzekł marszcząc brwi surowo.

— A z powodu tego landwerzysty z pod Tuilerie...

— Ha! dobrze... to co innego... wszystko mi jedno!... Gdybyście wiedzieli o wszystkich kai-

zerlikach włoskich, hiszpańskich, niemieckich, których przez lat dwadzieścia położyłem, mogliście jeszcze gorzej o mnie pomyśleć... Ale nie o to idzie... Więc zgadzacie się, ojcze Mojżesz?

— A wy sierżancie — rzekłem, — cóż wy sami jeść będziecie?

— Bądźcie spokojni o mnie; jeszcze sierżantowi Trubertowi nigdy niczego nie brakło!...

A gdy mu chciałem dziękować, zawołał:

— No, no! dobrze... to się rozumie, ojcze Mojżesz! Nie mogę dać wam ani szczupaka, ani tłustej gąski, nie mogę; ale przy obłężeniu miasta, dobra zupa także coś warta.

Śmiejąc się, ścisnął mię za rękę. Ja byłem wzruszony do głębi, a oczy moje napełniły się łzami.

— No! a teraz dobranoc! — rzekł odprowadzając mię ku drzwiom: — wszystko będzie dobrze. Powiedzcie pani Sarze, że wszystko będzie dobrze.

Wyszedłem, osypując tego człowieka błogosławieństwami.

Powróciwszy, zaraz wszystko opowiedziałem Sarze, którą jeszcze więcej niż mnie wzruszył

ten postępek sierżanta. Nie mogliśmy odrzucić jego ofiary: wszak to zrobiono dla dzieci! a już od tygodnia prócz końskiego mięsa nic nie było u rzeźników!

Nazajutrz tedy mieliśmy świeże mięso do rosołu dla naszej biednej dziatwy. Ale okrutna niemoc, Frycu, już była weszła pod naszą strzechę... Po tylu latach, dziś jeszcze gdy o tem pomyślę, serce mi pęka z bólu... Jednakże nie sobie nie mam do wyrzucenia: przed pójściem do jatek z bonem sierżanta, wprzód zasięgnąłem rady starego naszego rebe, co mówi prawo o przymiotach tego mięsa? On zaś mi odpowiedział:

— Najwyższem prawem jest ocalenie Izraela, a jakże ocalonym być może Izrael, jeżeli jego dzieci wyginą?

Ale w późniejszym czasie, inne prawo co do tego stanęło mi w pamięci:

„Dusza wszelkiego ciała we krwi jest; przeto rzekł synom Izraelowym: krwi wszelkiego ciała jeść nie będziecie, bo dusza ciała we krwi jest; a ktokolwiekby ją jadł, zginie. Dusza, coby jadła zdechlinę, albo co uchwyconego od bestyj, tak z obywatelów, jak i z przychodniów, omyje szaty swe i sam siebie wodą, i nieczysty

będzie aż do wieczora, i tym porządkiem stanie się czystym. Lecz jeśli nie omyje szat swych i ciała, poniesie nieprawość swoją“.

W wielkiem utrapieniu ducha mojego, słowa Przedwiecznego stanęły mi w pamięci, i płakałem.

Wszystkie owe bydłeta już od sześciu tygodni były chore, bo stały w błocie, na śniegu i wietrze, w otwartej zagrodzie między bastyonami arsenału a piekarnią wojskową. Żołnierze, którzy niemal wszyscy byli synami rolników, powinni byli przecież rozumieć, że bydłeta nie mogą tak żyć pod gołym niebem, na chłódzie i słońcu; nie łatwiejszego nie było, niż sporządzić tymczasowe schronienie dla tej naszędzanej z wiosek zdobywszy. Ale skoro dowódcy wszystko biorą na siebie, to już podwładni o niczem nie myślą; zapominają nawet swojego wiejskiego rzemiosła. Więc jeżeli nieszczęściem naczelnik nie wyda rozporządzenia, to już nic się i nie zrobi.

Oto dla czego owo bydełko napół już było zdechliną; nie miało ani mięsa, ani łożu, tylko skórę a kości; trzęsło się z wynędznienia i chorób. Oto dla czego schorzałe mięso jego było

niezdrowe, a nieczyste według rozkazania bożkiego.

Wielu żołnierzy z tego umarło. Wiatr pędził do miasta zaraźliwe wyziewy z trupów, które nie pogrzebane secinami leżały pod Tuilerie, pod folwarkiem Ozillo i po ogrodach, i to również przyczyniało się do spotęgowania chorób.

Palec sprawiedliwości Wszechmocnego daje się widzieć we wszystkim: skoro żyjący zaniedbują swych obowiązków względem umarłych, sami giną!

Wszystkie te rzeczy przysły mi na myśl zbyt późno, i dla tego z goryczą rozpamiętywać je muszę.

XVIII.

Największem dziś dla mnie udręczeniem, Frycu, jest przypomnienie, w jaki sposób straszliwy niemoc zjawiła się w naszym domu.

Dnia 12 marca ludzie jak w bęben bili, że wielka liczba mężczyzn, kobiet i dzieci umiera w mieście z tyfusu. Strach było słuchać takich rzeczy; mówiliśmy do siebie:

— W naszym domu nie ma chorych, Przedwieczny czuwa nad nami!

Po wieczerzy wziąłem Dawidka na ręce; niebożátko położyło drobne rączęta na moich ramiach i siedziało nieruchome. Przypatrywałem mu się z rozrzewnieniem; wyglądało jakby znużone i senne, lecz dzieci zawsze sen morzy w nocy. Ezdraszek już spał na ręku, a Safel oddawał nam dobranoc i gotował się do łóżka.

Nareszcie Zeffen wzięła dziecko i wszyscyśmy się udali na spoczynek.

Tej nocy nieprzyjacieli nie strzelał do miasta; może i tam panował już tyfus, tego nie wiem.

Spaliśmy tedy dzięki Najwyższemu spokojnie. Gdy oto koło północy straszliwy krzyk przeraził moje uszy.

Słucham... a Sara rzecze do mnie:

— To Zeffen!

Porwałem się natychmiast z łóżka, chciałem zapalić lampę, ale tak byłem pomieszany, że nie znaleźć nie mogłem.

Sara zapaliła świecę, ja wzięłem pantofle i pobiegłem ku drzwiom. Lecz zaledwo się wychyliłem na korytarz, Zeffen, jak obłąkana, z rozpuszczonym wielkim czarnym warkoczem, wybiegła z izby, krzycząc:

— Dziecko!...

Sara szła za mną. Wchodzimy, nachylamy się nad kolebką. Dwoje dzieci spoczywało jedno przy drugim, i wydawało się, że śpią: Ezdrasz był rumiany jak jabłuszko, Dawid biały jak płótno.

Z początku, pod wpływem wzruszenia nic nie widziałem; ale następnie wziąłem Dawidka na ręce, żeby go zbudzić, wstrząsałem nim, wołając:

— Dawid!

I wtedyśmy dopiero postrzegli, że dziecko miało powieki otwarte i oczy w ślup wywrócone... Zeffen krzyczała:

— Budźcie go!... Budźcie!...

Sara, chwytając z rąk moich małego, rzekła:

— Daj mnie!... Rozniec ogień... zagrzej wody!

Położyliśmy dziecko na łóżku, wstrząsając niem i wołając po imieniu. Ezdraszek rozbudził się od krzyku i płakał w kolebce.

— Rozniec ogień!—ozwała się powtórnie do mnie Sara.—A ty, Zeffen—rzekła do córki,—uspokój się trochę! te krzyki nie nie pomogą... Prędko, prędko... ognia!

Ale Zeffen nie przestawała krzyczeć rozdierającym głosem:

— O! moje biedne niebożátko!

— Zaraz się rozgrzeje — rzekła Sara; — tylko ty, Mojżeszu, ubieraj się co żywo i biegnij do doktora Steinbrennera.

Była bledsza od nas i bardziej niż my przerażona; lecz rozsądek i odwaga nigdy nie opuszczały tej mężnej niewiasty. Natychmiast rozłożyła ogień, i wiązka chróstu buchnęła płomieniem na kominku.

Pobiegłem narzucić opończę i wyszedłem na ulicę trapiiony jedną myślą:

— Oby Pan zmiłował się nad nami!... Jeżeli mały umrze, ja go nie przeżyję... Niel... jego to właśnie kocham najwięcej... nie potrafię go przeżyć...

Bo wiedzieć musisz, Frycu, że najniebezpieczniejsze z naszych dzieci, najbardziej narażone na niebezpieczeństwo, zawsze bywa najukochańsze dla nas, najniezbędniejsze dla osłody naszego życia, gdyż natenczas zapominamy o innych! Tak Przedwieczny postanowił, i pewno mądrość Jego uradziła to dla tem większego dobra.

Biegłem ulicą, ile mi tchu starczyło w pierśsiach.

Nikt jeszcze z ludzi nie widział tak ponurej nocy: wiatr gwałtowny dął od Renu, zamieć była tak wielka, że mimowoli zamykać musiałeś

oczy. Światełka tu i owdzie błyszczące w oknach, wskazywały, że tam czuwano przy chorych.

Pędziłem bez czapki, a zimna wcale nie czułem. Wołałem w duchu:

— Przyszedł nasz dzień ostateczny!... ów dzień, o którym Wiekuisty powiedział: „Zarazone będzie jako winnica w piewsem kwieciu grono jego, i jako oliwa rzucająca kwiat swój... Płomień ususzy gałęzie jego, i zniesion będzie duchem ust jego“...

Owładnięty temi przerażającymi myślami, przebiegałem Wielką ulicę, a wiatr wstrząsał i ugiął przedemną stare wiązki obciążone szadzią.

Punkt o pierwszej na miejskim zegarze, stanąłem przed bramą starego Steinbrennera. Uchyliłem ciężkich drzwi na skrzypiącym kołowrocie, i zacząłem po omacku szukać schodów. Posłyszawszy w sieni na dole szelest, służąca ukazała się na schodach ze światłem w ręku.

— Kto tam? — zawołała, zniżając latarnię.

— Ach! — odrzekłem: — niech pan doktor prędko przyjdzie... u nas chore dziecko... bardzo chore!

I nie mogąc wytrzymać, zaszlochałem.

— Wejdźcie, panie Mojżesz, — powiedziała mi poczciwa dziewczyna; — pan tylko co powrócił, jeszcze się nie położył. Wejdźcie na chwilkę, ogrzejcie się nieco.

Lecz stary Steinbrenner już wszystko rozumiał.

— Dobrze, Tereso, dobrze mówisz, ale nie ma czasu! — rzekł wychodząc z mieszkania, a miał już na głowie wielki stosowany kapelusz, i owinięty był w opończę z koziej sierści. — Postaraj się, żeby ogień palił się na kominie; najdalej za godzinę powrócę.

Szliśmy przez miasto, nie mówiąc do siebie ani słowa. Ja biegłem przodem, i w kilka minut już byliśmy na schodach naszego domu.

Sara zawczasu postawiła była na schodach świecę; wziąłem ją w rękę i poprowadziłem pana Steinbrennera do izby, w której leżało dziecko.

Gdyśmy weszli, wszystko wydawało się spokojniejszym niż z początku. Zeffen, z głową zwieszoną, z obnażonymi ramionami, siedziała pochylona na krześle przed nami, i nie jęczała już, ale po cichu płakała. Dziecko leżało na łóżku. Sara stała na uboczu i przenikała nas wejrzeniem.

Doktor położył swój kapelusz na komodzie i rzekł:

— Tu za gorąco, wpuszcicie trochę świeżego powietrza.

Potem przybliżył się do łóżka. Zeffen blada jak trup, wstała z siedzenia. Doktor wziął lampę ze stołu i zaczął się przyglądać naszemu biednemu Dawidkowi; podniósł okrycie i odsłonił jego drobne nóżka, nie wycieńczone jeszcze brakiem pożywienia; nadstawiał ucha dla pochwycenia oddechu. Tymczasem jak na to znowu Ezdrasz płakać poczyna; doktor się odwrócił i rzekł:

— Wynieście tamto dziecko z tego pokoju... mnie tu potrzeba ciszy... a do tego wyziewy chorych mogą szkodzić tak drobnym chłopiętom.

To mówiąc, ukradkiem spojrział na mnie. Zrozumiałem co chciał powiedzieć: — To był tyfus!... Spojrzałem na swoją kobietę... ona także rozumiała znaczenie słów doktora.

Sądziłem, że serce moje potarga się w kawały. Jęki same wyrwały się z piersi; ale Zeffen stała po za nami, więc musiałem nakazać sobie milczenie, co również uczyniła Sara.

Doktor zażądał papieru i pióra dla napisania recepty, i wyszliśmy z nim razem. Zaprowadziłem go do naszego pokoju, i zamknąwszy drzwi, poczęłem jęczeć i płakać.

Doktor rzekł do mnie:

— Panie Mojżeszu, jesteś mężczyzną, zaprzestań tego płaczu. Pamiętaj, że powinienes dawać przykład mężstwa nieszczęśliwym niewiastom.

A ja zapytałem go po cichu, gdyż obawiałem się, żeby nas nie dosłyszano:

— Więc nie ma żadnej nadziei?

— Tyfus — odpowiedział mi doktor. — Ale zrobimy wszystko co można. Zaczekaj pan... Oto recepta. Idź pan do Tribolin'a; jego pomocnik czuwa teraz po całych nocach; da panu zaraz to lekarstwo. Spiesz pan! A przytem, na miłość bożką, wynieście drugie dziecko z tamtej izby; jeżeli zaś można, to niech i córka pańska zamtąd się wyprowadzi. Postarajcie się znaleźć do pilnowania chorego dziecka osobę obcą, oswojoną z chodzeniem koło chorych i z chorobami: tyfus jest zaraźliwy!

Nie wiedziałem co powiedzieć i milczałem.

On wziął kapelusz i wyszedł.

Cóż ci mam więcej powiedzieć? Tyfus jest chorobą spłodzoną w cieniach śmierci samej; o niej to mówiąc prorok woła: „Grób ze spodka ruszył się na spotkanie prrzyjścia twego“...

Ach! iluż to widziałem umierających z tyfusu w naszych szpitalach przy ulicy Sawerneckiej i w innych miejscach!

Gdy ludzie wzajemnie wytępiają się bez litości, czemużby śmierć nie miała przychodzić im z pomocą? Ale cóż złego uczyniło to biedne dziecko, żeby tak przedwcześnie miało schodzić do grobu! Oto, mój Frycu, co powinno przemawiać nas drżeniem: za grzechy niektórych wszyscy pokutować muszą. Kiedy rozpamiętywam śmierć mego dziecięcia od zarazy, którą wojna z cudzych krajów przyniosła, a która przez sześć miesięcy z końca w koniec pustoszyła całą Alzację i Lotaryngię, to zamiast obwiniać Przedwiecznego, jak czynią bezbożnicy, obwiniam o tę klęskę ludzi. Czyż Pan Bóg nie dał im rozumu? Więc jeżeli się nie rządzą rozumem, jeżeli dla błahych pobudek poziomym namiętnościom panowanie nad sobą oddają, czyż Przedwieczny jest tego przyczyną?

Ale co za użytek z prawd najniezawodniejszych dla człowieka szarpanego udęczeniem?

Przypominam sobie, że choroba przez sześć dni się ciągnęła, a były to dni najokropniejsze w mojem życiu. Drżałem o życie żony, córki, Safela, Ezdrasza. Siadywałem w kąciку i przysłuchiwałem się ciężkiemu oddechowi chorego. Niekiedy się zdawało, że oddech zupełnie ustawał. Wtedy dreszcz mię całego przenikał; zbliżałem się, nadstawałem ucha. A gdy przypadkiem Zeffen czasem wchodziła do izby mimo zakazu doktora, wściekłość mię jakaś porywała na ten widok; drżącemi rękami wypychałem ją za drzwi.

Ona mi powtarzała:

— Ależ to moje dziecko!... moje dziecko!...

Ja zaś odpowiadałem jej na to:

— A ty! czyż ty nie jesteś mojem dzieckiem?... Nie chcę, nie pozwolę, żebyście wszyscy razem pomarli!

Po takim wysiłku zalewałem się łzami, i bezwładnie padałem na krzesło, i bezmyślnie patrzyłem przed siebie; boleść wyczerpywała wszystkie moje siły.

Sara to przychodziła, to wychodziła z komnaty, milcząca, z zaciśniętymi ustami; ona sama przygotowywała rzecz każdą, sama jedna o wszystkim myślała.

W owe czasy piżmo uchodziło za lekarstwo od tyfusu: dom cały przesiąkły był wonią piżma. Nieraz napastowała mię myśl, że Ezdraszek wkrótce również zachoruje, i nie mogłem się pozbyć tej myśli. Ach! jeżeli największem uszczęśliwieniem człowieka na tym świecie są dzieci, co za boleść niewysłowiona patrzeć na nie gdy cierpią! co za trwoga na myśl o ich utraciel... Być przy nich, słyszeć ich przyspieszony oddech, widzieć ich nieprzytomność, co godzina, co minuta postrzegać znikanie ich życia, i wołać tylko w głębi duszy:

— Zgon się przybliżał... Nie ma już środka... zgoła nic nie ma na świecie, co by cię mogło uratować, moje dziecię! Życia mojego oddać tobie nie mogę... śmierć tego nie chce!

Co za udręczenie, co za katusze aż do ostatniej chwili, kiedy już wszystko oniemieje!...

Natenczas, Frycu, pieniądze, obłężenie, głód, spustoszenie powszechne, wszystko człek puszcza mimo oczu i uszu. Zaledwie uważałem, że sierżant codzień rano uchylał drzwi do naszego mieszkania, wsuwał głowę i pytał:

— Jakże, ojcze Mojżeszcu? jakże tam?...

Nie wiem co jeszcze mówił do nas: nie zwracałem na to uwagi.

Ale co jednak z radością wspominam, co mię zawsze napelnia dumą, to znalezienie się Sa-felka. Gdy w niewymownem utrapieniu, Sara, Zeffen i ja, słowem wszyscy w domu potraci-liśmy głowy, zapomnieliśmy o interesach, pu-ściliśmy wszystko na przepade, on tejże chwili wziął w ręce kierunek handlu. Słyszeliśmy co rano, jak wstawał o godzinie szóstej, schodził na dół, otwierał sklepik, stawiał na szynkwasię jeden lub dwa dzbany gorzałki i rozpoczął sprzedaż.

Nikt mu o tem ani napomknął, ale Safel był już stworzony do handlu. Jeżeli jest jakakol-wiek rzecz na świecie, co może pocieszyć ojca dotkniętego takim jak moje nieszczęściem, to zaprawdę jest nią widok odrodzenia się pod pewnym względem w tak młodzieuchnem jesz-cze pacholęciu, poznanie w niem siebie samego i możliwość pomyślenia: „Przecież dobre plemię nie zaginęło; utrzymuje się ciągle dla przecho-wania [zdrówego rozsądku na tym świecie!“ Tak! jedyna to pociecha dla człowieka znieka-nego nieszczęściem.

Nasza szabes-goje krzątała się około kuchni, a stara Lanche wyręczała nas po trosze w czu-waniu przy chorym, lecz handel wyłącznie na

Safelu spoczywał; jego matka i ja nie myśle-liśmy o niczem, tylko o biednym Dawidku.

Niebożatko umarło 18 marca, w ten sam dzień, kiedy pożar wybuchnął w domu kapita-na Cabaniera.

Tejże nocy dwa granaty spadły na nasz dom, nie potrafiły przebić blindażu, stoczyły się na dziedziniec i tam obadwa pękły; potłukły nam okna w praczkarni, a w drwalni wysadziły wro-ta, które w mgaieniu oka runęły z przerażają-cym łoskotem.

Tej nocy z 18 na 19 marca Falcburg wy-trzymał największe bombardowanie, jakiego ani przedtem ani potem nie było podczas całego oblężenia. Od pierwszego wystrzału baterye nieprzyjacielskie dawały jednocześnie ognia ze wzgórzy za Mittelbronnem, z wyżyn Baraków i z głębi Figuet, ażeby przeszkodzić ludziom skupić się w jednym miejscu dla zdławienia pożaru.

Przez cały ten czas siedziałem z Sarą przy dziecku; warczenie i pękanie granatów nie ob-chodziło nas wcale. W nieszczęściu przywią-zanie do życia drętwieje!... A przytem dziecko okropnie źle się miało... na całym jego ciałku wystąpiły sine plamy...

Zbliżała się ostatnia godzina!

Chodziłem wzdłuż i poprzek po izbie. Na mieście raz po raz odzywały się wykrzyki:

— Gore!... Gore!... Ratunku!...

Ludzie jak potok płynęli przez ulicę pod naszymi oknami. Słyszeliśmy, jak niektórzy przylatywali z miejsca pożaru, opowiadali co zaszło, nadbiegano z pompami, żołnierze ustawiali zgromadzonych w szeregi do podawania wody, granaty trzaskały na lewo i na prawo.

Przed naszymi oknami wznosiła się po nad dachy przeciwległej części miasta długa smuga czerwonej łuny; szyby w oknach trzęsy się bez ustanku. Artyleria nasza odpowiadała nieprzyjacielowi na raz ze wszystkich bastyonów dookoła miasta.

Kiedy niekiedy rozlegały się urywane wykrzyki na ulicy:

— Ustąpcie!... Ustąpcie!...

Torowano wśród tłumu drogę dla rannych niesionych do szpitali...

Dwa razy kilku żołnierzy wchodziło aż do naszej komnaty, żeby mię zabrać i postawić w szeregu do podawania wody; ale widząc siedzącego z Sarą przy konającym dziecku, nie nalegali i wychodzili bezemnie.

Pierwszy granat wybuchnął w naszym domu około godziny jedenastej w nocy, drugi o czwartej rano. Cały dom wstrząsał się od poddasza aż do piwnicy: posadzka, łóżko, sprzęty podskakiwały wznoszone niewidomą mocą; ale wyścieńczeni na siłach i pogrążeni w rozpacz nie wymówiliśmy ani słowa.

Po pierwszym wybuchu granata w podwórzu, Zeffen wpadła do izby z Ezdraszkiem na rękę, Safel wbiegł za nią. Widać już było, że Dawid lada chwila wypuści ostatnie technienie. Staruszka Lanche i Sara szlochały, siedząc przy łóżku. Zeffen poczęła krzyżeć i łamać ręce.

Pootwierałem na oścież wszystkie okna, by wpuścić świeżego powietrza, a dym z prochu po całym unoszący się mieście, napełnił izbę.

Safel zaledwo spojrział na chorego Dawidka, zrozumiał od razu, że ostatnia się chwila przybliża. Rzuciłem tylko znacząco okiem, a wnet odgadł co chciałem powiedzieć. Wyszedł, i pomimo ścisku na mieście, wkrótce powrócił boczną uliczką, prowadząc z sobą kantora Kalmesa, który zaraz przystąpił do powolnego odmawiania modlitwy za konających:

„Wiekuisty króluje... Wiekuisty królował...
Wiekuisty królować będzie na wieki wieków!

„Niech pochwalone będzie imię wspaniałego królestwa Jego na wieki wieków!

„Wiekuiesty jest Bogiem! Wiekuiesty jest Bogiem! Wiekuiesty jest Bogiem!

„Słuchaj Izraelu, Wiekuiesty Bóg twój, Wiekuiesty jest Jedyny.

„Idź więc dokąd Pan cię przyzywa... idź, i niech miłosierdzie Jego będzie nad tobą!

„Oby Wiekuiesty Bóg nasz był z tobą! oby Jego aniołowie nieśmiertelni powiedli cię do nieba! i oby sprawiedliwi się ucieszyli, gdy Pan cię przyjmie na swoje łono!

„Boże wielkiego miłosierdzia, przyjmij tę duszę do wiecznej radości!“

Ja i Sara powtarzaliśmy z płaczem te święte słowa. Zeffen, jak nieżywa, padła na łóżko z wyciągniętymi rękami u stóp swojego dziecięcia. Brat jej Safel stał po za nią, i płacząc gorącymi łzami, cucił ją po cichu:

— Zeffen!... Zeffen!...

Ale ona go nie słyszała; dusza jej pogrążona była w wielkiej bez granic boleści.

Na mieście tymczasem krzyki: „Gore!“ donośna komenda straży ogniowej, zgiełk tłumu, grzmot kanonady nie ustawał. Błyski wystrzałów raz po raz rozdzierały ciemności nocy.

Och! co za noc była, Frycu! co za noc opłakana!

Nagle Safel uchylił firanki osłaniającej chorego, i ledwo spojrział, odwrócił się z wyrazem przerażenia na twarzy. Myśmy podbiegli z żoną, i postrześliśmy, że dziecko rozstawało się z życiem. Wzniesiliśmy ręce ku niebu i wybuchnęli płaczem. Kantor przestał odmawiać modlitwę... Nasz Dawid już nie żył!

Straszniejszy nad wszystko był nadprzyrodzony krzyk matki! Zeffen leżała jak bez pamięci, ale gdy kantor schylił się nad umarłym i zamknąwszy jego oczęta i usta, wymówił: „Amen!“ zerwała się, pochwyciła małego na ręce, spojrzała, i wznosząc go w górę, rzuciła się ku drzwiom, wołając rozdzierającym głosem:

— Baruchu! Baruchu! ratuj swe dziecię!

Ona była w przystępie obłąkania, mój Frycu! Wśród tego nieskończonego przerażenia, zdobyłem się na siły, wstrzymałem ją we drzwiach, gwałtem z rąk jej wydarłem ciało dziecięcia, które sama nie wiedząc co robi, usiłowała unieść. Wnet Sara z nieustannym jękiem i płaczem ujęła ją w swoje ramiona; matka Lanche, kantor, Safel otoczyli ją i wyprowadzili z komnaty.

Zostałem sam jeden, i posłyszałem kroki schodzących na dół: córkę moją wyprowadzano z domu!

Jak człowiek może przenieść tak wielkie bóleści, Bogu tylko jednemu wiadomo!

Położyłem Dawidka znowu na łóżku i przykryłem, ponieważ okna były otwarte w izbie. Wiedziałem o tem, że nie żyje, ale mnie się zdawało, że mogło mu być zimno! Pohamowałem łzy i patrzyłem nań długo, długo... ażeby zachować w sercu jego śliczne oblicze.

Wszystko się rozrywało w mych piersiach!... wszystko!... Czułem jak ręka niewidoma wydierała mi wnętrzności, i w szaleństwie mojem złorzeczyłem Przedwiecznemu. Mówiłem do Niego:

— „Jam mąż widzący ubóstwo moje w różdzie zagniewania twego. Zaprawdę, Tyś się na mnie obrócił i obracasz rękę swą przez wszystkie dzień. Starą uczyniłeś skórę moją i ciało moje, połamałeś kości moje. W ciemnościach posadziłeś mię jako umarłe wieczne. Nawet gdy wołam i proszę, odrzucasz modlitwę moją. Stałeś mi się niedźwiedziem zasadzonym, lwem na skrytych miejscach!“

Tak suwałem się po komnacie, wzdychając i jęcząc, a nawet bluźniąc Panu. Ale Bóg miłosierny przebaczył mi; On wiedział, że to nie ja, lecz rozpacz ze mnie mówiła.

Nareszcie usiadłem. Domowi powrócili... Sara usiadła przy mnie i milczała. Safel rzekł do mnie:

— Zeffen z Ezdraszem u rebbe.

Nic na to nie odpowiedziałem, i nakryłem głowę.

Następnie, gdy kilka kobiet weszło razem ze starą Lanche, wziąłem Sarę i wyszliśmy do wielkiego pokoju, nie mówiąc do siebie ani słowa.

Na widok tej izby, w której dwaj braciszkowicie tak długo się bawili pospołu, łzy mi znowu strumieniem potoczyły się z oczu, i wszyscyśmy razem płakali, Sara, Safel i ja...

Dom napełnił się przychodzącymi z miasta; była już może godzina ósma, i wiedziano już na mieście, żeśmy stracili dziecię.

XIX.

Zaczęto, mój Frycu, przygotowania do pogrzebu...

Podług rozporządzenia władzy, wszystkich umierających z tyfusu należało tegoż samego dnia złożyć do grobu. Chrześcian chowano za kościołem, a Żydów w fosach warowni, tam gdzie teraz ujeżdżalnia.

Właśnie stare kobiety nadeszły, aby się zając przygotowaniem pogrzebu. Jedne z nich umywały biedne nasze niebożątka, zaczesywały mu włoski, obcinały paznokcie według rozkazania Pańskiego; inne tymczasem zszywały grobowe prześcieradło.

Przez otwarte okno wiatr wpadał strumieniem; okiennice stukały o ściany. Bedel synagogi, czyli po naszymu „szames“, chodził po ulicach i młotkiem uderzał we drzwi domów żydowskich, wzywając, aby się bracia nasi zgromadzili...

Sara z głową przykrytą siedziała na ziemi. Ja posłyszawszy, że Desmaretz idzie do nas na górę, miałem jeszcze tyle męstwa, że wyszedłem na jego spotkanie i pokazałem mu izbę zmarłego. Biedny aniołek leżał już w śmiertelnej swojej koszulce na podłodze, mając pod głową trochę słomy, a w ręku mały „thaleth“. Wyglądał znowu tak pięknie przy swoich ciemnych włoskach i z przemkniętymi usteczkami, że spojrzawszy nań, pomyślałem:

— Podobało się Przedwiecznemu mieć cię przy swoim tronie!

I ciche łzy toczyły mi się po twarzy; całą brodę miałem zroszoną łzami.

Desmaretz wziął miarę z dziecka i wyszedł. W pół godziny powrócił z małą jodłową trumienką pod pachą, i dom znowu napenił się jęczeniem.

Sił mi nie starczyło na patrzanie, jak przybijano wieko trumienki. Wyszedłem i usiadłem na worku popiołu, kryjąc twarz w dłoniach i wołając jak patriarcha Jakób:

— Zaprawdę, zstąpię do dziecka mego płacząc do grobu... Nie przeżyję go...

Braci naszych bardzo niewielu przybyło na pogrzeb, gdyż popłoch panował w mieście. Wiedziano, że anioł śmierci przelatuje i krew gęstymi kroplami spada na domy nasze z jego miecza. Każdy wylewał na próg wodę ze dzbanka swego i co żywo powracał nazad. Wszelako najlepsi z braci przyszli w milczeniu; a wieczorem należało wyprowadzić ciało i zejść do fosy przez galeryę...

Sam ja tylko jeden z rodziny—ani Sara, ani Zeffen nie miały sił podążyć za mną,—sam jeden z rodziny byłem przy grobie i rzuciłem

garść ziemi na trumienkę... Siły mię całkowicie odbiegły; musiano mię odprowadzić do domu. Sierżant mię wspierał swoim ramieniem; coś do mnie mówił, ale nic nie słyszałem: byłem zupełnie jak nieżywy.

Z reszty tego dnia okropnego już tylko jedną przypominam okoliczność. Zaledwo wróciłem do domu i usiadłem na worku popiołu przed zimnym kominkiem, bez obuwia na nogach, z głową pochyloną, myślą błakającą się w otchłaniach, szames przybliżył się ku mnie, dotknął mojego ramienia i kazał mi powstać; a gdy się podniosłem, wy dobył nóż z kieszeni, rozciął na mnie szatę i rozdarł aż do dołu. Był to już cios ostatni i najstraszniejszy ze wszystkich. Padłem znowu na worek i szeptałem z Hiobem:

— „Niech zginie dzień, któremu się urodził, i noc, w którą rzeczono: Począł się człowiek! Niech go zaćmią ciemności i cień śmierci; niech go osiędzie mrok, a niech będzie ogarnion gorzkością! Noc onę ciemny wichur niech osiędzie; niech nie idzie w liczbę dni rocznych i niech nie będzie policzona w miesiącach! Albowiem żaloba wielka nie jest owa, która schodzi z ojca na dziecię, lecz która wschodzi z dziecięcia na ojca. Czemużem w żywocie nie umarł?

wyszedłszy z żywota wnet nie zginął? Przecz przyjęty na kolana? czemu karmiony piersiami? Teraz bowiem śpiąc mileżałbym i odpoczywałbym snem moim.“

I boleść moja, Frycu, granic nie miała; wolałem:

— Co powie Baruch i co mu odpowiem, gdy zażąda, abym powrócił mu dziecię?

Handel nie obchodził mię zgoła. Zeffen mieszkała u starego rebbe. Sara po całych dniach przesiadywała przy niej, pielęgnując Ezdraszka i pocieszając niebogę.

Drzwi i okna w domu naszym stały otworem. Szabes-goje wykadzała mieszkanie cukrem i pieprzem tureckim, a wiatr niebieski dostawał się wszędzie i oczyszczał powietrze... Safel trudnił się sprzedażą.

Ja siedząc rankiem przed kominem, gotowałem sobie nieco kartofli, pożywałem je z odrobiną soli, a potem wychodziłem, zapominając o wszystkim jako człowiek złamany niedolą. Błakałem się to w prawo, to w lewo, wybierając najustronniejsze zakątki miasta; chodziłem koło wałów i opuszczonych koszar żandarmeryi.

Widok ludzi niezdolnym był dla mnie, zwłaszcza tych, którzy znali dziecko...

W on czas to wielka nędzą dotykała już wszystkich; w on czas to głód, zimno, wszelkiego rodzaju niemoce przytłaczały miasto; w on czas to wędły i schły oblicza, i widziałeś na pół nagie a drżące kobiety i dzieci, włóczące się w ciemności po bezludnych uliczkach...

Ach! owe wielkie nieszczęścia już nie powrócą, nie mogą powrócić więcej. Wyszliśmy z owych wojen pełnych obrzydliwości, trwających przez lat dwadzieścia, kiedy wielkie drogi były ubite nogami setki tysięcy przechodni, a drożyny poboczne wyglądały jak brudne łożyska ścieków, kiedy grunta leżały odłogiem dla braku robotników, a domy waliły się dla braku mieszkańców, kiedy ubodzy chodzili boso, a bogacze w drewnianych chodakach, kiedy wspianego konia widziałeś tylko pod wyższym oficerem... Tegoby ludzie dzisiejsi nie wytrzymali!

Ale wszystko było zniszczone w kraju; mieszczanstwo i lud wiejski były niczem; rozumiano tylko panowanie siły. Jeżeli ktośkolwiek powiedział:

— Jest przecież na świecie sprawiedliwość, prawo, prawda!

Ludzie ci odpowiadali z uśmiechem:

— Nie rozumiem co gadasz!

I uchodził za człowieka rozumnego, za męża doświadczonego, kto umiał swego dopinać nie przebierając w środkach.

Patrzałem na te rzeczy, nie myśląc o nich w ciężkiem strapieniu mojem; ale później wspomnienie ich powróciło do mnie. Wszyscy ci, którzy jeszcze pozostali, mogą to również przywołać na pamięć.

Pewnego ranka poszedłem pod szopę targową, iżby się przypatrzeć sprzedaży mięsa nędzarzom. Zabijano podówczas konie Rouge-Colasa, tudzież konie żandarmów, równie wychudłe i dotknięte niemocami jak owo bydelko w fosach fortecznych, a sprzedawano obmierzłe mięso nadzwyczaj drogo.

Patrzałem na prawdziwe mrowisko wychudłych, wiekiem i nędzą starganych kobiet, na mieszczan z oczami zapadłymi, z dzikim lub osłupiałym wyrazem twarzy. Wszyscy się tłoczyli koło stolnicy Franka Sapela, który każdemu wydzielał po kawałku ścierwa.

Spasłe psy Franka już się nie uwijały koło jatek, polykając odpadki i oblizując się po smacznych kąskach. Kościste palce staruszek, osadzone na wychudłych piszczelach, wyciągały

się, aby porwać wszelką odrobinę; słabe głosy odzywały się błagalnie:

— Jeszcze troszeczkę wątroby panie Franciszku! Jeszcze troszeczkę na przykładkę!

Takie to rzeczy widziałem pod wielką, ponurą szopą, do której odrobina światła wpadała dziurami w dachu powybijanymi przez granaty. W niejakiej odległości, między spróchniałymi słupami w podsieniach kordegardy, kupka żołnierzy w starych, podartych płaszczach spadających do kostek, przypatrywała się również temu oplakanemu widowisku. Pomyślałbyś, że to sen jakiś cię ludzi.

Ten widok harmonizował z moją wielką boleścią, i patrzałem nań długo. Wtem po upływie może półgodziny czasu, kiedy już miałem odejść, postrzegłem Burgueta przesuwanego się koło domku ojca Brainsteina. Domek ów był niezmiernie poturbowany od pękających granatów i zwiślał w uliczkę popaczonymi ścianami.

Na kilka dni przed naszym nieszczęściem mówił mi Burguet, że jego stara służąca zachorowała; wyszło mi to było z pamięci, ale postrzegłszy go, przypomniałem tę okoliczność.

Burguet wyglądał w tej chwili tak zmienionym, tak wychudzłym, policzki jego tak były poorane zmarszczkami, że zdawało mi się, iż go przez wiele lat nie widziałem. Miał kapelusz nasunięty aż na oczy; broda jego przynajmniej od dwóch tygodni była niegolona. Szedł oglądając się na wszystkie strony; ale nie mógł mnie dojrzeć ukrytego w cieuiu pod belkowaniem dawnego składu furazu. Wreszcie zatrzymał się po za gromadą bab ściśniętych w półkole przed stolnicą, i czekał kolei.

Po niejakiej chwili włożył kilka sous do ręki Frankowi Sapelowi, dostał kawałek mięsiska, ukrył pod suknią, obejrzał się raz jeszcze, i z głową spuszczoną szybko się oddalił, skrętnie osłaniając nabytek połamii płaszcza.

Ten widok całego mię przeszły; uciekłem, wznosząc ręce ku niebu i szepcząc sam do siebie:

— Czy podobna?... czy podobna mój Boże?... On także... on! Burguet!... mąż tak wysoce utalentowany, cierpi głód i jada ścierwo!.. O Panie Boże nasz! jakież zesłałeś na nas doświadczenie!...

Powróciłem do domu wzruszony do głębi.

W domu u nas niewiele już było żywności; wszelako nazajutrz rano, gdy Safel zabierał się

do wyjścia, aby otworzyć szynkownię, rzekłem do niego:

— Zaczekaj, moje dziecko. Weź i zanieś ten koszyczek do pana Burgueta; tu są kartofle i kawałek solonej wołowiny. Strzeż się, żeby nie postrzeżono co masz przy sobie, bo ci jeszcze odbiorą. Powiedz, że to na wspominek biednego zbiega.

Dziecko wyszło, a wróciwszy powiedziało mi, że Burguet płakał.

Oto, mój Frycu, jakie rzeczy roztaczają się przed nami w czasie oblężenia miasta, jakie niespodzianki spotykają nas codzień, co godzi na. Oto co Niemcy i Hiszpani znosili i co z kolei nam znosić przyszło. Oto co zowie się wojną!

Nawet zapasy żołnierskiej żywności oblężonej miały się już także ku wyczerpaniu. Ale po śmierci komendanta fortecy Moulin'a, zmarłego na tyfus podczas mojego nieszczęścia, następcą jego podpułkownik nie bardzo się kłopotał tym niedostatkiem, a wyprawiał rozmaite bale i uczyty dla parlamentarzy w dawnym domu Théveneta. Okna jaśniały rześmiew światłem, muzyka skocznie wygrywała kawałki, sztab popijał poncz i wino, by złudzić oblegających,

że wszystkiego mamy obficie. Słusznie robiono, że tym parlamentarzom zawiązywano oczy, a przepaskę zdejmowano dopiero w sali balowej; bo gdyby tylko spojrzeli na oblicza ludzkie po mieście, żadne w świecie bale i wina wygrzewane w serwetach, nie potrafiłyby ich oszukać.

Pod ową porę grabarz Mouyot i dwaj jego pomocnicy przychodzili co rano do szynku na kilka kropel gorzałki. Wyszuszając kieliszek, mogli mówić: „Pijemy umarłych!“ jak weterani, którzy się zakładali, kto pierwszy celnym strzałem zwali stojącą w oddaleniu nieprzyjacielską pikietę, mówili: „Pijemy Chorwatę!“ Nikt z osaczonych w mieście nie chciał się podjąć grzebania umarłych z tyfusu; sam tylko Mouyot i jego parobcy, zażywszy po kropelce napoju, mieli tyle odwagi, że trupy ze szpitala wrzucali na wozy i zwalali na kupę w wielkiej jamie. Powoli tak się z tem oswoili, że odtąd na prawdę zostali grabarzami i parali się swoim rzemiosłem razem z ojcem Zebedeuszem.

Było rozporządzenie, aby zmarłych otulano do pogrzebu w prześcieradła; lecz kto miał tego pilnować? Stary Mouyot sam mi powiadał, że grzebano w płaszczach, kaftanach, a niekiedy całkiem nago.

Za każdego zmarłego ci ludzie dostawali po trzydzieści pięć sous. Ociemniały już teraz ojciec Mouyot sam ci to może powiedzieć. Były to złote dla niego czasy!

Pod koniec marca, wpośród okropnej nędzy, kiedy już ani jednego psa nie widać było na ulicy, a tembardziej ani jednego kota, niespokojne wieści coraz gęściej krążyć poczęły po mieście. Mówiono o przegranych na głowę bitwach, o marszu nieprzyjaciół na Paryż i t. d.

Dzięki owemu przyjmowaniu parlamentarzysty i wyprawianiu dla nich uroczystości, zawsze coś o nieszczęściach kraju wpadało do ucha służących i przekradało się na miasto.

Co do mnie, błakając się po ulicach koło wałów, często wchodziłem na którykolwiek z opasujących miasto bastyonów i przypatrywałem się okolicy. Obawy, że jakaś zabłąkana kula może mię tam przydybać, nie czułem w sobie zgoła: nieszczęśliwi niewiele wazą życie! Widziałem tedy tysiące ogniów rozpalanych na równinie przez biwakujących żołnierzy; widziałem jak niektórzy z nieprzyjaciół na długich żerdziach dźwigali z wioski całemi ćwierciami mięso, jak inni siedzieli koło ogniów błyszczących niby iskry na krawędzi lasu, jak suwały

się patrole, jak z za kosztów wyglądały paszcze armat, a nad niemi powiewały chorągwie.

Przypatrywałem się też niekiedy, jak dym buchał z kominów w Quatre-Vents, w Bigelbergu, w Mittelbronnie. U nas już nie dymiło się z kominów: czasy wszelkich uroczystości przeminęły.

Nie możesz ani wyobrazić, Frycu, ile myśli tłoczy się do głowy człowiekowi zamkniętemu jak w klatce, gdy puści oczy po wielkich, śniegiem ubielonych drogach, gdy sobie wyobrazi, że tam się przechadza, gawędzi z ludźmi o świeżych wypadkach, wypytuje co inni wycierpieli, rozpowiada co sam przynieść musiał.

Z bastyonu koło piekarni wojskowej, wzrok mój sięgał aż na ubielone szczyty wyniosłego Schneeberga; zdawało mi się, że jestem w środku leśniczych, łyżwiarzy, drwałów. Wieść aż do nas się zabłąkała, że ci ludzie mężnie bronili nieprzyjacielowi przejścia na Schirmerk; chciało mi się dowiedzieć, czy to prawda.

Spoglądając ku Maisons-Rouges przy drodze wiodącej do Paryża, wyobrażałem sobie, że jestem u starego swego przyjaciela Lejzera. Widziałem go siedzącego w kącie przy kominku, nadąsanego i zmartwionego, że musi karmić

szarańczę ludzi; gdyż Austryaków, Prusaków, Bawarów zawsze pełno było na drodze, coraz nowe pułki ciągnęły a ciągnęły bez ustanku.

Ach! i wiosna już się ku nam zbliżała! Koło płotów i w bródach na polu śnieg już topnieć zaczynał. Wielkie lasy pod Bonne-Fontaine i Barakami inny już przybierały odcień koloru.

Ale ze wszystkiego co przypominam, najbardziej mię wzruszyła pierwsza piosenka skowronka. Było to w końcu marca; niebo płową polewło się barwą; podniosłem głowę i śledziłem maleńkiego śpiewaka w powietrzu. Wspomnienie Dawidka zaraz mi przyszło na myśl, i zapłakałem sam nie wiem dla czego.

Dziwnie się składa w ludzkiej głowie: piosenka ptaszęcia rozrzewni człowieka, i niekiedy po latach wielu te same dźwięki budzą w nim te same myśli, a nawet lzy wyciskają...

Dom nasz nareszcie został oczyszczony; Zefen i Sara powrócili. Zbliżyły się święta wielkanocne; potrzeba było myć podłogi, odświeżać ściany, szorować naczynia kuchenne i stołowe. Wśród tych kłopotów biedne niewiasty zapomniały nieco o spadłem na nas nieszczęściu.

Ale im bardziej chwila świąteczna się zbliżała, tem się mocniej niepokojono myślą: jak

tu wśród głodu wypełnić rozkazanie Pańskie względem paschalnego baranka? Albowiem powiedziano jest: „Ten miesiąc wam początkiem miesiąców, pierwszym będzie między miesiącami roku. Dziesiątego dnia tego miesiąca niech weźmie każdy baranka według rodziny i domów swoich. A baranek będzie bez zmary, samczyk roczny; wedle którego obrzędu weźmiecie i kozielka. I będziecie go chować aż do czternastego dnia miesiąca tego i ofiaruje go wszystko zgromadzenie synów Izraelowych ku wieczorowi. I będą jeść mięso jego onej nocy ogniem pieczone, i przasne chleby z polną sałatą“.

Ale z kąd wziąć ofiarnego baranka? Sam jeden tylko Szmul, stary szames naszej synagogi, myślał o tem za wszystkich: przez trzy miesiące w piwnicy swojej karmił troskliwie rocznego samczyka kozielka, i tego kozielka zarznięto na ofiarę. Każda rodzina żydowska otrzymała z tego cząsteczkę, wprawdzie bardzo maluchną, lecz woli Przedwiecznego stało się zadość.

Podług prawa bożkiego, zaprosiliśmy w ten dzień do siebie jednego z najbiedniejszych braci naszych, Kalmesa. Udaliśmy się razem do sy-

nagoci, odśpiewano nabożeństwo, i powróciliśmy zasiąść do uczy.

Pomimo wielkiej nędzy, wszystko było przygotowane jak należy: stół przykryto białym obrusem, na nim stał kubek z octem, jaje na twardo ugotowane, rzodkiew, maca i mięso ofiarnego koźlęcia. Siedmioramienny lichtarz oświecał wszystko z góry. Macy tylko mieliśmy nader szczupło.

Zasiadłem tedy w pośrodku rodziny. Safel wziął nalewkę i podał mi wody na ręce. Potem wszyscy nachyliliśmy się nad stołem, każdy brał macę do ręki i mówił z wielkim ściśnieniem serca: „Oto chleb nędzy, który ojcowie nasi pożywali w Egipcie. Ktokolwiek jesteś głodny, przyjdź i pożywaj z nami! Ktokolwiek jesteś ubogi, przybywaj obchodzić Paschę!“

Przystąpiliśmy nakoniec do pożywania wieczery.

XX.

Nazajutrz rano między godziną szóstą a siódmą, kiedyśmy wszyscy jeszcze spali, rozległ się wystrzał armatni, aż w oknach naszych brzękły szyby. Rzecz to była niezwykajna, gdyż nie-

przyjacieli strzelał do miasta pospolicie tylko w nocy. Słucham: w kilka sekund drugi wystrzał następuje po pierwszym, za nim trzeci, i tak raz po raz dalej!

Wstałem więc z łóżka, otwarłem okno i zacząłem się rozglądać i przysłuchiwać. Słońce już się wychyliło z za arsenału. Ani żywej duszy nie było jeszcze na ulicy; lecz gdy strzelanina nie ustawała, drzwi i okna otwierać się poczęły; mieszkańcy w koszulach wysuwali głowy i nadstawiali uszu.

Ani jeden granat nie zawarzał w powietrzu: nieprzyjaciel strzelał ślepymi nabojami.

Przy dalszem baczem nasłuchiwaniu, uderzyła z daleka moje uszy wielka przygłuszona wrzawa dokoła miasta. Zgiełk powstał z razu na wzgórzach Mittelbronn, potem ogarnął Bigelberg, Quatre-Vents, Baraki i rozlał się po całej przestrzeni.

Sara także poczęła się zabierać do wstania; ja skończyłem ubieranie się i rzekłem do niej:

— Zaszło coś nadzwyczajnego... daj Boże tylko, żeby na dobre dla nas!

I wyszedłem przejęty niepokojem.

Od pierwszego wystrzału nieprzyjacielskiego upłynął zaledwie kwadrans, a całe miasto już

było na nogach. Jedni biegli co żywo na wały, drudzy kupili się w gromady na ulicach, głośno wykrzykując i tocząc sprzeczki o znaczenie niezwykłego wypadku. Podziwienie, obawa, gniew malowały się na wszystkich obliczach.

Mnóstwo żołnierzy połączyło się z mieszczaństwem, i wszyscy razem ciągnęli wielkimi kupami w prawo i w lewo koło bramy Francuzkiej.

Właśnie śpieszyłem połączyć się z jedną taką gromadą, gdy postrzegłem wychodzącego Burgueta. Był jeszcze tak samo wynędzniały jak ostatnim razem, kiedym go widział pod szopą targową.

— Ha! — zawołałem, podbiegając na jego spotkanie:—mamy tedy coś ważnego!

— Coś bardzo ważnego, Mojżeszu... nie rokuje to nic dobrego dla nas—rzekł po cichu.

— To jasno jak na dłoni, — odrzekłem: — sprzymierzeni odnieśli zwycięstwo; może już są w Paryżu.

Burguet odwrócił się przerażony i szepnął:

— Strzeżcie się, Mojżeszu! strzeżcie się na miłość bożką! Gdyby was posłyszano przy dzielszym rozdrażnieniu, weteraniby was rozszarpali na kawałki.

Doznałem wielkiego wzruszenia, bo przyznać należało, że miał słuszość. Sam Burguet trząsał się od wzruszenia. Potem wziął mię pod rękę i rzekł:

— Winienem wam podziękować za pożywienie, któreście mi przysłali przez syna; doprawdy przyszło w samą porę.

A gdy mu odpowiedziałem, że póki jeszcze coś mamy, zawsze się znajdzie u nas kawałek chleba i dla niego, ścisnął mię za rękę, i poszliśmy razem przez ulicę koło koszar piechoty, aż na bastyon pod lodownią, na którym ustawione były dwie baterye dział, mające panować nad wzgórzami Mittelbronn.

Z bastyonu pod lodownią odślaniał się przed oczyma cały gościniec paryzki aż do Petit Saint-Jean, a nawet aż do Liksheimu; lecz wielkie nasypy ziemi wzniesione dla ustawienia armat, były jak nabite ciekawymi. Wśród tego tłumu widać było naszego mera barona Parmentiera, jego pomocnika Pipelingra, starego proboszcza Leitha i wiele innych znakomości miejskich, przyglądających się w milczeniu ruchowi w obozie nieprzyjacielskim. Dość było spojrzeć na ich oblicza, by odgadnąć, że coś okropnego zająć musiało.

Nie mogąc przedrzeć się do nasypu, stanęliśmy na spadzistości, i ztamtąd widzieli wszystkich, co zwracało uwagę zgromadzonych. Cały obóz nieprzyjacielski, Austryacy, Bawarowie, Wirtemberczycy, Ruscy, piechota, jazda, artylerya, jakby w garnku mrowili się koło swoich okopów, całowali się, ściskali za ręce, w górę na bagnietach podnosili kaszkiety, wywijali czynającymi już zieleniec gałęziami.

Jeźdźcy co koń wyskoczy przebiegali równinę, potrząsali zatkniętymi na szabli kółpakami, okrzyki wzlatywały aż pod niebiosa.

Pod Saint-Jean telegraf pracował nieustannie. Burguet wskazując palcem na ruch znaków telegrafu, rzekł do mnie:

— Gdybyśmy rozumieli te znaki, Mojżeszu, pewnobyśmy lepiej wiedzieli, co spotka nas za parę tygodni.

Kilku bliżej stojących odwróciło się, nadstawiając ku nam uszu; więc opuściliśmy wały i w zamyśleniu podążyli ulicą Quartier.

Żołnierze w koszarach wyglądali ciekawie przez okna. Mnóstwo mężczyzn i kobiet biegło jeszcze na wały. Myśmy przecisnęli się przez te tłumy i weszli w pustą uliczkę Kapu-

cynów. Wtedy Burguet, który sunął się ze zwiżoną głową, zawołał:

— Skończyło się tedy! skończyło!... Czegośmy to, Mojżeszu, nie widzieli przez lat dwadzieścia pięć z okładem! Jakie zadziwiające i straszne rzeczy przeszły nad naszymi głowami!... I skończyło się!...

Trzymał mię za rękę i patrzył na mnie takim wzrokiem, jak gdyby własnym dziwił się słowom. Potem znów posunął się naprzód i mówił:

— Ta kampania zimowa przerażała mię. Wlekło się to... wlekło jak dotknięte niemocą... a piorun nie wypadł!... Ale czegoż to się dowiemy jutro, pojutrze? Czy cesarz nie żyje? Co o nas postanowią? Czy Francya zostanie jeszcze Francją? Co nam zostawią? co od nas zagarną?...

Tak zastanawiając się nad temi i tym podobnemi okropnemi rzeczami, stanęliśmy nareszcie przed naszym domem. Natenczas Burguet, jakby nagle zbudzony, rzekł do mnie:

— Roztropności, Mojżeszul!... Jeżeli cesarz nie poległ, weterani będą się trzymali do upadłego. Pamiętajcie, że każdy, na kogo z ich

strony padnie podejrzenie, musi wszystkiego złego się obawiać.

Podziękowawszy mu za przestrożę, wszedłem do domu, z mocnem postanowieniem trzymania się jego rady.

Żona moja i dzieci czekały mię ze śniadaniem: koszyczek kartofli stał na stole. Zasiadliśmy wszyscy do tego żebraczego posiłku, przy którym po cichutku opowiedziałem domowym co widać było z wałów, i zaleciłem, żeby przed nikim o tem nie paplali, gdyż niebezpieczeństwo ciągle jeszcze wisiało nad głowami oblężonych. Powiedziałem im, że garnizon może się zbuntować, i nie odstąpi od obrony, chociażby nawet dowódcy postanowili inaczej. W takim razie, ktokolwiek wchodzi się w sprawę, choćby tylko przemawianiem na korzyść tej lub owej strony, wystawi się na oczywistą zgubę, a nikt nic na tem nie zyska.

Zrozumieli od razu, że miałem słuszość, i nie potrzebowalem więcej im tego powtarzać.

Przestraszała nas myśl, że przyjdzie spotkać się z sierżantem i mimo woli a chęci odpowiadać mu, gdy zapyta: co trzymamy o tem wszystkim? Ale sierżant powrócił tego wieczoru do-

piero o godzinie jedenastej, kiedyśmy już od dawna spoczywali.

Nazajutrz rano nie wiedzieć z kąd ukazały się na drzwiach kościelnych i na słupach szopy targowej obwieszczenia o wejściu sprzymierzonych do Paryża. Nikt ani wtenczas, ani potem nie dobałał się sprawy tej roboty! Posadzano podówczas pana de la Vablerie i kilku innych emigrantów zdolnych do podobnej sprawy, ale pewności żadnej nie było.

Patrol wkrótce pozrywał ogłoszenia, lecz na nieszczęście żołnierze i mieszczanie już je czytali.

Było to coś niezmiernie nowego, coś z gruntu niepodobnego do wiary! Po dziesięciu latach wojny, kiedy cesarz był wszystkim a naród pod pewnym względem niczem, trudno było bez obawy pomyśleć, że cesarz mógł być zwyciężony! Nawet ojciec rodziny sam na sam z własną żoną i dziećmi, nie raz i nie dwa razy obejrzał się na wszystkie strony, nim jedno wyszeptał słowo.

Wszyscy tedy milczeli jeszcze pomimo owych obwieszczeń. Rozmaici dostojnicy nie wychodzili z domu, aby uniknąć potrzeby wygadania

się z czemkolwiek; gubernator i rada wojenna siedzieli jak przykuci w merowstwie. Ale rekruci z ostatniego poboru, sądząc, że już lada chwila powrócą do swoich zagród wiejskich, uściskają rodziców i krewnych, wezmą się napowrót do swego rzemiosła lub pracy w polu, a w końcu będą się mogli ożenić, nie skrywali bynajmniej radości, co zresztą rzecz była zupełnie naturalna. Weterani, których jedynym rzemiosłem była żołnierka, którzy innych środków do życia prócz wojny nie mieli, oburzali się na to niezmiernie! Nie wierzyli niczemu; twierdzili, że wszystkie wieści są kłamliwe, że cesarz nigdy ani jednej bitwy nie przegrał, że przegrać nie mógł, że obwieszczenia i radosne wystrzały armatnie nieprzyjaciół są tylko podstępem wojennym, aby zniewolić do otworzenia bram warowni.

Od tej daty, Frycu, rozpoczęło się zbiegowstwo już nie po jednemu, ale po sześciu, po dziesięciu, po dwudziestu żołnierzy razem. Całe oddziały postawione na warcie lub wysłane na czaty po mieście, zmykały w góry z bronią i bagażem. Weterani strzelali do zbiegów i pewna liczba nieszczęśliwych zginęła od kul francuzkich. To jednak nie pomagało; przyszło do

tego, że popisowych noszących obiad dla forpoczty, musieli konwojować weterani.

Tymczasem parlamentarze jeden po drugim nieustannie przybywali i wychodzili z miasta. Rozmaici oficerowie sztabu ruskiego, austriackiego, bawarskiego, całe godziny przesiadywali w kwaterze gubernatora; snadź ważne miano do roztrząsania interesa.

Nasz sierżant ledwo na chwilę wchodził wieczorem do naszej izby, ażeby poskarżyć się na zbiegowstwo, a myśmy byli kontenci, że długo z nami nie przesiaduje, bośmy go lekali się jak ognia. Zeffen jeszcze niedomagala, Sara ciągle była przy niej; ja też musiałem pomagać Safełowi, co się zawsze ciągnęło aż do wybicia capstryku.

Weteranów zawsze było pełno w naszym handlu; zaledwo jedna gromada wychodziła, natchmiast wchodziła druga.

Ci starzy, osiwiali pod bronią i na pozór nieczuli na wszystko, wychyliali gorzałkę kieliszek po kieliszku jak wodę; rozglądali się tylko, a coraz większa posepność osiadała na ich pooranych twarzach. Drżenie jakieś przenikało ich członki, a jeśli mówili, to tylko o zdradzie, i z podełba rzucali na każdego przenikliwe spojrzenie.

Niekiedy znowu uśmiechali się mówiąc:

— Ostrożnie! jeżeli trzeba będzie wysadzić fortecę w powietrze, to i wyleci!

Safel i ja udawaliśmy, że tego nie rozumiemy, ale łatwo sobie wystawisz nasz przestrach. Tyle wycierpiawszy wszystkiego, jeszcze wylecieć z tymi weteranami w powietrze, to już było za wiele!

Wieczorem sierżant zwykle powtarzał słowo w słowo co inni mówili.

— Wszystko to kłamstwo i zdrada,—powiadał:—cesarz musi położyć temu koniec i wymieć całe to lichol... Cierpliwości! cierpliwości!... wykrzykiwał przez zaciśnięte zęby, zapalając fajeczkę:—wszystko to runie za chwilę... Piorun już blisko!... I ten raz już nie będzie litości... ani odrobiny miłosierdzia!... Niech robią co chcą, ojciec Mojżeszu, śmiejmy się z tego!...

Zgadniesz, Frycu, że nam było nie do śmiechu.

Ale chwilą największej dla mnie niespokojności był ranek 8 kwietnia, kiedy postanowienie senatu, składające Napoleona z tronu, rozbiegło się po mieście.

W naszym handlu pełno było artylerzystów marynarki i podoficerów depo. Właśnie krzaliśmy się koło usługiwania tym gościom, gdy

wszedł sekretarz skarbnika; był to mężczyzna gruby, niski, twarz miał okrągłą i żółtą jak księżyc w pełni, a na głowie czapkę żołnierską włożoną na bakier. Kazał nalać sobie kieliszek, potem wydobyl z kieszeni papier, i spokojnie począł go czytać innym, powiadając:

— Słuchajcie!

Zdaje się, że dziś jeszcze słyszę owe słowa:

„Zważywszy, że Napoleon Bonaparte potarگاł ugodę jednoczącą go z narodem francuzkim, a to nakładaniem podatków innemi drogami niż prawo wymaga, odraczaniem bez potrzeby posiedzeń ciała prawodawczego, wydawaniem nie w drodze prawa wielu wyroków śmierci, zniweczeniem odpowiedzialności ministrów, niepodległości sądów, wolności prasy i t. d.;

„Zważywszy, że Napoleon przepełnił miarę nieszczęść Francji złem użyciem wszelkich środków, jakie mu były powierzone w ludziach i pieniądzech na prowadzenie wojny, tudzież odrzuceniem układów na podstawie takich warunków, jakich przyjęcia interes narodu wymagał;

„Zważywszy, że wyraźne życzenie wszystkich Francuzów domaga się takiego stanu rzeczy, którego najpierwszym skutkiem będzie przy-

wrócenie powszechnego pokoju, a który zarazem stanowić pocznę epokę uroczystego pojednania wszystkich państw składających wielką rodzinę europejską, —

„Senat postanowił i stanowi:

„Napoleon Bonaparte złożony jest z tronu; prawo następstwa w jego rodzinie jest zniesione; lud i wojsko uwolnione są od złożonej mu przysięgi na wierność.“

Zaledwie rozpoczęto czytanie tego dokumentu, straszna myśl przebiegła mi przez głowę:

— Jeżeli tego nie zaprzestaną, to kramik mój będzie zrównany z ziemią!

Pod wpływem przerażenia kazałem nawet Sa-felowi wyjść natychmiast tylnymi drzwiami. Ale stało się całkiem inaczej niż myślałem. Weterani pogardzali senatem; słuchając, wzruszali ramionami, a ten, który czytał dekret, utarł nim nos i rzucił pod szynkwias.

— Ba! — rzekł feldwebel: — nie warto sobie zadawać fatygi! Za parę tygodni, gdy cesarz wróci do władzy, wszystkie te niedołęgi przyjdą znowu lizać mu nogi.

Tak między sobą mówili; a gdy wysączywszy kieliszki powychodzili z szynku, ja dziękowałem

Przedwiecznemu, że wlał w nich tyle zaufania do cesarza.

Ta niezłomna wiara w gwiazdę Napoleona utrzymała się jeszcze do 11 czy też 12 kwietnia, to jest do chwili przybycia oficerów wysłanych przez generała dowodzącego czwartą dywizją z zawiadomieniem, że garnizon twierdzy Metz uznał postanowienie senatu i poszedł za jego rozporządzeniem.

Przybycie oficerów z Metz było straszliwym ciosem dla weteranów. Tegoż samego wieczora wyczytaliśmy na twarzy naszego sierżanta, że wieść o poddaniu się tamecznego garnizonu była dla niego ciosem śmiertelnym. Postarzał biedak o lat dziesięć, a dość było spojrzeć na niego, żeby z najnieczulszego serca lzy trysnęły do oczu. Aż do tej pory sierżant ustawicznie nam powtarzał:

— Wszystkie te dekreta, wszystkie te ob-wieszczenia to tylko robota zdrajców! Cesarz zawsze tam działa ze swoją armią, a my tu jemu pomagamy. Nie obawiajcie się niczego, ojcze Mojżesz!

Lecz po przybyciu wspomnianych oficerów, jego wiara upadła. Wszedł powoli do naszej izby, stanął i patrzył na nas w milczeniu, a był

śmiertelnie blady i twarz miał poorlyą głębokimi zmarszczkami.

Ja pomyślałem:

— Ten człowiek miłował nas przecię!... Zrobił nam niemało dobrego... Sam się napraszał z oddaniem swojej racji mięsa na cały czas obłączenia... kochał naszego Dawidka... pieścił go i trzymał na kolanach... kocha też maleńkiego Ezdraszka... Dzielny człowiek, zacny człowiek! i oto jak niewypowiedzianie nieszczęśliwy!...

Chciałem go z duszy pocieszyć, zapewnić, że ma w nas prawdziwych przyjaciół, że go wszyscy kochamy, że chętnie przyjdziemy mu z pomocą, jeżeli zmuszony będzie zmienić swe dotychczasowe powołanie... Tak, właśnie o tem myślałem; ale gdy spojrzałem na niego uważnie, boleść jego wydała mi się tak przerażającą, że nie mogłem wyjąkać ani słowa.

Sierżant przeszedł się parę razy po izbie, potem się znowu zatrzymał, wreszcie nagle zawrócił się i wyszedł. Boleść jego była tak wielka, że nawet nie mógł wyrzekać.

Nareszcie dnia 15 kwietnia umówiono wstrzymanie kroków nieprzyjacielskich dla pogrzebania poległych. Spuszczono most zwodzony przy

bramie Niemieckiej, i mnóstwo ludzi wysypało się po za miasto, żeby z motyką popracować w ogrodach i zebrać nieco zieleniny. Tak się krzątano aż do wieczora; lecz Zeffen ciągle jeszcze niedomagała, więc my nie wychodziliśmy z domu.

Wieczorem, kiedy już zupełnie ściemniało i most zwodzony podniesiono, znowu dwaj inni oficerowie z Metz przybyli jako parlamentarze. Widziałem ich stojąc w oknie, jak pędzili galopem przez ulicę do kwatery gubernatora.

Przybycie tych oficerów obudziło powszechnie w jednych niezmiernie nadzieje, w drugich ostateczne obawy. Oczekiwano jakiegoś stanowczego kroku, i słyszeliśmy przez noc całą, jak sierżant to wchodził, to wychodził ze swej izdebki, kładł się, wstawał, przechadzał się i kładł się znowu, szepcząc niezrozumiałe wyrazy.

Nieszczęśliwy przeczuwał, że cios okropny był już blisko; nie miał już odtąd ani chwili pokoju. Przysłuchiwałem się jego poruszeniom i szeptom, bolałem nad jego niedolą, westchnienia jego nie dawały mi zasnąć.

Nazajutrz o godzinie dziesiątej uderzono w bębny na apel. Gubernator i członkowie rady

wojennej, przystrojoni w paradne mundury, udali się do koszar piechoty. Wszystko co żyje wysypywało się na ulicę lub wyglądało przez okna.

Nasz sierżant wyszedł, a w parę minut i ja udałem się za nim. Ulica była jak nabita tłoczącą się zewsząd rzeszą. Zacząłem się przeciskać, ale nie łatwo było dać rady, bo nikt ustąpić nie chciał, a każdy wrywał się naprzód.

Kiedy stanąłem przed koszarami, oddziały wojska właśnie uformowały już koło; w środku tego koła furyerowie donośnym głosem czytali rozkaz dzienny do armii. Była to abdykacja cesarza, rozpuszczenie zaciężnych z r. 1813 i 1814, uznanie Ludwika XVIII za króla, nakaz wywieszenia białej chorągwi i zmiany kordyl...

Najmniejszy szmer nie ozwał się w szeregach; wszystko było spokojne, groźne, przerażające. Ci starzy żołnierze, z zaciśniętymi zębami, ze spuszczonej oczyma, z trzęsącym się wąsem i dzikim twarzy wyrazem, prezentujący broń w milczeniu; ci furyerowie wznoszący głos i raz po raz przerywający czytanie, jak gdyby coś dławilo ich w gardle; ten sztab warowni w oddaleniu, stojący w podsieniach koszar, po-

sępny, ze wzrokiem wlepionym w ziemię; ta wyteżona baczność tłumu, mężczyzn, kobiet i dzieci, napelniających z końca w koniec ulicę, wspinających się na palcach, z ustami przemkniętymi, z nadstawionymi uszama: wszystko to, Frycu, drzeniem przejmowało człowieka.

Ja stałem na schodach bednarza Schweyera; wszystko widziałem i słyszałem każde słowo.

Dopóki czytano rozkaz dzienny, nikt się ani poruszył, ani pisał; lecz kiedy zakomenderowano: „Zwinąć szereg!” krzyk przerażający buchnął na całą przestrzeń; zgłęb, zamieszanie, wściekłość zawrzały jednym razem. Nic już niepodobna było usłyszeć. Nowozaciężni jeden za drugim pobiegli klusem do koszar; starzy zostali jeszcze przez chwilę na miejscu, jak gdyby wrośli w ziemię. Nareszcie wściekłość wzięła nad nimi górę; jeden zrywał szlify i rzucał precz od siebie, drugi oburącz podnosił w górę karabin i ciskał z całych sił o kamienie bruku; niektórzy oficerowie łamali swe szable i szpady, aż drzazgi wylatywały w powietrze!

Gubernator usiłował przemówić, chciał rozkazać, aby na nowo żołnierze stanęli pod bronią, ale już go nikt nie słuchał. Nowozaciężni rozbiegli się po wszystkich kątach koszar, szu-

kając swoich manatków i co żywo wybierając się w drogę; starzy rozchodzili się na prawo i na lewo, jak pijani lub dotknięci obłąkaniem.

Widziałem, jak niektórzy ze starych rębaczy stawali tu lub i ówdzie w kąciku, z twarzą odwróconą do ściany, i zalewali się gorącymi łzami.

Wszystko rozpraszać się zaczęło, a przeciągłe wykrzyki wciąż jeszcze dolatywały z koszar na placu Merowstwa; trwały bez końca, to wzmagając się, to słabnąc, jakby niezmiernie westchnienia.

Tu i ówdzie rozlegały się jeszcze głuche, rozpaczliwe okrzyki: „Niech żyje cesarz!“ ani jednego okrzyku: „Niech żyje król!“ nie słyszałem.

Pobiegłem do siebie, żeby zawiadomić domowych o zaszłym wypadku. Zaledwo wszedłem na górę, sierżant z karabinem na ramieniu przyszedł tuż za mną. Chcieliśmy się radować z końca oblężenia, lecz spostrzegłszy stojącego we drzwiach sierżanta, uczuliśmy dreszcz po ciele i powściągnęliśmy niewczesny wybuch ukontentowania.

— Ha! — rzekł stawiając karabin do nogi: — skończyło się!...

Stał przez chwilę milczący i zamyślony. Potem jęknął:

— Oto nędza, jakiej świat jeszcze nie widział... Rekrutów rozpuszczono... rozchodzą się... Francya ze związanymi rękami i nogami!...

— Tak-ci to zapewne, sierżancie, — rzekłem wzruszony; — ale potrzeba zapanować nad nie-szczęściem... Teraz będziemy mieli pokój, sierżancie... Wy macie siostrę w górach Jura, pójdziecie do niej...

— Och! — wykrzyknął podnosząc rękę: — o moja biedna siostro!...

Ten wykrzyk był podobny do płaczu; ale sierżant szybko zapanował nad sobą, i postawił karabin przy ścianie.

Usiadł na chwilę z nami przy stole, objął Sa-felka, przytulił jego główkę do piersi i ucałował w oba policzki. Potem poprosił, żeby mu podano na ręce Ezdraszka. Spoglądaliśmy na niego w milczeniu. Nareszcie rzekł:

— Zaraz się z wami rozstanę, ojcze Mojżesz... pójdę przygotować tornister... Do tysiąca piorunów! ciężko mi rozstać się z wami!

— Ach, sierżancie! — smutnie odrzekła Sara: — i nam również ciężko rozstawać się z wami. Ale gdybyście zechcieli mieszkać przy nas...

— Niepodobna!
 — Więc zostaniecie w służbie?
 — W służbie!... u kogo?... po co? — zawołał: — u Ludwika XVIII? nie, nie!... Ja znam tylko swojego generała... Ale coś mi trudno ztąd odejść... Zresztą, gdy człowiek wypełnił swoją powinność...

I porywając się nagle od stołu, krzyknął rozdzierającym głosem:

— Niech żyje cesarz!

Myśmy zadrżeli, chociaż sami nie wiedzieliśmy dla czego.

Sierżant wyciągnął ku mnie rękę, ja porwałem się z siedzenia, i uściskaliśmy się jak bracia.

— Bywajcie zdrowi, ojcze Mojżesz! — zawołał; — zegnaj was wszystkich na długo!

— Jaktóż więc zaraz wychodzicie?

— Wychodzę!...

— Nie potrzebuję wam mówić, sierżancie, że zawsze znajdziecie w nas prawdziwych przyjaciół... Przyjdziecie z nami się zobaczyć... Gdybyście kiedy byli w potrzebie...

— Tak... tak... wiem o tem, wiem... jesteście nieobłudni przyjaciele... zacni ludzie!

I mocno ścisnął mnie za rękę.

Potem zawrócił się, żeby wziąć swój karabin; myśmy szli za nim, życząc mu wszystkiego dobrego. Sierżant odwrócił się raz jeszcze z łzami w oczach, i objął moją żonę, mówiąc:

— Muszę was ucałować. Wszak nic w tem zlego pani Saro? nie prawdaż?

— Ach! nic złego! — odrzekła; — wy należycie do naszej rodziny, i ja ucałuję od was Zeffen!

Wnet potem wyszedł, wołając złamanym głosem:

— Bywajcie zdrowi!... Żyćcie szczęśliwi!...

Goniłem za nim wzrokiem, aż przeszedł kozytarzyk i wsunął się do swojej izdebki...

„Dwadzieścia pięć lat służby, osiem ran, i ani kęska chleba na stare lata!...“ Myśl ta zakrwawiła mi serce.

Po upływie kwadransa, sierżant wyszedł z karabinem na ramieniu, i spotkawszy Safela na schodach, rzekł do niego:

— Zaczekaj... oddaj to ojcu!

Był to portret żony i dzieci owego landwejrzysty z pod Tuilerie. Safel natychmiast mi go przyniósł. Przyjąłem ten dar biedaka i długo się weń wpatrywałem z wielką boleścią; potem razem z listem schowałem w szafie.

Było właśnie południe, a ponieważ bramy otwarto i żywność obficie napływać już poczęła, zasiedliśmy tedy do porządnego kawałka świeżej wołowiny z kartoflami i odkorkowali ładną butelczynę wina.

Właśnie pożywaliśmy dary boże, gdy krzyk nas doleciał z ulicy. Safel wstał i pobiegł ku oknu.

— Jakiegoś rannego żołnierza niosą do szpitala,—rzekł, wyrzawszy przez okno.

Potem nagle zawołał:

— Nasz sierżant!

Okropna myśl błysnęła mi w głowie. Sara chciała się podnieść, lecz rzekłem do niej: „Zostań!” i sam wybiegłem na ulicę.

Czterej artylerzyści marynarki dźwigali na barkach nosze; gromada dzieci biegła z tyłu.

Jednym rzutem oka poznałem sierżanta. Twarz jego była biała jak płótno, a pierś broczyła się we krwi. Nie okazywał już śladu życia. Nieszczęśliwy poszedł od nas na bastyon za arsenałem, żeby tam odjąć sobie życie wystrzałem w serce...

Powróciłem do domu tak strapiiony, smutny i zgnębiony, że ledwo mogłem utrzymać się na nogach.

Sara czekała mię przerażona.

— Nasz biedny sierżant zastrzelił się,—rzekłem do niej:—oby Bóg miłosierny zlitował się nad nim!

I gdy usiadłem na swoim miejscu, lzy mi z oczu potoczyły się strumieniem!

XXI.

Słusznie ludzie powiadają, że nieszczęście idzie jedno za drugim jak po nici, jedno ciągnie za sobą drugie. Wszelako zgon naszego sierżanta był tym razem ostatniem nieszczęściem.

Tego samego dnia nieprzyjacieli cofnął swoje forpocztę o sześćset sążni od miasta; białą chorągiew zatknęto na wieży kościoła i bramy otwarto...

Teraz to już rozumiesz, Frycu, czem było obleżenie Falcburga. Czyż potrzeba ci jeszcze opisywać przybycie Barucha, wykrzyki Zeffen, nasze ubolewania, gdy się musiało powiedzieć temu niezrównanemu człowiekowi:

— Nasz Dawidek nie żyje... już go nie zobaczysz na tym świecie!...

Nie... dosyć już tego!... Gdy człowiek po-
 cznie rozpamiętywać wszystkie nieszczęścia woj-
 ny, wszystkie jej w ciągu lat wielu następstwa,
 gadałby a gadał, i nigdy nie skończył!

Wolę ci raczej mówić o moich synach Icku
 i Fromelu, tudzież o moim Safelku, który wy-
 jechał do Ameryki dla połączenia się z nimi.

Gdybym ci opisał wszystkie bogactwa, któ-
 rych tam w kraju wolnym synowie moi nagro-
 madzili, grunta, które ponabywali, gotowiznę,
 której naskładali do kieszeni, liczbę dzieci
 i wnuków, których się dla siebie i dla mnie do-
 czekali, wszystkie radości, któremi mnie i Sa-
 rę napełnili, — podziwby cię ogarnął i uwiel-
 bienie!

Jeden przed drugim starają się na wyści-
 gi, aby mi na niczem nie schodziło. Najwięk-
 szą dla nich radość, jeżeli czegokolwiek od
 nich zażądam: wnet każdy chciałby wysłać mi
 rzecz żądaną! Nie zapominają chłopczyśka, że
 wielką moją roztropnością uratowałem ich od
 wojny...

Ja, Frycu, wszystkich ich kocham zarówno,
 i mówię do nich słowami Jakóba:

„Bóg, przed którego obliczem chodzili oj-
 cowie moi Abraham i Izaak, Bóg, który mię

żywi od młodości mojej aż do tego dnia, anioł,
 który mię wyrwał ze wszystkiego złego, niech
 błogosławi tym dzieciom, a niech będzie wzy-
 wano nad nimi imię moje i imiona ojców moich
 Abrahama i Izaaka, a niech rosną w mnóstwo
 na ziemi i niech nasienie ich rozmnoży się
 w narody!“

K O N I E C .



160523